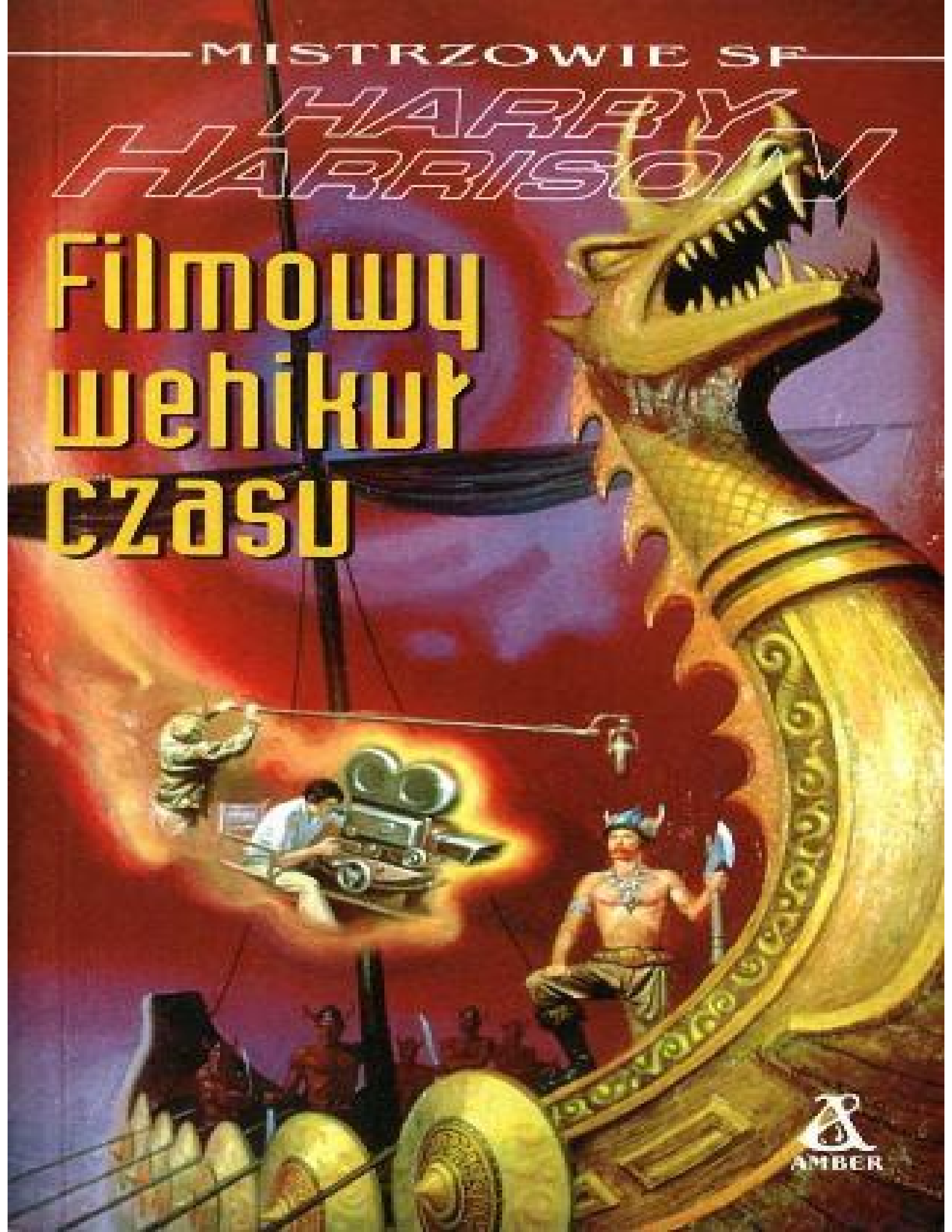


MISTRZOWIE SF

HARRY
HARRISON

Filmowy
wehikuł
czasu

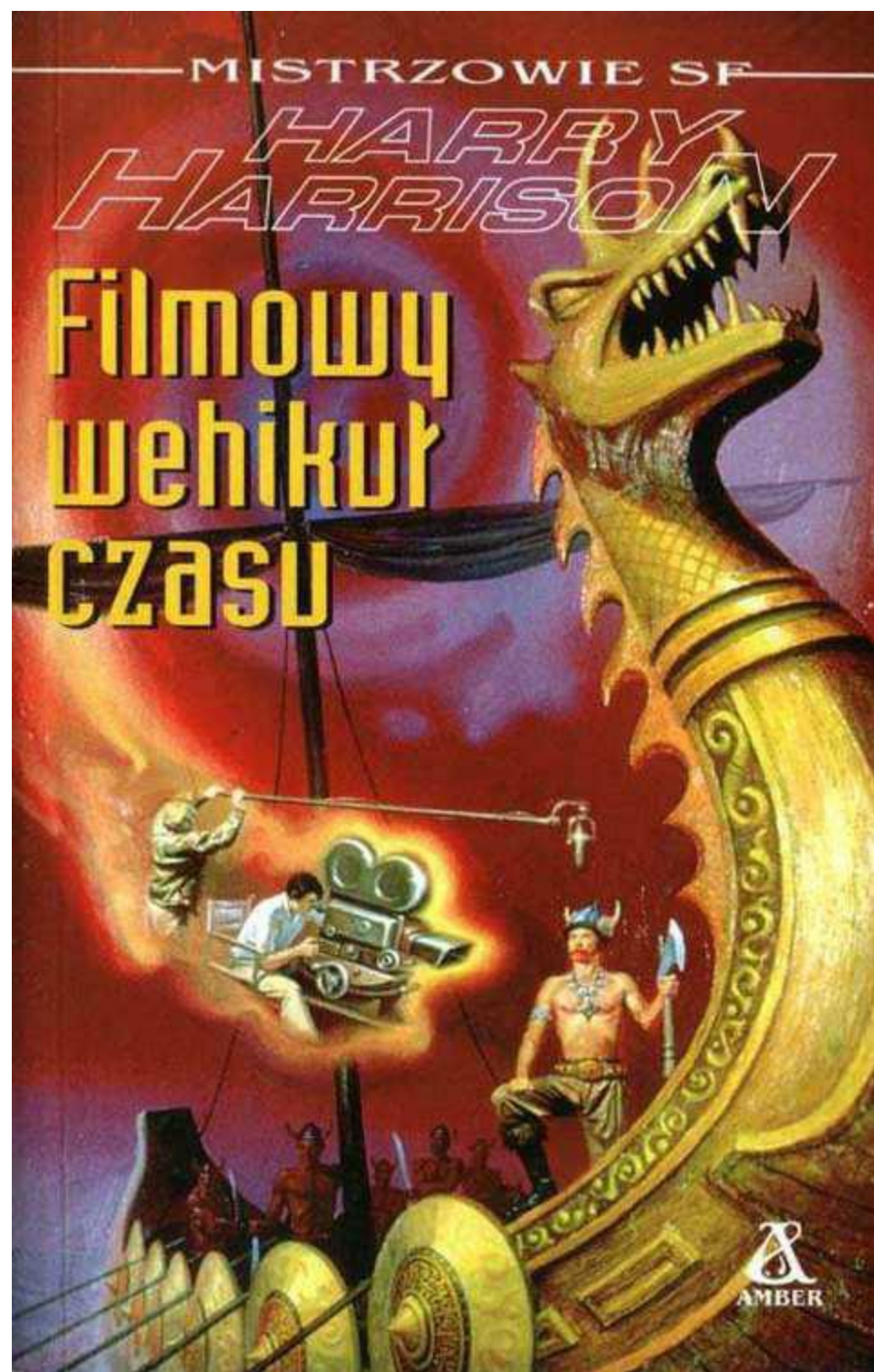


AMBER

MISTRZOWIE SF

HARRY
HARRISON

Filmowy
wehikuł
czasu



AMBER



FILMOWY

WEHIKUŁ CZASU

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE TECHNICOLOR TIME MACHINE

PRZEKŁAD: MAREK URBAŃSKI

WYDAWNICTWO AMBER SP. Z O. O. WARSZAWA 1994

I

- Co ja tutaj robię? Jak mogłem dać się namówić na coś takiego? - jęknął L.M. Greenspan, czując, że zjedzona niedawno kolacja atakuje mu boleśnie wrzody żołądka.

- Jest pan tu, L.M., dlatego, że jest pan błyskotliwym i przewidującym szefem. Albo, mówiąc innymi słowami, dlatego że musi pan wykorzystać każdą szansę - bo jeśli nie zrobi pan czegoś, i to szybko, Climactic Studios przepadną z kretelem. - Barney Hendrickson zaciągnął

się łapczywie zaciśniętym między poślódkowymi palcami papierosem i spojrzał nic nie widzącym wzrokiem na górzysty krajobraz, przesuwany się bezgłośnie za szybami Rolls-Royce'a.

- Albo, ujmując to jeszcze inaczej, poświęca pan teraz godzinę swego czasu, by być świadkiem pewnego eksperymentu. Eksperymentu, który być może oznacza ratunek dla Climactic

- dodał.

L.M. skupił całą uwagę na subtelnym problemie przypalenia szmuglowanej „havany”.

Obciął jeden z końców cygara złotą, kieszonkową gilotynką i ostrożnie oblizał okaleczony wierzchołek. Następnie wymachiwał jakiś czas zapałką, czekając aż ulotnią się wszelkie chemiczne substancje, którymi była nasycona, by w końcu zaciągnąć się delikatnie dymem wytwornego, zielonkawobrunatnego zwitka tytoniowych liści.

Samochód zjechał na pobocze i stanął bezszelestnie jak dobrze naoliwiona prasa hydrauliczna. Szofer wyskoczył błyskawicznie, gotów otworzyć tylne drzwi. L.M. nie drgnął

nawet, rozglądał się tylko podejrzliwie naokoło.

- Śmietnik! Ciekaw jestem cóż takiego, co mogłoby uratować wytwórnię, znajduje się na tym wysypisku śmieci?

Barney bezskutecznie usiłował pobudzić do życia nieruchome i bezwładne cielsko szefa.

- Proszę bez uprzedzeń, panie L.M. Zresztą niech pan pomyśli, czy ktokolwiek mógł

przewidzieć, że ubogi wyrostek ze slumsów East Side stanie się pewnego dnia głową największej kompanii filmowej Świata?

- Bierzemy się za impertynencje, co?

- Nie odbiegajmy od tematu, proszę - zażądał Barney. - Na początek zajrzyjmy do środka i przekonajmy się, co ma nam do zaoferowania profesor Hewett. Uprzedzenia zostawmy na potem.

Z najwyższą niechęcią L.M. dał się wyprowadzić na wyłożoną zmurszałymi płytami ścieżkę, która

wiodła do drzwi zapadniętego w ziemię, ale ozdobionego sztukateriami domu.

Barney, mocno trzymając go za ramię, nacisnął guzik dzwonka. Musiał jednak zadzwonić jeszcze dwa razy, nim drzwi otworzyły się z łoskotem i wychynął z nich niski mężczyzna z ogromną, łysą głową ozdobioną okularami w grubej rogowej oprawie:

- Profesorze Hewett - zaczął Barney, lekko popychając L.M. do środka. - Oto człowiek, o którym panu wspominałem. Prezes Climactic Studios, pan L.M. Greenspan we własnej osobie.

- Ach tak, oczywiście, proszę wejść - profesor łypnął wodnistymi oczyma spoza owalnej oprawy okularów i usunął się nieco, aby umożliwić im wejście.

Gdy tylko drzwi zatrzasnęły się za jego plecami, L.M. westchnął żałośnie i zupełnie zrezygnowany dał się sprowadzić skrzypiącymi schodami na dół, do piwnicy. Stał jak wryty, gdy ujrzał półki pełne najrozmaitszego sprzętu elektrotechnicznego, girlandy poplątanych kabli i jakieś pobrzękujące urządzenia.

- Co to takiego? Przypomina mi zużyte dekoracje do filmu o Frankensteinie.

- Pozwólmy profesorowi to wyjaśnić - Barney ciągle jeszcze popychał go do przodu.

- Oto dzieło mojego życia - obwieścił Hewett i nie wiadomo dlaczego machnął ręką w stronę toalety.

- Cóż u diabła ma być tym dziełem życia?

- On miał na myśli tę maszynę, ten aparat... po prostu pokazuje nieco niedokładnie - szepnął Barney.

Profesor Hewett zdawał się ich nie słyszeć. Zajęty był regulowaniem czegoś na tablicy kontrolnej. Piskliwy jęk aparatury wznosił się na coraz wyższe tony, a z topornej bryły maszyny sypnęło iskrami.

- Tutaj - stwierdził, wskazując teatralnie (i tym razem z nieporównanie większą precyzją) na metalową płytę, osadzoną na masywnych izolatorach - znajduje się serce Vremiatronu, miejsce, w którym odbywa się p r z e m i e s z c z e n i e . Nie mam zamiaru urządzać panom wykładu z matematyki ani tłumaczyć całej złożoności konstrukcji tej oto maszyny - przypuszczam, że byłoby to dla panów mało zrozumiałe. Sądzę, że najważniejszy będzie pokaz praktyczny. - Profesor schylił się i, pomacawszy chwilę pod stołem, wyciągnął zakurzoną butelkę po piwie, po czym ustawił ją na metalowej płycie.

- Co to jest ten Vremiatron? - zapytał podejrzliwie L.M.

- To właśnie to! To, co właśnie pokazuję. Umieściłem nieskomplikowany obiekt w obrębie pola, które zaraz uaktywnię. Proszę uważać.

Hewett przekręcił wyłącznik i elektryczność wytrysnęła łukiem z umieszczonych w rogach transformatorów - wycie mechanizmu przeszło w przeraźliwy pisk, krawędzie przewodów rozjarzyły

się oślepiająco, a powietrze wypełnił zapach ozonu.

Butelka po piwie rozmyła się na moment i ryk aparatury ucichł.

- Widzieliście panowie p r z e m i e s z c z e n i e? Niebywałe, nieprawdaż?

Profesor promieniejąc samozadowoleniem wyciągnął spod rysika papierową taśmę, upstrzoną atramentowymi wykresami.

- Wszystko zawarte jest tu, w zapisie. Ta oto butelka przeniosła się w przeszłość na okres siedmiu mikrosekund, by następnie powrócić do teraźniejszości. Wbrew temu, co gło-szą moi wrogowie, urządzenie to jest sukcesem. Mój Vremiatron - nazwa pochodzi od słowa

„vreme”, po serbochorwacku „czas”, na cześć mojej babki po kądzieli, która pochodziła z miasta Małe Łożne - jest pierwszym działającym wehikułem czasu.

L.M. westchnął i zawrócił ku schodom.

- Szaleniec - mruknął.

- Proszę go wysłuchać - błagał Barney - ten profesor ma naprawdę niezłe pomysły, a jeśli rozważy możliwość współpracy nawet z nami, to tylko dlatego, że wszystkie istniejące fundacje odrzuciły prośby o finansowanie jego badań. Jedyne czego potrzebuje, by puścić tę maszynę w ruch, to trochę gotówki.

- Takich nie sieją, sami rosną. Idziemy.

- Niech go pan wysłucha. Niech mu pan pozwoli pokazać jak przesyła te butelkę w przyszłość. Robi to zbyt wielkie wrażenie, by przejść nad tym do porządku dziennego.

- Muszę to panom wyjaśnić dokładnie - wtrącił profesor Hewett - przy każdym ruchu w przyszłość mamy do czynienia z barierą czasu. Przemieszczenie w przyszłość wymaga nieskończenie więcej energii niż przemieszczenie w przeszłość. Oczywiście, efekt jest również dostrzegalny, pod warunkiem, że będziecie panowie uważnie obserwować te butelkę.

Raz jeszcze cud elektroniki starł się z barierą czasu, a powietrze zatrzęsło się od wyładowań. Butelka po piwie drgnęła równie niedostrzegalnie jak przedtem.

- To trwa już zbyt długo - L.M. ruszył w kierunku schodów - a propos, Barney, jesteś pan zwolniony.

- Nie może pan wyjść w tym momencie! Nie dał pan Hewettowi najmniejszej szansy, by mógł dowieść swoich racji, albo mnie zlecić, bym je panu wyjaśnił.

Barney był wściekły, wściekły na siebie, wściekły na dogorywającą firmę, która go zatrudniała, na ludzką głupotę i próżność i na to, że stan jego konta w banku dawno już spadł

poniżej zera. Rzucił się w stronę L.M. i wyrwał z jego ust wciąż tłącą się „havanę”.

- Urządzimy tu prawdziwy pokaz. Coś, co wreszcie pan doceni!

- Płacę za te cygara po dwa zielone od sztuki! Oddaj je pan...

- Za chwilę dostanie je pan z powrotem, a na razie proszę patrzeć - Barney strącił butelkę po piwie na podłogę i na jej miejscu położył cygaro.

- Które z tych urządzeń służy do sterowania mocą mechanizmu? - zapytał Hewetta.

- Natężenie wejściowe regulowane jest tym opornikiem, ale czemu pan pyta? Nie można przekroczyć maksymalnej granicy przemieszczenia w czasie bez zniszczenia całego mechanizmu... Stój!

- Nowe wyposażenie może pan sobie kupić w każdej chwili, ale jeśli nie uda się przekonać L.M., zostanie pan na łodzi - i dobrze pan o tym wie. Jedziemy na całego!

Jedną ręką Barney odepchnął wierzgającego profesora, drugą zaś w tym samym momencie przekręcił regulator mocy na maksimum, odrywając przy okazji pokrętło opornika. Tym razem efekt okazał się daleko bardziej zauważalny. Jęk aparatury przerodził się w upiorne za-wodzenie, od którego pękały bębny w uszach, przewody rozjarzyły się jak wszystkie ognie piekielne, na metalowych elementach maszyny rozigrały się bezustanne wyladowania elektryczne, a włosy wszystkich obecnych stanęły dęba i sypnęły iskrami.

- Wsadzono mnie na krzesło elektryczne! - wrzasnął L.M. w momencie, gdy wraz z ostatnim spazmem energii wszystkie kable zapłonęły oślepiająco, eksplodowały - i nastąpiła ciemność.

- Tam! Patrzcie tam! - ryknął Barney, pstrykając swoim Ronsonem, by rozproszyć mrok. Metalowa płyta była pusta.

- Jesteś mi winien dwa dolce.

- Patrzcie, zniknęło!!! Na co najmniej dwie sekundy, trzy... cztery... pięć... sześć.

Nagle cygaro, wciąż jeszcze dymiące, ukazało się ponownie na płycie. L.M. chwycił je i zaciągnął się głęboko.

- W porządku, niech to sobie będzie wehikuł czasu. Ale w jaki sposób może on pomóc przy produkcji filmów, albo przy wyciąganiu Climactic z bryndzy?

- Niech mi pan pozwoli wreszcie wyjaśnić...

II

Sześciu obecnych w gabinecie mężczyzn rozsiadło się półkolem naprzeciw biurka L.M.

- Zamknąć drzwi na klucz i przeciąć kable telefoniczne - zarządził Greenspan.

- Jest trzecia nad ranem - zaprotestował Barney. - Podśluch można wykluczyć.

- Jeśli banki zwąchają, co się tutaj dzieje, jestem zrujnowany do końca życia, albo i na dłużej. Odciąć kable.

- Pozwoli pan, że się tym zajmę - Amory Blestead, szef departamentu technicznego Climactic Studios wstał i wy dobył z kieszeni na piersi kombinezonu izolowany śrubokręt.

Tajemnica wreszcie się wyjaśniła. Od roku moi chłopcy naprawiają te cholerne kable mniej więcej dwa razy na tydzień, pomyślał.

Pracował szybko, sprawnie wyciągając końcówki przewodów z gniazdek i rozłączając kolejno siedem telefonów, interkom, monitor telewizji wewnętrznej i linie specjalną. L.M.

Greenspan obserwował go uważnie i nie odezwał się ani słowem, dopóki nie stwierdził osobiście, że wszystkie dziesięć kabli zwisa luzem.

- Meldować - rzucił, dźgnąwszy palcem w stronę Barneya Hendricksona.

- Wreszcie możemy zaczynać, L.M. Wszystko gotowe do rozruchu. Podstawowe urzą-

dzenia Vremiatronu zostały zbudowane w oparciu o dekoracje do „Zaślubin potwora z córką Thinga”, co umożliwiło nam pokrycie wszelkich kosztów z budżetu tego filmu. Dodam, że w istocie nawet na tym zarobiliśmy maszyną profesora kosztuje bez porównania mniej niż wynosiły nasze normalne wydaty...

- Bez dygresji!

- W porządku. Ostatnie sceny studyjne do tego filmu o potworze nakręcono dziś po po-

łudniu, to jest, chciałem powiedzieć, wczoraj po południu, dzięki czemu zdołaliśmy załatwić paru monterów, którzy w nadgodzinach wypucowali całą maszynę. Jak tylko sobie poszli, reszta z nas zamontowała ją na platformie wojskowej ciężarówce z filmu „Brookliński kapuś nr 1”, profesor zaś podłączył i posprawał wszystko, co się dało. W efekcie całość jest zapię-

ta na ostatni guzik.

- Nie podoba mi się ta ciężarówka. To się może wydać.

- Niemożliwe, panie L.M., podjęliśmy wszelkie środki ostrożności. Ciężarówka pochodzi z demobilu

i była przeznaczona do sprzedaży w zupełnie innym miejscu. Kupiliśmy ją absolutnie legalnie, naszymi zwykłymi kanałami, a Tex dotransportował ją tutaj. Powtarzam panu, jesteśmy zupełnie czysti.

- Tex? Tex! A któż to taki? Kim w ogóle są ci ludzie? - L.M. uniósł się, tocząc podejrzliwym wzrokiem po siedzących przed nim osobach. - Wydaje mi się, że prosiłem cię o maksymalną dyskrecję, o utrzymanie całej sprawy w tajemnicy, aż przekonamy się jak to działa!

Jeżeli banki zwęszą...

- Operacja zakrojona jest na możliwie jak najmniejszą skalę. Ekipa składa się ze mnie, profesora, którego pan zna, oraz Blesteade'a, pańskiego szefa technicznego, z którym współ-

pracuje pan od lat trzydziestu...

- Wiem, wiem... Ale ci trzej tutaj, co to za jedni? - L.M. wskazał palcem na dwóch milczących, czarnowłosych osobników odzianych w „levisy” i skórzane kurtki, oraz wysokiego, nerwowego mężczyznę o jaskraworudej czuprynie.

- Tych dwóch z przodu to Tex Antonelli i Dallas Levy, kaskaderzy.

- Kaskaderzy? Jakże znów cuda masz tu zamiar przepchnąć, ściągając tych dwóch lewych kowbojów?

- Czy nie zechciałby pan odprężyć się na chwilę, panie L.M.? Realizacja tego projektu wymaga pomocy zaufanych ludzi, ludzi, którzy potrafią trzymać język za zębami, a w wypadku jakiegoś niebezpieczeństwa znają się dobrze na swojej robocie. Dallas służył w piechocie liniowej, a zanim pojawił się u nas, żył z rodeo. Tex - trzynastcie lat w marines, potem pracował jako instruktor walki wręcz.

- A ten trzeci facet?

- To doktor Jens Lynn z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, filolog.

Wysoki mężczyzna powstał gwałtownie i skłonił się szybko w stronę biurka.

- Specjalizuje się w językach germańskich, czy w czymś takim. Będzie naszym tłumaczem.

- Czy wszyscy panowie tutaj, jako członkowie zespołu zdajecie sobie sprawę z wagi tego przedsięwzięcia? - spytał L.M.

- Płacą mi za to - rzekł Tex - że umiem trzymać gębę na kłódkę.

Dallas skinął głową na znak milczącej zgody.

- To unikalna okazja - dorzucił gwałtownie Lynn, z nieznacznym duńskim akcentem. -

Wziąłem roczny urlop naukowy i jestem zdecydowany towarzyszyć panom nawet za nędzne

pieniądze, jako konsultant historyczny... Wiemy przecież tak mało o potocznym języku staronorweskim.

- W porządku, w porządku - chwilowo zupełnie uspokojony L.M. machnął ręką. - A teraz - jak wygląda nasz plan. Proszę o szczegóły.

- Mamy zamiar wybrać się w podróż próbną - odparł Barney - by sprawdzić, czy wszystkie urządzenia profesora naprawdę działają.

- Zapewniam pana... - usiłował wtrącić profesor.

- Jeśli tak - montujemy ekipę, piszemy scenariusz i kręcimy film na miejscu. I to na jakim miejscu! Cała historia otwarta dla szerokiego ekranu. Jesteśmy w stanie sfilmować wszystko, utrwalić...

- I uratować wytwórnię od bankructwa - przerwał mu L.M. - Żadnych godzin nadliczbowych, żadnych kłopotów z dekoracjami, żadnych problemów ze związkami zawodowymi.

- No, no! Uważaj pan - Dallas warknął, spoglądając spode łba.

- Rzecz jasna, nie miałem na myśli pańskiego związku - dorzucił pośpiesznie L.M. -

Cała ekipa zostaje zatrudniona od zaraz. Płaca według umów zbiorowych, ba, nawet wyższa, plus wszelkiego rodzaju premie. Ruszaj, Barney, póki jeszcze nie wygasł mój entuzjazm i nie wracaj tu bez dobrych nowin.

*

Kroki idących odbijały się głośnie echem w wąskim, betonowym przesmyku między dwoma gigantycznymi studiami dźwiękowymi. Cisza i samotność wymarłej wytwórni sprzyjały zwątpieniu i niewesołym myślom na temat ogromnej skali całego przedsięwzięcia. Idąc, bezwiednie zbili się w ciasną gromadkę. Wartownik na zewnątrz gmachu zaszalutował.

- Bezpiecznie jak u mamusi, sir. Absolutnie żadnych kłopotów. - Jego głos przełamał nienaturalną ciszę.

- Świetnie - odparł Barney - prawdopodobnie zostaniemy tu do rana. Wie pan, robota specjalna, proszę uważać, by nikt nie kręcił się w okolicy.

- Mówiłem o tym kapitanowi. Wydał już chłopcom odpowiednie polecenia.

Barney zamknął za sobą drzwi na klucz. Spod podtrzymujących sufit krokwi rozbłysły światła. Magazyn był prawie pusty, z wyjątkiem kilku podpierających ścianę, zakurzonych dekoracji i oliwkowo szarej ciężarówki z płócienną plandeką i białą wojskową gwiazdą, wy-malowaną na drzwiach.

- Baterie i akumulatory w porządku - oznajmił profesor Hewett, gramoląc się na platformę

ciężarówki. Postukał lekko w rząd tarcz kontrolnych, potem odcepiał ciężkie kable, biegnące do umocowanej w ścianie skrzynki rozdzielczej i ułożył je starannie.

- Proszę wchodzić, panowie. Eksperyment możemy zacząć w dowolnym momencie.

- Czy nie mógłby pan używać innego słowa niż „eksperyment” - zapytał uczonego Amory Blestead i pożałował nagle, że zgodził się brać udział w tym wszystkim.

- Włączę do szoferki - stwierdził Tex Antonelli - czuje, że tam będzie mi najlepiej. Zjechałem czymś takim całe Wyspy Mariańskie.

Pozostali, jeden po drugim, podążyli w ślad za profesorem pod plandekę. Dallas zamknął wejście. Ponieważ większość miejsca w środku zajmowała obudowa mechanizmów elektronicznych i duży generator spalinowy, zmuszeni byli usiąść na skrzyniach ze sprzętem i częściami zamiennymi.

- Jestem gotów - oznajmił profesor. - Może na początek rzucimy okiem na rok 1500?

- Nie - Barney był wcieleniem powagi - niech pan wyskaluje przyrządy na rok 1000, tak jak to wcześniej ustaliliśmy. Proszę nacisnąć starter.

- Ale wydatek energii byłby znacznie mniejszy, a ryzyko nawet...

- Niech pan przestanie trząść portkami, profesorze. Musimy cofnąć się w czasie tak daleko, jak tylko jest to możliwe. Tak daleko, by nikt nie mógł się domyślić, czym w istocie jest nasza machina i tym samym narobić nam kłopotów. Poza tym podjęto decyzję kręcenia filmu o Wikingach, a nie „Dzwonnika z Notre Dame”.

- To byłoby w wieku XVI - odezwał się Jens Lynn. - Co prawda datowałbym tę historię w średniowiecznym Paryżu nieco wcześniej, około...

- Gieronimo! - warknął Dallas - Jeśli mamy ruszać, to skończmy wreszcie mleć ozorami i ruszajmy. W wojsku pętanie się bez celu i marnowanie czasu przed decydującym starciem, to pewna śmierć.

- Tak, to prawda, panie Levy - rzekł profesor manipulując pokrętłami na tarczy kontrolnej. - Rok Pański 1000... Ruszamy! - Zaklął i ponownie jął grzebać w desce rozdzielczej. -

Większość tych tarcz i guzików to atrapy, dlatego ciągle się mylę - wyjaśnił.

- Zbudowaliśmy tę maszynę dla potrzeb filmów grozy. Tego typu urządzenia muszą wyglądać realistycznie - odparł dziwnie szybko Barney. Na jego twarzy pojawiły się strużki potu. - I to uczyniło ją zupełnie nierealną, ot co! - profesor Hewett pomrukiwał gniewnie, czyniąc ostatnie poprawki i w końcu przekręcił wielki, wielobiegunowy przełącznik.

Silnik generatora zawył pod wpływem gwałtownego wzrostu poboru mocy. Trzeszczące wyładowania elektryczne wypełniły przestrzeń nad aparaturą; na odsłoniętych powierzchniach zamigotały drobiny zimnego ognia. Wszyscy poczuli, że włosy stają im dęba.

- Coś się zepsuło - wydusił z siebie Jens Lynn.

- W żadnym wypadku - odrzekł spokojnie profesor Hewett, robiąc nieznaczne poprawki w mechanizmie. - Po prostu efekt uboczny, wyładowania statyczne bez najmniejszego znaczenia. W tej chwili tworzy się pole. Sądzę, że niedługo wszyscy to poczują.

I rzeczywiście.

- Czuję się, jakby ktoś wpięprzył mi w pępek duży klucz francuski i nawijał na niego moje bebechy - podzielił się swymi doznaniem Dallas.

- Jakkolwiek nie wyraziłbym tego tymi słowami, całkowicie zgadzam się z opisem symptomów - przytaknęła Lynn.

- Przełączam na automatyczną - profesor uniósł się znad pulpitu sterowniczego i wcisnął jakiś guzik. - W ciągu mikrosekundy największego poboru mocy korektury selenowe będą

działać samoczynnie. Możemy to zaobserwować na tej tarczy. Kiedy wskazówka dojdzie do zera...

- Dwanaście - stwierdził Barney wlepiając oczy w przyrząd.

- Dziesięć - odczytywał profesor. - Teraz tworzy się ładunek.

- Osiem... siedem... sześć...

- Dostaniemy za to dodatek wojenny? - spytał Dallas, lecz nikt się nie uśmiechnął.

- Pięć.. cztery.. trzy...

Napięcie stawało się niemal fizycznie odczuwalne. Nikt nie był w stanie nawet drgnąć.

Wszyscy śledzili powolny ruch czerwonej wskazówki.

Profesor odliczał:

- Dwa... jeden...

Nie usłyszeli słowa „zero”. W tym punkcie continuum czasowego nie istniał nawet dźwięk. Mieli uczucie, że coś się stało, coś zupełnie niemożliwego do zdefiniowania i tak odległego od normalnych doznań, że za chwile nie będą już pamiętać ani co to było, ani jakie naprawdę wywarło na nich wrażenie. W tym samym momencie zniknęły światła magazynu, wewnątrz rozjaśniał jedynie mdło fosforyzujący blask urządzeń kontrolnych. Poza otwartym wejściem do ciężarówki, tam gdzie jeszcze przed chwilą widniała zalana światłem hala magazynu, znajdowała się bezkształtna, matowoszara nicość. Wpatrywanie się w nią powodowało ból oczu.

- Eureka! - wrzasnął profesor.

- Ktoś ma ochotę na drinka? - spytał Dallas, wyciągając kwartę żytniówki zza skrzynki, na której siedział, po czym przyjął swe własne zaproszenie, obniżając znacznie poziom cieczy we flaszcze. Butelka krążyła z rąk do rąk - nawet Tex wychylił się z wnętrza szoferki i pocią-

gnął solidnie - i wszyscy zaczerpnęli z niej nieco brakującej im odwagi. Tylko profesor nie pił

- zbyt zajęty przy instrumentach mamrotał coś uszczęśliwiony do siebie.

- Tak, bez wątpienia, bez wątpienia przemieszczenie w przeszłość... w przewidywanym zakresie... tak, teraz przesuniecie w przestrzeni... dobrze... nie, nie wolno nam skończyć w przestrzeni międzyplanetarnej albo na środku Pacyfiku... do licha, nie. - Profesor rzucił okiem na przesłonięty ekran i dokonał kolejnych, drobnych regulacji. - Proponuję, panowie, chwycić się mocno czegoś solidnego. Wyliczyłem potencjalną wysokość powierzchni gruntu najlepiej jak tylko można, ale obawiałem się przesadzić. Nie chciałem wbić ciężarówkę w ziemię, tak że możliwy jest upadek z wysokości rzędu kilkunastu cali... Gotowi? - profesor przekręcił

główny wyłącznik.

Tylne koła ciężarówki dotknęły ziemi pierwsze, w chwilę potem uderzyły o grunt przednie. Silny wstrząs rozrzucił ich na wszystkie strony. Jaskrawe światło słoneczne wlało się do środka przez otwarty tył wozu, oślepiając wszystkich. Świeża bryza niosła odgłosy dalekiego przyływu.

- A niech to jasna cholera i jeszcze raz jasna cholera - mruknął Amory Blestead.

Szarość na zewnątrz zniknęła zupełnie - jej miejsce zajął kamienisty brzeg, o który roz-bijały się fale oceanu. Krawędzie płóciennej plandeki ograniczały widoczność, upodabniając obraz do gigantycznego ekranu kinowego. Nisko nad wodą przelatywały skrzeczące mewy, a dwie zaniepokojone foki parsknęły i rzuciły się do wody.

- Nie przypominam sobie takiej okolicy w Kalifornii - powiedział Barney.

- To nie Kalifornia, jesteśmy w Starym Świecie - odparł z dumą profesor Hewett - a dokładniej - na Orkneyach. Istniały tu liczne osady normańskie. Jesteśmy w XI stuleciu, w roku 1003. Bez wątpienia dziwi pana fakt, że Vremiatron jest w stanie dokonywać przemieszczeń nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni, jest to jednak pochodną...

- Odkąd Hoover wygrał wybory, nic już nie jest w stanie mnie zdziwić - przerwał mu Barney: Poczł, że teraz, kiedy już przybyli dokądś i do kiedyś, odzyskuje stopniowo zdolność kontroli zarówno nad sobą, jak i nad biegiem wypadków.

- No to zaczynamy! Dallas, zroluj z przodu plandekę. Musimy widzieć, dokąd jedziemy.

Po usunięciu przedniej części brezentowej pokrywy ujrzeli kamienistą plażę, a raczej wąską mieliznę między wodą, a rozciągającym się półkuliście wysokim, klifowym brzegiem.

Jakieś pół mili od nich w morze wrzynał się przylądek, zasłaniając zupełnie dalszy widok.

- Ruszamy wzdłuż brzegu - zawołał Barney z tyłu ciężarówki. - Spróbujmy zobaczyć, co słychać tam dalej.

- Słusznie - odrzekł Tex wciskając starter. Silnik jęknął i zaskoczył. Tex wrzucił bieg i samochód potoczył się z wolna po kamienistym gruncie.

- Będzie pan tego potrzebował? - zapytał Dallas i wyciągnął przytroczoną do pasa z nabojami kaburę z rewolwerem. Barney spojrzał na nią z niesmakiem.

- Proszę to zachować dla siebie. Najprawdopodobniej zastrzeliłbym się, gdybym próbo-wał bawić się takimi przedmiotami. Daj to Texowi, a sam trzymaj w pogotowiu także i kara-bin.

- Czy nie powinniśmy wszyscy być uzbrojeni, choćby na wszelki wypadek, dla obrony własnej? spytał Amory Blestead. - Potrafię obchodzić się z bronią.

- Ale nie zawodowo - odparł Barney. - Twoim zadaniem jest pomagać profesorowi.

Vremiatron jest najważniejszy. Tex i Dallas zatroszczą się o uzbrojenie - wtedy możemy mieć pewność, że obędzie się bez wypadków.

- Stać, u diabła! Spójrzcie, to zbyt piękne, bym mógł to widzieć na własne oczy - wykrzyknął Jens Lynn, wskazując ręką przed siebie. Ciężarówka przetoczyła się wokół przylą-

dka i przed nimi otworzyła się mała zatoczka. Tuż przy plaży stała nędznie wyglądająca chata, zbudowana z kamieni i niezdarnie pociętych brył torfu, pokryta strzechą z wodorostów.

Ze służącego za komin otworu spiralą wydobywał się dym, lecz w okolicy nie dostrzegli żywego ducha.

- Gdzie oni się podzieli? - spytał Barney.

- To zupełnie zrozumiałe. Widok ciężarówki, warkot silnika wystraszyły ich i zapewne uciekli do tej chaty.

- Wyłącz motor, Tex. Może powinniśmy wziąć ze sobą trochę paciorków albo czegoś w tym rodzaju...

- Obawiam się, że to nie jest ten gatunek tubylców, jaki pan ma na myśli...

Jakby na potwierdzenie tych słów okrągłe drzwi domostwa otworzyły się z trzaskiem.

Wyskoczył z nich jakiś człowiek, rycząc przeraźliwie i wymachując nad głową toporem o szerokim ostrzu. Podskoczył, uderzył toporem o wielką tarczę, którą dźwigał na lewym ramieniu i rzucił się pędem po zboczu wzgórza w ich kierunku. Sunął niezwyklej długości susami i w miarę jak się zbliżał, dostrzegli nowe szczegóły - czarny, rogaty hełm na głowie, rozwianą jasną brodę, sumiaste wąsy. Nagle, wciąż rycząc niezrozumiale, mężczyzna zaczął

kąsać krawędź tarczy, z ust pociekła mu piana.

- Proszę zauważyć, panowie, że jest on najwyraźniej zaniepokojony. Jednak Wiking nie może okazać strachu w obecności niewolników i służby. A oni bez wątpienia obserwują go ukradkiem z wnętrza domu. Dlatego usiłuje wprowadzić się w stan szału wojennego...

- Może sobie pan darować ten wykład, doktorze. Dallas, spróbujcie razem z Texem zła-pać tego faceta i przyhamować go co nieco, zanim narobi tu szkód.

- Pakując w niego kulkę możemy przyhamować go zupełnie na dobre.

- Nie. W żadnym wypadku. Firma nie będzie tolerować morderstwa, nawet popełnionego w obronie własnej.

- W porządku, skoro tak pan uważa, ale to zadanie podpada pod paragraf „ryzyko osobiste”, za co, zgodnie z umową, przewidziany jest dodatek specjalny.

- Wiem, wiem, ale idźcie już, zanim... - przerwał mu głuchy łoskot, a potem brzęk, po którym nastąpił jeszcze głośniejszy, zwycięski okrzyk.

- Rozumiem go, rozumiem co on mówi - wrzeszczał uszczęśliwiony Jens Lynn - prze-chwala się, że wyłupił potworowi oko.

- Ta wielka pokraka poszatkowała nasz reflektor - krzyknął Dallas. - Tex, zajmij go czymś. Ja pójdę za tobą. Staraj się go stąd odciągnąć.

Tex Antonelli wysliznął się niepostrzeżenie z szoferki i pognał w kierunku plaży, jak najdalej od ciężarówki. Właściciel topora dostrzegł go i natychmiast rzucił się za nim. Kiedy dystans między nimi zmalał do jakichś pięćdziesięciu jardów, Tex zatrzymał się i podniósł

dwa, dobrze obtoczone przez morze kamienie wielkości pięści. Chwycił jeden z nich w dłoń jak piłeczkę baseballową i czekał spokojnie aż hałaśliwy napastnik podejdzie bliżej. Z odległości pięciu jardów cisnął pierwszy kamień w głowę przeciwnika, a w momencie, gdy ten uniósł tarczę by odbić pocisk, rzucił drugi, tym razem w brzuch. Oba kamienie znalazły się w powietrzu równocześnie, i chociaż pierwszy został odbity tarczą, drugi trafił mężczyznę prosto w żołądek. Wiking siadł i wydał z siebie głośny jęk. Tex obsunął się kilka stóp dalej i podniósł następne dwa kamienie.

- Bleyoa! * - wysapał obalony wojownik, potrząsając toporem.

- Nie może być, a ty to nie? Chodź tu, koleś, znamy się na takich. Chłop jak dąb - jajka jak żołądzie.

- Trzeba go zapakować - stwierdził Dallas, który wychynął właśnie zza ciężarówki i wymachiwał nad głową lassem. - Profesor trzęsie się o ten swój śmietnik i chce wracać.

- Dobra, zaraz go dostarczę.

Tex rzucił w stronę Wikinga paroma wyzwiskami, popularnymi w środowisku zbliżonym do Korpusu

Piechoty Morskiej, lecz nie udało mu się przełamać dzielącej ich bariery językowej. Uciekł się zatem do uniwersalnego języka gestów, który opanował był za młodu.

Pełnymi ekspresji ruchami rąk i palców określił go jako rogakza, kastrata, przypisał mu nieco

* Tchórz!

plugawych nawyków, kończąc Obelgą Ostateczną - uderzył lewą ręką w biceps prawej, co spowodowało raptowny wzlot prawej pięści ku niebu. Co najmniej jeden, a być może i więcej tych gestów musiało szczyć się genealogią sięgającą czasów poprzedzających jedenaste stulecie, bowiem Wiking ryknął wściekle i słaniając się poderwał na równe nogi. Tex, pomimo iż przypominał karła stawiającego czoła szarżującemu gigantowi, stał spokojnie w miejscu.

Wojownik wznosił topór, lecz ciśnięty przez Dallasa arkan wyrwał mu go z rąk. W tym momencie Tex szybkim rzutem całego ciała zwałił go z nóg. W chwili, gdy Wiking z głuchym łomotem runął na ziemię, obydwaj siedzieli mu już na karku - Tex obezwładniał go podwójnym nelsonem, a Dallas wiązał ciasno, gwałtownie wymachując sznurem. Kilka sekund pó-

źniej Wiking był całkowicie bezradny i z rękoma i nogami związanymi razem z tyłu, za plecami, był bezsilnie, zaś obaj kaskaderzy wlekli go po kamieniach w stronę samochodu. Tex niósł także topór, a Dallas tarczę.

- Muszę z nim pomówić - krzyknął Lynn - to wyjątkowa okazja.

- Należy natychmiast opuścić to miejsce - ponaglił profesor, manipulując delikatnie regulatorami.

- Atakują nas - zawył Amory Blestead, wskazując na poły sparaliżowanym palcem w kierunku domu. Rozjuszona horda kudłatych mężczyzn, zbrojnych w różnego rodzaju topory, miecze i włócznie runęła ze wzgórza w ich kierunku.

- Wynosimy się stąd - zarządził Barney. - Weźcie tego prehistorycznego rębajłę na platformę i jazda! Będziemy mieli kupa czasu na pogawędkę z nim po powrocie do domu, doktorze.

Tex wskoczył do szoferki i wyszarpnął spod siedzenia rewolwer. Wystrzelał w kierunku morza cały bębenek, zapuścił silnik, włączył ocalały reflektor i nacisnął klakson. Okrzyki atakujących przerodziły się w trwoźny lament, w popłochu zawrócili w stronę chaty ciskając po drodze broń. Ciężarówka zatoczyła łuk i ruszyła ku plaży. W chwili, gdy dojeżdżali do ostre-go zakrętu u podstawy przylądka, z drugiej jego strony ryknął klakson. W ostatniej chwili Tex zdążył szarpnąć kierownicę w prawo - opony dotknęły załamujących się fal morskich. Zza cypla wypadła oliwkowo szara ciężarówka i poprzedzana wyciem klaksonu, przemknęła obok nich.

- Niedzielny kierowca - wrzasnął Tex przez okno i znów dodał gazu. Barney patrzył, jak druga ciężarówka mija ich, zarzucając w koleinach, które po sobie pozostawili. Spojrzał na otwarty tył wozu i skamieniał. Ujrzał siebie samego, krzywiącego się wstrętnie, miotanego we wszystkie strony przez podskakującą na kamieniach maszyn. Zanim druga ciężarówka zniknęła z pola widzenia, sobowtór uniósł kciuk do nosa i zagrał na nim, wyraźnie kierując ten gest pod jego adresem. Barney

opadł na skrzyni dopiero wtedy, gdy widok przesłoniła mu ściana skał.

- Widział pan? Co to było?

- W najwyższym stopniu interesujące - odpad profesor Hewett, wciskając starter generatora. - Czas jest o wiele bardziej plastyczny niż kiedykolwiek odważyłem się sądzić. Pozwala to na dublowanie się linii świata, a być może nawet na nieograniczoną liczbę pętli czasu.

Możliwości zdają się być nieskończone...

- Czy może pan przestać bełkotać i zamiast tego wytłumaczy mi co ja właściwie widzia-

łem? - warknął Barney, przechylając, niestety niemal całkowicie już opróżnioną, butelkę whisky.

- Widział pan siebie, albo raczej widzieliśmy nas, którzy dopiero będą. Obawiam się, że struktury gramatyczne naszego języka nie pozwalają dokładnie określić sytuacji, której byli-

śmy świadkami. Sądzę, że lepiej będzie powiedzieć, że widział pan tę samą ciężarówkę z sobą w środku, taką jaką będzie ona później. Myślę, że jest to wystarczająco proste, by zdołał pan zrozumieć.

Barney jęknął i opróżnił butelkę do końca. Chwilę potem wrzasnął z bólu, bowiem Wiking zaczął turlać się po podłodze i uderzył go w nogę.

- Radzę trzymać nogi na skrzyniach. On ciągle toczy pianę z gęby - ostrzegł wszystkich Tex Dallas. Zwolnili.

- Dojeżdżamy do miejsca, w którym wylądowaliśmy. Co dalej? - spytał Tex.

- Zatrzymaj się możliwie jak najbliżej miejsca naszego przybycia. To uprości manewrowanie. Panowie! Rozpoczynamy powrotną podróż w czasie.

- Troll taki yor oll! * - ryknął Wiking.

III

- Coś wam nie wyszło? - spytał podejrzliwie L.M., gdy wyczerpana ekipa weszła do jego gabinetu i opadła na te same fotele, które opuściła osiemnaście stuleci wcześniej. - Co się stało? Wyszliście stąd przed dziesięcioma minutami i już jesteście z powrotem?

- To dla pana dziesięć minut, L.M. - odparł Barney. - Dla nas to były godziny. Aparatura jest w porządku. Największą przeszkodę mamy zatem za sobą. Vremiatron profesora Hewetta działa, i to lepiej niż mogliśmy się spodziewać. Droga do wysłania z powrotem zespołu i przystąpienia do kręcenia prawdziwego, szerokoekranowego, realistycznego i taniego filmu historycznego z prawdziwego zdarzenia, stoi przed nami otworem. Następny problem jest zgoła trywialny.

- Fabuła?!

- Jak zwykle ma pan rację, L.M. A, przypadkiem, mamy fabułę - opowieść prawdziwą i co więcej, patriotyczną! Gdybym spytał pana, kto odkrył Amerykę - cóż by pan odpowiedział?

- Krzysztof Kolumb. Rok 1492.

- Tak myśli większość, ale w rzeczywistości te robotę odwalili Wikingowie.

- To Kolumb był Wikingiem? Byłem przekonany, że był Żydem.

- Dajmy spokój Kolumbowi. Na pięćset lat przed jego urodzeniem łodzie Wikingów wypłynęły z Grenlandii i odkryły ląd, który nazwano Winlandem. Jak dowiodły badania, była to część Ameryki Północnej. Pierwszą wyprawą dowodził Eryk Czerwony...

- Do diabła z tym pomysłem. Chcesz żebyśmy trafili na czarną listę za kręcenie filmów o komuchach?

- Proszę, niech pan zaczeka chwilę. Po odkryciu przez Eryka, to miejsce zostało skolonizowane. Wikingowie przybyli tam i osiedlili się. Pobudowali domy, uprawiali rolę, a wszystkim tym kierował legendarny bohater Thorfinn Karlsefni...

- Co za nazwisko? O to też mi idzie. Już słyszę dialog w trakcie głównej sceny miłosnej... pocałuj mnie, najdroższy Thorfinnie Karlsefni, szepce ona! Do bani! Nie gorączkuj się tak, Barney.

- Nie może pan zmieniać historii, L.M.

- A co innego robiliśmy do tej pory? Nie mieszaj mi tutaj, Barney. Byłeś moim najlepszym reżyserem i kierownikiem produkcji, zanim ten wszawy dom wariatów doprowadził

nas do ruiny. Weź się w garść. Kinematografia to nie produkcja pomocy szkolnych. Sprzedajemy rozrywkę, a jeśli ta rozrywka nie bawi, to nie możemy jej sprzedać! Przynajmniej ja to tak widzę. Weźmiemy tego Wikinga - nazwiesz go Benny, albo Carlo, albo dasz mu jakieś inne przyzwoite skandynawskie imię i stworzysz sagę o jego przygodach...

* „Niech was wszystkich Trolle pożrą!” (prechrześcijański odpowiednik „Niech was diabli wezmą”).

- Saga! Oto właściwe słowo, panie L.M.

- ... cały dzień walki, zwycięskiej oczywiście, nieustraszony, o coś w tym guście!

Wypływa, odkrywa Amerykę i mówi „Odkryłem Amerykę”, no i... wybierają go królem. I oczywiście dziewczyna... w długiej, blond peruce... Macha mu ręką na pożegnanie ilekroć on wypływa i obiecuje powrócić. Tyle, że teraz nieco się już postarzał, skronie przyprószone siwizną, parę blizn - cierpiął. Tym razem, zamiast rozstawać się znowu, zabiera dziewczynę i żeglugą na zachód, by rozpocząć nowe życie jako pionierzy w Plymouth Rock. Jasne?

- Jak zwykle wspaniałe, panie L.M. Nie traci pan ręki - westchnął Barney wyraźnie znużony. Doktor Jens Lynn, którego oczy otwierały się wciąż szerzej i szerzej, wydał z siebie zduszony okrzyk.

- A-a-ale to nie było tak. Tego nie ma w źródłach. Nawet pan Hendrickson nie był zupełnie ścisły. Uważa się powszechnie, że Winland odkrył Leif Ericsson, syn Eryka Czerwo-nego. W kronikach spotykamy dwie wersje - jedną w Hanksbok, odmienną w Flateyjarbok...

- Wystarczy - mruknął L.M. - Rozumiesz co nam na myśli, Barney? Jak widzisz, nawet książki historyczne nie są ze sobą w zgodzie, tak że po zebraniu do kupy tego i owego oraz po pewnych poprawkach będziemy mieli wątek. Kogo proponujesz do głównych ról?

- Ruf Hawk byłby znakomity jako Wiking - o ile uda nam się go dostać. No i jakąś aktorka taką która rzeczywiście wygląda na swoją płęć.

- Slithey Tove. Jest w zasięgu ręki i na razie nic nie kręci, a od dwóch tygodni jej agent pęta się tu bez przerwy z propozycjami. Sądzę, że się złamie i dostaniemy ją tanio. Dalej, bę-

dziesz potrzebował tekściarza. Do tego mamy Charleya Changa, jest u nas na kontrakcie. To fachman.

- Być może od scenariuszy biblijnych, ale nie historycznych - zauważył powątpiewająco Barney - i szczerze mówiąc, nie jestem najlepszego zdania o jego „Zdjęciu z krzyża”, czy

„Przejściu przez Morze Czerwone”.

- Te filmy wykończyła cenzura. Osobiście akceptowałem scenariusze - były wspaniałe...

L.M. przerwał nagle, gdyż spoza ściany dobiegł rozzwierający krzyk.

- Słyszycie to?

- To ten Wiking - powiedział Tex. - Wciąż rwie się do bitki. Musieliśmy dać mu w łeb i przykuliśmy go łańcuchami do prysznicza w toalecie dla zarządu.

- Kto taki? - zdziwił się L.M.

- Informator - odpowiedział mu Barney. - Jeden z tubylców. Zaatakował ciężarówkę...

no i wzięliśmy go ze sobą, żeby doktor Lynn mógł z nim porozmawiać.

- Dawać go tu. Oto człowiek, jakiego potrzebujemy. Ktoś ze znajomością stosunków lokalnych. Przyda się do rozwiązywania wielu problemów w czasie produkcji. Podczas zdjęć w plenerze musicie mieć kogoś znającego się na rzeczy.

Tex i Dallas wyszli. Po kilku minutach, w trakcie których od czasu do czasu rozlegały się głucho łomoty i brzęk łańcuchów, wrócili wraz ze swym więźniem. Wiking zatrzymał się w drzwiach, nieco szklanym wzrokiem przypatrując się oczekującym go w gabinecie ludziom. Po raz pierwszy mogli przyjrzeć mu się w spokoju.

Był wysoki - nawet bez rogatego hełmu mierzył nieomal siedem stóp wzrostu - i włochaty jak niedźwiedź. Skudlone, jasne włosy spadały mu na ramiona, a obwisłe wąsy ginęły w falach spływającej na pierś brody. Jego odzienie, składające się z grubo tkanego kaftana i spodni trzymało się dzięki różnym rodzajom grubych, skórzanych rzemieni i wydzielało intensywną woń ryby, zastarzałego potu i dziegciu. W zestawieniu z tym wszystkim ciężkie złote bransolety, które nosił na rękach wydawały się nieco nie na miejscu. Jasnoniebieskie, nieomal przezroczyste oczy patrzyły spode łba na obecnych. Był sponiewierany i skuty łańcu-chem, ale najwyraźniej nieuszkodzony. Stał z wysoko podniesionym czołem i dumnie wypię-

tą piersią.

- Witaj, w Hollywood - powitał go L.M. - Proszę usiąść, daj mu drinka Barney, i czuć się jak u siebie w domu: Pańskie imię, o ile dobrze dosłyszałem...?

- On nie mówi po angielsku, panie L.M.

L.M. Greenspanowi zrzędała mina.

- Nie powiem, żebym to pochwalał, Barney. Nie lubię rozmawiać przez tłumacza. Za wolno i nie można na tym polegać... No dobra - Lynn, niech pan robi swoje. Proszę go zapytać o nazwisko.

Jens Lynn mamrotał coś do siebie przez chwilę, odmieniając w pamięci podstawowe formy jakiegoś staronorweskiego czasownika, po czym przemówił:

- Hvat heitir maorinn? *

Wiking mruknął coś pod nosem i zignorował pytanie.

- W czym problem? - niecierpliwił się L.M. - Mam nadzieję, że potrafi pan szwargotać tym narzeczem? Czy on pana rozumie?

- Musi pan uzbroić się w cierpliwość, sir. Staronorweski już od prawie tysiąca lat jest językiem martwym i znamy go jedynie z przekazów pisanych. Współcześnie najbardziej zbli-

żony do niego jest islandzki, dlatego używam wymowy i intonacji islandzkiej...

- Dobra, dobra. Nie potrzebuję wykładów. Postarajcie się go zrelaksować, naoliwcie kilkoma drinkami i zasuwamy.

Tex popchnął fotel, podcinając od tyłu kolana Wikinga, tak że ten usiadł, patrząc wzrokiem pełnym nienawiści. Barney wydobył butelkę „Jacka Daniela” z ukrytego pod kopią Rembrandta barku w ścianie i napełnił słusznym rozmiarów szklanekę do połowy. Lecz kiedy wyciągnął ją w stronę gościa, ten wykręcił głowę na bok i zagrzechotał krepującymi mu nad-garstki łańcuchami.

- Etir! ** - warknął.

- Myśli, że próbujemy go otruć - powiedział Lynn.

- Łatwo się z tym uporać - odparł Barney, po czym podniósł szklanekę i pociągnął z niej solidny łyk. Tym razem Wiking pozwolił przytknąć sobie naczynie do ust i zaczął pić. Stopniowo jego oczy stawały się coraz szersze i szersze, aż wysączył zawartość do ostatniej kropli.

- Ooinn ok Fitarligg! *** - ryknął uszczęśliwiony i strząsnął łzy, które napłynęły mu do oczu.

- Powinno mu smakować - kosztuje 7.25 za butelkę w hurcie. Mogę się założyć, że tam skąd przybywa, nie mają takiego towaru. Zapytaj go pan jeszcze raz o imię.

Wiking aż zmarszczył się z napięcia, przysłuchując się z uwagą powtarzanemu na wiele sposobów pytaniu i skoro tylko je zrozumiał, odpowiedział ochoczo:

- Ottar - i spojrzał przeciągle na butelkę.

- Nareszcie gdzieś jesteśmy - stwierdził L.M. Rzucił okiem na stojący na biurku zegar. -

Zbliża się czwarta rano i chciałbym ustalić kilka rzeczy. Zapytaj pan tego Ottara o kurs - jaką oni tam mają walutę, Lynn?

- Prowadzą głównie handel wymienny, ale mamy pewne wzmianki o srebrnej grzywnie.

- To właśnie chcemy wiedzieć. Ile tych grzywien wychodzi na dolara i niech mu pan powie, żeby nie podawał żadnych idiotycznych kursów oficjalnych. Interesuje mnie wolnorynkowa stopa wymiany. W razie czego, jeśli będę musiał, kupię te grzywny w Tangerze...

Ottar zawył, wyskoczył z fotela, wpychając przy tym Barneya w rząd roślin doniczkowych i schwycił butelkę z resztą burbona. Przytykał ją właśnie do ust, gdy Tex zdzielił go pałką w głowę. Wiking osunął się bez czucia na podłogę.

- Co to znaczy! - wrzasnął L.M. - Morderstwo w moim własnym gabinecie! Szaleńców mam po uszy w moim zrzeczeniu. Zabierzcie tego typa tam skąd przyszedł i znajdźcie mi

* Jak się nazywasz?

** Trucizna!

*** Odyn i Frigg! (Król i królowa skandynawskich bogów).

kogoś, kto mówi po angielsku. Następnym razem nie mam ochoty na żadnych tłumaczy.

- Ale żaden z nich nie mówi po angielsku - zauważył wściekle Barney wydobywając z rękawa resztki kaktusa.

- To nauczcie jakiegoś, ale nie takiego wariata.

IV

Barney Hendrickson z trudnością powstrzymał jęk. Ręka, którą uniósł do ust kartonowy kubek z kawą drżała nieznacznie. Zdążył już zapomnieć ile godzin - czy raczej stuleci - upłynęło od chwili, kiedy po raz ostatni zmrużył oczy. W ciągu minionej nocy kłopoty przewalały się za kłopotami, by wraz z brzaskiem nowego dnia ustąpić miejsca nowym troskom. Głos Dallasa Levy'ego brzęczał w słuchawce telefonu jak rozwścieczona osa. Barney drobnymi łyżkami popijał kawę.

- Racja, zgadzam się, Dallas - odpowiadał ochryłym głosem, gdyż jego struny głosowe uległy daleko posuniętej korozji w rezultacie wypalenia trzech paczek papierosów pod rząd. -

Tak, siadźcie przy nim i starajcie się go uspokoić, nikt nawet nie będzie się zbliżał do tych starych hal magazynowych... W porządku, tak... ostatnie trzy godziny policzymy wam po-dwójnie... no dobra... słusznie... potrójnie... OK, akceptuję zlecenie wypłaty. Tak... trzymajcie go pod kluczem i proszę bez żadnych ekscesów, dopóki nie zdecydujemy co z nim dalej po-cząć. Poproś też doktora Lynna, żeby przyszedł do mnie na górę, jak tylko skończy pertrakta-cje w kasie. To wszystko.

Barney odłożył słuchawkę i spróbował skupić się nad arkuszami kosztorysów. Jak dotąd większość proponowanych pozycji zdobiły wielkie znaki zapytania; zanosilo się na piekielnie drogi film. A co się stanie, jeśli policja zwącha coś na temat zamkniętego w kazamatach Wikinga? Czy mogą go oskarżyć o porwanie kogoś, kto umarł prawie tysiąc lat temu?

- Zaczynam dostawać fioła - mruknął, sięgając ponownie po kawę.

Profesor Hewett, jak zawsze świeżutki i wypoczęty, przemierzał drobnymi kroczkami gabinet, manipulując przy kieszonkowym kalkulatorze. Wyniki obliczeń notował śpiesznie w małym notesie.

- Doszedł pan do jakichś rezultatów, profesorze? - spytał Barney. - Będziemy w stanie wysłać w przeszłość coś większego niż ciężarówka?

- Cierpliwości, drogi panie, musi się pan uczyć cierpliwości. Natura odsłania nam swoje tajemnice jedynie z największą niechęcią. Niekiedy błąd rzędu jednej dziesiątej może uniemożliwić dokonanie odkrycia. Równania zawierają znacznie więcej zmiennych i to zupełnie innej natury niż proste cztery wymiary, stosowane przy opisie wielkości fizycznych w czasie.

Musimy wziąć pod uwagę co najmniej trzy czynniki dodatkowe - czynnik przesunięcia w przestrzeni, masy i błędu kumulacyjnego - co, moim zdaniem spowodowane jest zjawiskiem entropii...

- Niech mi pan oszczędzi szczegółów, proszę tylko o jasną odpowiedź. To wszystko czego od pana wymagam.

Zabrzączał interkom i Barney polecił wpuścić doktora Lynna. Lynn podziękował za proponowanego mu papierosa i wygiął swe długie ciało, dopasowując je do kształtu fotela.

- Bardzo proszę - żadnych złych wieści - zaczął Barney. - Chyba że nie potrafi pan mówić o niczym innym. A więc - żadnych sukcesów z Wikingiem?

- Jak pan słusznie zauważył - żadnych. Składają się na to problemy natury językowej.

Musi pan zdać sobie sprawę, że władam staronorweskim w stopniu dalekim od doskonałości.

Do tego należy dodać fakt, że Ottar jest w niewielkim stopniu, albo raczej w ogóle nie jest, zainteresowany sprawami, które pragnąłbym z nim przedyskutować. Niemniej sądzę, że przy zastosowaniu pewnych form zachęty dałoby się namówić go do nauki angielskiego.

- Form zachęty?

- Pieniądzy lub ich jedenastowiecznego odpowiednika. Podobnie jak większość Wikingów jest on bardzo chciwy i zrobi niemal wszystko, by zdobyć majątek, a co za tym idzie znaczenie, aczkolwiek zdecydowanie bardziej odpowiada mu osiągnięcie tego drogą gwałtu i rabunku.

- Oczywiście możemy mu płacić za to, że będzie się uczył angielskiego. Księgowość ustaliła już kurs grzywny, nader zresztą dla nas korzystny. Najważniejszym problemem jest tu jednak kwestia czasu. Czy może pan sprawić, by przemówił po angielsku w ciągu dwóch tygodni?

- Wykluczone! Można by tego dokonać ze zdolnym i pilnym studentem, ale w żadnym wypadku z Ottarem. Podchodzi on do tej sprawy, najłagodniej mówiąc, z niechęcią. Pomijam już ten drobiazg, że odmawia zrobienia czegokolwiek, dopóki nie odzyska wolności.

- Drobiazg! - jęknął Barney, opanowany przemożną chęcią wrywania sobie garściami włosów z głowy. - Już sobie wyobrażam tego włochatego gagatka z jego rzeźnicką siekierą na rogu Hollywood i Vine Street. Wykluczone!

- Jeśli wolno mi coś zaproponować - włączył się do rozmowy profesor Hewett, który właśnie przystanął naprzeciw biurka Barneya. - Gdyby doktor Lynn wrócił z tym tubylcem do jego własnej epoki, szansa nauczenia go angielszczyzny wzrosłaby niepomiaralnie. Przebywanie w znanym mu środowisku dałoby mu poczucie bezpieczeństwa, a zarazem uspokoiłoby go.

- Ale nie dałoby to poczucia bezpieczeństwa, ani tym bardziej nie uspokoiłoby mnie, profesorze - odparł lodowato Lynn. - Życie w tej szczęśliwej epoce zwykło być równie prymitywne co krótkie.

- Jestem pewien, że można podjąć odpowiednie środki ostrożności, doktorze - stwierdził

profesor Hewett i szybko nacisnął jakiś klawisz kalkulatora. - Sądziłem, że możliwości filologiczne, jakie by się przed panem otworzyły, powinny przeważać nad względami osobistymi.

- Tak, oczywiście tak - zgodził się Lynn, oczyma duszy badając dawno pogrzebane przez czas rzeczowniki, rdzenie semantyczne, przypadki i rodzaje.

- Dodatkowo, co niezwykle istotne, w ten sposób możemy zmusić czas, by pracował dla nas. Panowie! Jesteśmy w stanie rozciągać lub skracać go wedle naszego uznania. Doktor Lynn może mieć dziesięć dni, dziesięć miesięcy, ba - nawet dziesięć lat, by nauczać Ottara języka angielskiego, podczas gdy od momentu, w którym zostawimy go w epoce Wikingów, do chwili, gdy ujrzymy go z powrotem upłynie zaledwie kilka minut.

- Dwa miesiące zupełnie wystarczą, o ile zechcecie panowie wziąć pod uwagę również i mój punkt widzenia - warknął Lynn.

- A zatem zgoda - podsumował Barney. - Lynn wróci z Wikingiem, nauczy go języka, a po upływie dwóch miesięcy w świecie Wikingów, przybывamy z ekipą i kręcimy.

- Jak dotąd jeszcze się nie zgodziłem - zaprotestował Lynn. - Niebezpieczeństwa...

- Ciekaw jestem, jak się czuje człowiek, który jest jedynym w świecie ekspertem w dziedzinie języków staroskandynawskich? - zapytał Barney, który już wcześniej miewał do czynienia ze sposobem myślenia naukowców, a zbaraniały wyraz twarzy Lynna utwierdził go w przekonaniu, że pocisk dosięgnął celu. - W porządku. Szczegóły ustalimy później. Może mógłby pan teraz pójść i spróbować wyjaśnić to Ottarowi. Niech pan wspomni o pieniądzach i namówi go na podpisanie kontraktu. Powinno dać to panu gwarancję bezpieczeństwa tak długo, jak długo będzie on chciał otrzymywać swoje pieniądze.

- Tak, to całkiem możliwe - zgodził się Lynn. Barney wiedział, że ma go na widelcu.

- A zatem zgoda. Zejdzie pan do Ottara i wszystko mu wyjaśni. Gdy uzyska pan jego zgodę, poproszę wydział umów o jeden z tych ich pokrętnych cyrografów, które skazują ludzi na ciężkie dożywotnie roboty. - Barney nacisnął guzik interkomu.

- Bądź tak dobra i połącz mnie z umowami, Betty. Czy przysłali już benzedrynę?

- Dzwoniłam do apteki godzinę temu - zaskrzeczał interkom.

- To zadzwoń jeszcze raz, jeśli po południu chcesz zastać mnie przy życiu.

Gdy tylko Jens Lynn wyszedł, do gabinetu wśliznął się nieproszony, smukły Azjata o skwaszonej twarzy. Odziany był w różowe marynarskie spodnie, wiśniową koszulę i sportową marynarkę a la Harris Tweed.

- Cześć Charley - ożywił się Barney. - Długośmy się nie widzieli.

- Za długo, Barney - odparł Charley, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu i potrząsnął wyciągniętą doń dłonią. - Miło mi znów z tobą pogadać.

Obydwaj wyjątkowo się nie znosili, toteż gdy tylko ich ręce rozdzieliły się, Barney zapalił papierosa, a uśmiech znikł z twarzy Charleya, która znów przybrała normalny, nieszczę-

śliwy wygląd.

- Co słychać, Barney? - spytał.

- Szerokoeekranowy, trzygodzinny film z ogromnym budżetem - a ty jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi temu podołać.

- Skoro już mówimy o scenariuszach, to zawsze byłem zdania, że ten z „Pieśni nad pieśniami” jest zupełnie niezły. Pełen seksu, ale nie trąci pornografią...

- Temat uległ całkowitej zmianie. Zupełnie nowy pomysł. Odkrycie Ameryki Północnej przez Wikingów.

Smutek na twarzy Charliego pogłębił się.

- Brzmi to nieźle, Barney, ale wiesz - ja się specjalizuję i nie wydaje mi się, żeby to była moja broszka.

- Jesteś dobrym tekściarzem, Charley, co oznacza, że z grubsza wszystko mieści się w twoim ogródku. Poza tym, ha, ha, nie zapominaj o kontrakcie - dodał, ukazując ostrze sztyletu tylko na tyle, by mogło być zauważone.

- Ależ skąd, nie zapominam o kontrakcie, ha, ha - roześmiał się Charley lodowato. -

Zawsze interesowały mnie tematy historyczne.

- Świetnie się składa - odparł Barney i podsunął w jego stronę kosztorys. Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł goniec, popychając przed sobą wózek, wypełniony po brzegi książkami. Barney wskazał na nie.

- Wypożyczyliśmy to z biblioteki. To jest wszystko, czego będziesz potrzebował. Przeleć przez nie migiem i za jakąś minutkę wrócimy do naszej rozmowy.

- Za minutkę oczywiście - mruknął Charley, spoglądając bez śladu entuzjazmu na co najmniej dwadzieścia opasłych tomów.

- Pięć tysięcy siedemset siedemdziesiąt trzy koma osiemdziesiąt osiem metrów kubi-cznych, z ładunkiem dwanaście tysięcy siedemset siedemdziesiąt siedem koma sześćdziesiąt dwa kilogramów, przy wzroście mocy o dwadzieścia siedem koma dwa procenta - odezwał

się nagle profesor Hewett.

- O czym do diabła pan mówi? - sapnął Barney.

- To są dane, o które pan pytał. Rozmiary ładunku, który Vremiatron będzie w stanie udźwignąć, pod warunkiem dostarczenia mu dodatkowej mocy.

- Pięknie! A teraz niech to pan przetłumaczy na amerykański.

- W przybliżeniu... - Hewett podniósł oczy i przez chwilę mamrotał coś szybko pod nosem. - Chciałem powiedzieć, że przemieszczeniu ulec może ładunek o wymiarach dwanaście na dwanaście na czterdzieści stóp.

- To już lepiej. Powinno się w tym zmieścić wszystko, czego przypuszczalnie będziemy potrzebować.

- Oto umowa - zakomunikowała Betty i położyła na biurku ośmiostronicowy, odbity na powielaczu dokument.

- W porządku - Barney przerzucał szybko szeleszczące kartki. - Zawołaj tu Dallasa Levy'ego.

- Miss Tove czeka na spotkanie z panem.

- Nie teraz. Powiedz jej, że mój trąd stał się znowu zaraźliwy. Wysoce zaraźliwy. I gdzie ta benzedryna? Nie mam zamiaru jechać przez cały ranek na samej kawie.

- Dzwoniłam do apteki jeszcze trzy razy. Wydaje mi się, że mają jakieś kłopoty z personelem.

- O skurwysyny bez serca! Lepiej będzie, jeśli zejdiesz i przyniesiesz te prochy sama.

- Barney Hendrickson - już całe lata minęły...

Słowa te, wypowiedziane lekko ochrypłym głosem przewaliły się przez gabinet niszcząc wszystko, co napotkały po drodze. Nałogowi plotkarze i złośliwcy utrzymywali, że Slithey Tove jest osobą o zdolnościach aktorskich marionetki, której poplątały się sznurki, mózgu ratlerka i zasadach moralnych Fanny Hill. Mieli rację. Jednak te cechy same przez się nie wyjaśniały wcale kolosalnego powodzenia, jakim cieszyły się jej filmy. Jedynymi zaletami, jakie Slithey miała, i to w nadmiarze, były kobiecość i umiejętność nawiązywania kontaktu. Ta ostatnia funkcjonowała zresztą, jak się zdaje, na poziomie hormonalnym. Slithey wytwarza wokół siebie nie tyle aurę płci, co raczej seksualnej dostępności. Zresztą nie mijało się to z prawdą. Ta aura była wystarczająco silna, by emanować, nieznacznie tylko osłabiona przez przeszkody, wynikające z istoty sztuki filmowej, ze srebrnego ekranu. Przekraczała bariery taśmy i projektora i promieniowała - lubieżna, wręcz parująca. Filmy Slithey robiły niebywale pieniądze. Większość kobiet ich nie znosiła.

W tym momencie jej urok, nie krepowany czasem, przestrzenią, czy celuloidem taśmy filmowej wtargnął do gabinetu Barneya jak uderzająca z niepowstrzymaną siłą fala potopu.

Betty demonstracyjnie pociągnęła nosem i opuściła pokój. Po drodze musiała jednak zwolnić na moment, by umożliwić przejście stojącej w drzwiach aktorce.

- Slithey - zaczął Barney, lecz głos załamał mu się, zapewne wskutek nadmiaru wchłoniętej nikotyny.

- Barney, kotku - powiedziała, a nogi podobne smukłym tłokom maszyny hydraulicznej niosły ją z wolna przez pokój. - Barney, wieki minęły odkąd w i d z i a ł a m cię po raz ostatni.

Z rękami wspartymi o blat biurka wychyliła się do przodu i siła ciężenia odchyliła cienką tkaninę jej bluzki. Co najmniej dziewięćdziesiąt osiem procent jej biustu wychynęło na światło dzienne. Barney miał wrażenie, że spływa w głąb Wielkiego Kanionu, uformowanego z kobiecego ciała.

- Slithey - powiedział, wstając gwałtownie: kiedyś niemal dał się złapać w te pułapkę. -

Chcę porozmawiać z tobą na temat filmu, który mamy kręcić, ale widzisz, w tej chwili jestem zajęty...

Mimowolnie dotknął jej ramienia, które zadrżało natychmiast, jak ogromne serce, pulsujące pod jego palcami. Barney gwałtownie odsunął dłoń.

- Jeśli tylko zechcesz chwilę zaczekać... Będę do twojej dyspozycji najszybciej, jak tylko będzie to możliwe.

- Siądę tu, pod ścianą - odparł matowy głos. - Wiem, że nie można ci przeszkadzać.

- Pan mnie wołał - zapytał Dallas Levy, stając w otwartych drzwiach. Mimo iż mówił

do Barneya, jego oczy bacznie taksowały aktorkę. Hormony porozumiały się z hormonami, Slithey westchnęła mimowolnie, Dallas uśmiechnął się leniwie.

- Tak - Barney wykopał kontrakt spod stosu zalegających jego biurko papierów. -

Zanieś to Lynnowi i poproś go, aby namówił swojego przyjaciela do złożenia podpisu. Jakies kłopoty?

- Żadnych, od momentu, w którym stwierdziliśmy, że lubi dobrze wysmażone befsztyki i piwo. Kiedy zaczyna być niespokojny, dajemy mu befsztyka i kwartę piwa. Wtedy zapomina o kłopotach. Jak dotąd osiem befsztyków i osiem kwart piwa.

- Zdobądź ten podpis - powtórzył Barney. Jego wzrok spoczął przypadkowo na Slithey, która miękko rozsiadła się w fotelu i skrzyżowała odziane w jedwabne pończochy nogi. Na podwiązkach miała małe różowe kokardki...

- Co mówiłeś, Charley? - spytał. Opadł na fotel i obrócił się w stronę pisarza. - Masz już jakieś pomysły?

Charley Chang uniósł grube tomisko, które dzierzył w obu dłoniach.

- Jestem na trzynastej stronie tej książki, a poza nią jest tu jeszcze parę tomików do przeczytania.

- To podstawowy materiał - odparł Barney. - Jednak sądzę, że możemy naszkicować zasadnicze wątki scenariusza już teraz - w detale ubierzesz je później. L.M. sugerował sagę i sądzę, że to wcale niezły pomysł. Zaczynasz na Orkneyach około roku tysięcznego, gdzie w owym czasie panuje niemałe zamieszanie. Mamy tam norweskich osadników, najeżdżanych przez piratów - Wikingów i w okolicy zaczyna się robić gorąco. Możesz na przykład zacząć od wyprawy Wikingów. Ozdobione smoczymi głowami łodzie suną po ciemnej toni morza...

rozumiesz?

- Tak jak początek westernu - bandyci w milczeniu wjeżdżają do miasteczka, by obra-bować bank?

- Dobry pomysł. Bohater jest głównym Wikingiem, wodzem wybrzeża - dasz sobie z tym radę. Dalej kilka bitew, potem jeszcze trochę w tym stylu; no i nasz bohater decyduje się przenieść wraz ze swoimi kumplami do Nowego Świata, Winlandu, o którym właśnie usłyszał.

- Coś jakby podbój Dzikiego Zachodu?

- Całkowicie. Potem podróż, sztorm, katastrofa okrętowa, lądowanie, pierwsza osada i walki z Indianami. Myśl z zapasem. Mamy kupę ekstra taśmy. Zakończenie na wysoki po-

łysk: patrząc na zachód słońca...

Charley Chang bazgrał szybko na skrzydełku obwoluty książki. Zapisywał wszystko, co mówił Barney i kiwał głową z aprobatą.

- Aha, jeszcze jedno - powiedział, trzymając w ręce gruby tom. - Niektóre imiona tych facetów z książki to zawracanie głowy. Posłuchaj tylko, jest tu jeden taki co nazywa się Eyjolf Sprośny; ma on kumpla o imieniu Hergi Hnappraz. Albo Polarna Świnia, Ragnar Złamanokudły i z milion innych. Robimy to dla śmiechu?

- To poważny film, Charley. Tak poważnego filmu nigdy jeszcze nie robiliśmy.

- Ty jesteś szefem, Barney. To była tylko sugestia. A co z wątkiem miłosnym?

- Wprowadź go jak najwcześniej, wiesz przecież jak się to robi.

- Barney, kochanie, to rola jakby specjalnie dla mnie - szepnął mu do ucha znajomy głos i w tym samym momencie oplotły go czyjeś ramiona. Barney poczuł, że tonie w oceanie sprężystego ciała.

- Nie daj mu się zbajerować, Slithey - usłyszał stłumiony głos. - Barney Hendrickson to mój kumpel, to mój stary kumpel, ale na dodatek to wściekle dobry biznesman, sprytny. Tak więc bez względu na to, co mu obiecałaś, chcę, przykro mi, że muszę to powiedzieć, dokładnie zbadać warunki kontraktu, zanim cokolwiek podpiszemy.

- Ivan - powiedział Barney, usiłując wyswobodzić się z objęć uperfumowanej ośmiorni-cy - zabierz na moment swoją klientkę na bok. Za chwilę pogadam z tobą. Nie wiem czy dobijemy targu, ale pogadać można.

Ivan Grissini, nie zważając na to, że przylizane włosy, zakrzywiony nos i wymięty, upstrzony łupieżem garnitur nadawały mu wygląd agenta - oszusta, rzeczywiście był agentem

- oszustem. Zawsze nosił przy sobie szesnaście wiecznych piór, które co rano, przed udaniem się do biura, rytualnie napełniał atramentem.

- Siądź tu, ślicznotko - powiedział i popchnął Slithey do kąta ruchem znamionującym długoletnią praktykę. Dopóki Slithey była potencjalnym workiem szmalu, pozostawał całkowicie odporny na jej urok. - Barney Hendrickson jest równie dobry jak jego słowo. Może nawet lepszy.

Zadzwonił telefon i dokładnie w tej samej chwili do gabinetu wpadł Jens Lynn, wymachując umową.

- Ottar nie może tego podpisać! To jest po angielsku.

- Więc niech pan to przetłumaczy. Jest pan przecież konsultantem. Zaczekaj pan.

Barney podniósł słuchawkę.

- Mogę dokonać przekładu. Jest to trudne, ale wykonalne. Nie w tym jednak problem!

On przecież nie umie czytać!

- Proszę poczekać chwilę, Lynn. Nie, niestety, Sam... Wiem, Sam... Oczywiście, widzia-

łem kosztorys, osobiście go sporządziłem... Nie, nie możesz mnie zapytać skąd biorę LSD...

Myśl realnie. Ani ty, ani ja nie urodziliśmy się wczoraj... Zgoda, ale... nie możesz zrozumieć, że film zostanie zrealizowany w granicach tego budżetu, z dokładnością do plus minus pięć-

dziesięciu tysięcy?... Nie używaj słowa „niemożliwe”, Sam. To, co niemożliwe może nam zająć trochę czasu, ale da się zrobić, rutyna, rozumiesz... Co?... Przez telefon?! Sam, bądź

rozsądny. Miałem przed chwilą trzy telefony do biura... tak, Barnum i Balley... nie pora teraz, aby wchodzić w szczegóły... Wywalony? Ja? Nigdy w życiu!.. Tak, oczywiście, zapytaj go.

L.M. siedzi w tym filmie od samego początku, krok po kroku i zobaczysz, że pójdzie za mną do końca... Tak... Nawzajem, Sam.

Barney odrzucił słuchawkę na widełki.

- Mogłaby być pojmana podczas wyprawy, na samym początku - zauważył Charley Chang. - Będzie walczyć z nim z prawdziwą nienawiścią, która potem wbrew niej samej, przerodzi się w miłość.

- Nigdy przedtem nie byłam porywana w czasie napadu - odezwała się ze swego kąta Slithey.

- Doskonały pomysł, Charley - zgodził się Hendrickson.

- A nawet gdyby umiał czytać - nie umie pisać - zakończył Lynn.

- Nie raz już mieliśmy tego typu kłopoty z zagranicznymi aktorami. Do kontraktu trzeba dołączyć wierne tłumaczenie jego treści, potwierdzić je notarialnie - robi to tłumacz przysię-

gły. Strona zawierająca kontrakt stawia swój znak i potwierdza go odciskiem kciuka na obu wersjach. Następnie potwierdza to po dwóch niezależnych świadków z każdej strony i taka umowa może z powodzeniem stawić czoła każdemu sądowi na świecie.

- Mogą być kłopoty ze znalezieniem tłumacza przysięgłego znającego staronorweski...

- Niech pan zapyta w dziale kadr, oni potrafią znaleźć każdego.

- Proszę, są tutaj, panie Hendrickson - przez otwarte drzwi gabinetu weszła sekretarka i postawiła na

biurku Barneya buteleczkę pełną pastylek benzedryny.

- Za późno - szepnął Barney, patrząc na nie martwym wzrokiem - za późno.

Jednak gdy interkom i telefon zadzwoniły jednocześnie, zażył dwie tabletki i spłukał je zimną, czarną kawą z tekturowego kubeczka.

- Tu Hendrickson - wymamrotał, wciskając guzik interkomu.

- Barney, chcę cię natychmiast widzieć u mnie w biurze - odezwał się głos L.M.

Telefon przyjęła Betty.

- To sekretarka L.M. Chce on widzieć pana natychmiast w swoim biurze!

- Tak, wiem już o tym.

Mięśnie ud zaboląły go piekielnie, gdy wstawał, rozmyślając, ile czasu upłynie zanim benzedryna da jakieś efekty.

- Popracuj nad tym, Charley. Chcę mieć konspekt, dosłownie parę stron, jak najszybciej.

Ruszył w stronę drzwi, lecz poczuł, że ręce Ivana Grissiniego wpiły się spazmatycznie w klapy jego marynarki. Odepchnął je odruchowo.

- Zaczekaj tu, Ivan, pogadam z tobą później, po powrocie od L.M.

Zamknął drzwi i kakofonia głosów urwała się raptownie.

- Możesz mi pożyczyć ręcznik, Betty? - spytał.

Wyjął ręcznik z dolnej szuflady jej biurka, zarzucił go na ramiona wpychając uważnie brzegi za kołnierz koszuli. Schylił się, włożył głowę pod kran umywalki. Gdy Betty odkręciła kurek, niemal zaparło mu dech. Pozwolił, by lodowaty strumień ogarnął jego głowę i przez chwilę spływał również po karku, po czym wyprostował się i wytarł włosy. Betty pożyczyła mu grzebień. Mimo osłabienia poczuł się lepiej, a kiedy spojrział w lustro wyglądał już nieomal na istotę ludzką. Nieomal...

- Zamknij za sobą drzwi na klucz - polecił L.M., gdy Barney wkroczył do gabinetu, po czym pochylił się, by zakrzywionymi nożycami do drutu przeciąć kabel telefoniczny.

- Jest tu tego więcej, Sam? - spytał.

- Nie, ten był ostatni - odparł Sam właściwym mu bezbarwnym głosem. Cała postać Sama była szara i bezbarwna. Jak się wydawało, przybrał te ochronne barwy z chwilą, gdy został osobistym i najzupełniej prywatnym księgowym L.M. i zyskał światową sławę jako ekspert w dziedzinie finansów wielkich korporacji i omijania przepisów podatkowych. Przyciskał kurczowo do piersi teczkę z papierami, zupełnie jakby chciał ją przed czymś lub przed kimś obronić. - Zresztą, nie będzie

to już więcej potrzebne - dodał.

- Być może, być może - odparł L.M. i opadł na fotel. - Ale, gdy wymawiam słowo

„bank”, a kable nie są przecięte, dostaję palpacji serca. Parszywe wieści dla ciebie, Barney -

dorzucił L.M. i odgryzł koniuszek cygara. - Jesteśmy zrujnowani.

- Co pan ma na myśli - Barney przeniósł wzrok z jednej nie wyrażającej niczego twarzy na drugą, podobną. - Jakiś dowcip, czy co?

- L.M. ma na myśli, że Climactic Studios będą w krótkim czasie kompletnym bankru-tem - wyjaśnił mu Sam.

- Na bruku, dorobek całego życia! - dodał L.M. głucho.

Sam skinął głową tylko jeden raz, jak marionetka, którymi posługują się jarmarczni brzuchomówcy.

- Tak właśnie wygląda sytuacja - oznajmił. - Normalnie mielibyśmy jeszcze trzy miesią-

ce do terminu wysłania sprawozdania finansowego bankom, które, jak wiesz, mają w swych rękach kontrolny pakiet akcji tego przedsiębiorstwa. Tymczasem, z nieznanых powodów, już w tym tygodniu przysłały one swojego człowieka, by skontrolował nasze księgi.

- I...? - spytał Barney, czując, że nagle rozjaśniło mu się w głowie. Zapadła cisza, przedłużając się nieznośnie, aż Barney skoczył na równe nogi i jak oszalały zaczął biegać po gabinecie.

- I wykryją, że kompania upada, wszystkie zyski istnieją tylko na papierze - odwrócił

się i wskazał gwałtownie na L. M. - a cała żywa gotówka przepłynęła na konto zwolnionej od podatków Fundacji imienia L. M. Greenspana. Bez wątpienia nie straci pan na tym. Kompania może upaść, niech szlag ją trafi, ale L. M. Greenspan nadal będzie maszerował raźnie naprzód.

- Uwważaj co mówisz. Nie jest to sposób, w jaki pracownik powinien się zwracać do człowieka, który swego czasu dał mu złapać pierwszy głębszy oddech.

- I ostatni również - właśnie w tej chwili - odparował Barney i wymownym gestem uderzył się kantem dłoni w szyję, znacznie silniej niż początkowo zamierzał. - Niech pan posłucha L. M. - zaczął błagalnie, rozcierając bolące miejsce - zanim topór spadnie na nasze głowy ciągle jeszcze mamy jakieś szanse. Musiał pan chyba rozważać plany jakiejś akcji ratu-nkowej, inaczej nie angażowałby się pan w te imprezę z profesorem Hewettem i jego wehikułem czasu. Musiał pan czuć, że wielki sukces kasowy mógłby zmniejszyć presję ze strony banków i ponownie uczynić firmę dochodową. Ciągle jeszcze możemy to zrobić.

L. M. ze smutkiem pokręcił głową.

- Nie myśl, że to nie boli - ścisnąć serdecznie dłoń, która wbija ci nóż w plecy, ale cóż innego mogę

zrobić? Masz rację, wielki szlagier kasowy, a nawet spory film, gotowy do roz-powszechniania i możemy śmiać się bankom w twarz. Ale nie da się nakręcić filmu w ciągu tygodnia!

- Nie da się nakręcić filmu w ciągu tygodnia. - Słowa obijały się o zamulone kofeiną i przeładowane benzedryną komórki mózgowe Barneya, pobudzając do życia pokłady odpornej pamięci.

- L.M. - krzyknął nagle dramatycznym tonem. - Dostanie pan ataku serca.

- Ugryź się w język! - sapnął L. M. i ścisnął kurczowo zwały tłuszczu w okolicy tego ważnego dla życia organu. - Uważaj, co mówisz. Jeden zawał wystarczy, by rozstać się z tym światem.

- Niech pan słucha. Dziś w nocy pojedzie pan razem z Samem do domu, pracować nad księgami. Poczuj się pan źle. Być może niestrawność, być może zawał. Pański lekarz stwierdzi, że nie da się wykluczyć zawału. Za pieniądze, które mu pan płaci, może nam chyba wyświadczyć tę grzeczność. Wszyscy są poruszeni - na parę dni robi się wokół tego szum - i księgi idą w zapomnienie. Potem jest weekend i nikomu nawet nie przyjdzie do głowy zaglą-

dać do nich aż do poniedziałku, być może nawet do wtorku.

- Do poniedziałku - wtrącił Sam z przekonaniem. - Nie znasz banków. Jeżeli nie będzie ksiąg do poniedziałku, to gotowi są wynająć cały furgon lekarzy i dostarczyć ich do mnie do domu na własny koszt.

- Dobra, a zatem poniedziałek. To powinno wystarczyć.

- Powiedzmy, że poniedziałek - ale co to za różnica. Szczerze mówiąc, nie rozumiem -

L. M. zmarszczył brwi i rzeczywiście wyglądał na człowieka, który nic nie rozumie.

- Różnica jest zasadnicza, L. M. W poniedziałek przyniosę panu gotowy film. Pełnome-trażowy, barwny, panoramiczny film, który będzie kosztować zaledwie dwa - trzy miliony brutto.

- Nie dasz rady, Barney.

- Damy radę. Zapomina pan o Vremiatronie. To urządzenie działa. Pamięta pan, ostatniej nocy sądził pan, że wyszliśmy na jakieś dziesięć minut. - L. M. skinął głową z niechęcią.

- To był czas na jaki wyszliśmy s t a d, jaki minął t u. Ale w epoce Wikingów pozostawa-liśmy godzinę, albo i dłużej. Możemy to powtórzyć. Zabierzemy tam ekipę, wszystko co potrzebne i kręcimy, mając do dyspozycji tyle czasu, ile potrzeba, by zrobić to dobrze - a potem wracamy.

- Masz na myśli...

- Właśnie. Kiedy wrócimy z gotowym filmem okaże się, że zużyliśmy na to jedynie tych dziesięć minut, które właśnie upłynęły, jak miał już to pan okazję zauważyć.

- Dlaczego nikt o tym wcześniej nie pomyślał - sapnął L. M. tonem pełnym radosnego uznania.

- Z wielu przyczyn...

- Czy chcesz mi powiedzieć... - Sam wychylił się z fotela tak, że niemal z niego wypadł

i cień jakiegoś uczucia (może uśmiechu?) przemknął po jego twarzy. - Czy masz na myśli, że będziemy musieli zapłacić koszty produkcji jedynie za dziesięć minut?

- Nie to miałem na myśli - warknął Barney. - Mogę cię tylko uprzedzić, że spowoduje to urwanie głowy w departamencie finansowym. Ale żeby poprawić ci humor - gwarantuję, że będziemy mogli kręcić w plenerze, z licznymi ujęciami dodatkowymi, za mniej więcej jedną dziesiątą tego, co musielibyśmy zapłacić kręcąc w Hiszpanii.

Oczy Sama rozbłąsły.

- Nie znam szczegółów tego projektu, L. M., ale wiele jego elementów brzmi całkiem rozsądnie. - Dasz radę to zrobić, Barney? Podobaśz temu?

- Zrobię to pod warunkiem, że pomoże pan we wszystkim, o co poproszę bez żadnych dodatkowych pytań. Dziś mamy czwartek. Nie widzę powodu, dla którego do soboty nie mielibyśmy zebrać do kupy wszystkiego co potrzeba - Barney zaczął wyliczać na palcach. -

Musimy mieć podpisane kontrakty z aktorami, zdobyć wystarczająco dużo taśmy, by starczy-

ło nam do końca zdjęć, techników, co najmniej dwie dodatkowe kamery... - Zaczął mamrotać coś do siebie, kompletując w myślach lista wszystkich możliwych potrzeb. - Tak - rzekł w końcu. - Uda się.

- Ciągle nie jestem przekonany. To szalony pomysł - stwierdził w zamyśleniu L. M.

Przyszłość całego przedsięwzięcia wisiła na włosku. Barney rozpaczliwie szukał w myślach jakiegoś argumentu.

- Jeszcze jedno - dodał - jeśli będziemy w plenerze, powiedzmy sześć miesięcy, to rzecz jasna za ten czas każdemu trzeba będzie zapłacić: Ale przecież wypożyczymy kamery, aparaturę dźwiękową i cały ten kosztowny sprzęt. Tu zapłacimy jedynie za kilka dni.

- Postawiłeś na swoim, Barney - powiedział L. M. i wyprostował się w fotelu.

- Nie słyszał pan zapewne do tej pory o Cinecitta, panie Hendrickson.

- Barney.

- Niestety Barney, w żadnym wypadku nie mogę. Kino nowego realizmu narodziło się tuż po wojnie we Włoszech. Ta seria śmierzących kuchnią filmów brytyjskich pojawiła się dopiero później. Ale, widzi pan, Rzym jeszcze nie upadł. Faceci tacy jak ja przyjeżdżają tu, do Hollywood, by złapać trochę umiejętności technicznych...

- No i trochę szmalu, nie?

- ...nie mogę temu zaprzeczyć, Barney, pracując za jankeskie dolary. Ale wiesz, nie spodziewaj się, że o tej porze dnia nakręcisz coś w kolorze. - Machnął ośmiomilimetrowym Bolexem, który zwiisał mu z nadgarstka na skórzanym rzemieniu. - Powinienem naładować to cacko Tri - X. Jest już piąta po południu.

- Nie obawiaj się, Gino. Będiesz miał tyle światła, ile zechcesz. Masz na to moje sło-wo.

Popatrzył w górę. Drzwi magazynu otworzyły się i wszedł Amory Blestead.

- Witaj Amory. To nasz kamerzysta, Gino Capp - Amory Blestead, doradca techniczny.

- Miło mi pana poznać - Amory uściśnął dłoń Gina - zawsze byłem ciekaw, w jaki sposób udało się panu stworzyć wrażenie tak odrażającej rzeczywistości w „Jesiennej miłości”.

- Ma pan chyba na myśli „Świński świat”. To nie było nic trudnego. Po prostu tak wyglądają pewne okolice w Jugosławii.

- O Boże! - Amory odwrócił się do Barneya. - Dallas prosił mnie, bym ci powiedział, że będą tu z Ottarem za jakieś pięć minut.

- W sam raz. Musimy poprosić profesora, by puścił w ruch swoją maszynę.

Barney wdrapał się na platformę ciężarówki i opadł na poniewierające się tam skrzynie.

Bolały go wszystkie mięśnie. Udało mu się zdrzemnąć ukradkiem przez godzinę na sofie w gabinecie, lecz kolejne pilne wezwanie do L. M. zerwało go na równe nogi. Resztę czasu spędził

w jego biurze na mocno przydługiej kłótni, dotyczącej projektu budżetu. Tempo ostatnich godzin dawało o sobie znać.

- Przekalibrowałem całą aparaturę - oznajmił profesor Hewett, z wyrazem najwyższego szczęścia na twarzy pokazując coś na tablicy rozdzielczej.

- Gwarantuję najwyższą precyzję zarówno przy poruszaniu się w czasie, jak i w przestrzeni we

wszystkich następnych przypadkach.

- Cudownie. Gdyby jeszcze udało się panu nastawić nas tak, byśmy przybyli dokładnie w to samo miejsce, o tej samej godzinie i tego samego dnia, co poprzednio. Światło było wtedy wyśmienite...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i głośny, gardłowy śpiew wypełnił wnętrze magazynu.

Do środka wtoczył się Ottar. Jens Lynn i Dallas Levy trzymali go mocno pod ręce, niosąc raczej niż podtrzymując, gdyż Wiking był zalany w trupa. Tex Antonelli podązał z tyłu, ciągnąc za sobą ręczny wózek, wypełniony opakowanymi skrzynkami. Załadowanie Wikinga na cięż-

arówkę wymagało wspólnych wysiłków wszystkich obecnych. Zaraz potem stracił on zupeł-

nie przytomność i tylko pomrukiwał coś do siebie szczęśliwym głosem. Skrzynki zwalono na kupę obok niego.

- Co to takiego? - zainteresował się Barney.

- Dobra handlowe - Lynn wpychał kolejną skrzynię z nalepką „JACK DANIELS” przez otwartą klapy ciężarówki. - Ottar podpisał kontrakt. Byłem niezwykle zdziwiony odkryciem tu tłumacza przysięgłego znającego islandzki...

- W Hollywood może pan znaleźć wszystko.

- Ottar zgodził się w końcu uczyć angielskiego pod warunkiem, że wróci do domu. Rozwinęło się w nim upodobanie do napojów destylowanych i umówiliśmy się z nim na zapłatę w wysokości jednej butelki whisky za każdy dzień nauki.

- Nie mogliście wepchnąć mu jakiejś zwykłej chary - spytał Barney w momencie, gdy windowano do samochodu kolejną skrzynię „Jacka Danielsa”. - Już widzę, jak się będę z tego tłumaczył lewymi rachunkami.

- Próbowaliśmy - Dallas wpychał właśnie trzecią skrzynię. - Podsunęliśmy mu trochę

„Old Overcoat” - to dziewięćdziesięcioprocentowy spirytus zbożowy, ale w ogóle nie było o czym gadać. Już zdążył sobie wyrobić wyjątkowo wyrafinowane podniebienie. Dwa miesiące

- pięć skrzynek. Tak przewiduje umowa.

Lynn wdrapał się do środka i Barney mógł podziwiać jego wysokie do kolan buty, owijacze, myśliwską kurtkę zaopatrzoną w liczne kieszenie i myśliwski nóż w pochwie.

- Po co panu ten strój Old Shatterhanda? - spytał

- W celu przeżycia i dla zapewnienia sobie komfortu, należnego istocie ludzkiej - odpowiedział Lynn, szukając miejsca na śpiwór, a jednocześnie ustawiając skrzynie w trunku, które Dallas wpychał na niego. - DDT przeciw wszom, które bez wątpienia występują tam w wielkiej obfitości,

tabletki do odkażania wody pitnej i stosowna ilość konserw. Menu tamtej epoki jest dość ograniczone i jestem tego pewien, raczej nie przystające do współczesnych gustów. Stąd pewne elementarne środki ostrożności.

- Całkiem nieźle - powiedział Barney. - Niech pan wsiada i zamknie drzwi. Ruszamy.

Mimo iż Vremiatron pojękiwał i trzeszczał z tym samym natężeniem co poprzednio, nie wywoływało to już takich sensacji, jak w czasie pierwszej podróży. Odruchy warunkowe człowieka epoki technologicznej wzięły górę i podróż w czasie stała się dla nich rzeczą tak powszednią, jak jazda windą, przelot odrzutowcem, podróż łodzią podwodną, czy start rakiety. Jedyne Gino, nowicjusz, denerwował się nieco, rzucając zatrwożone spojrzenia na aparaturę elektroniczną i zagadkowy magazyn. Ale w obliczu zupełnego spokoju pozostałych -

Barney zdrzemnął się, a Dallas i duński filolog spierali się na temat celowości otworzenia jednej z butelek whisky i konsekwencji tego czynu w postaci straty jednego dnia nauki dla Ottara - znacznie się uspokoił. Gdy podróż w czasie dobiegła końca zerwał się przerażony, lecz szybko usiadł z powrotem, wręczono mu bowiem butelkę, Jednak jego oczy rozszerzyły się znacznie, gdy na zewnątrz ukazało się bladoniebieskie niebo, a zapach słonego morskiego powietrza wypełnił kabinę samochodu.

- Fantastyczny trick - stwierdził z uznaniem, wskazując na swój światłomierz. - Na czym to polega?

- Po szczegóły musisz się zwrócić do profesora - odrzekł Barney, chwytając dech po nieco zbyt wielkim łyku whisky. - To bardzo skomplikowane. Coś w rodzaju poruszania się w czasie.

- Już chwytam - Gino ustawił przysłonę na 3,5. - Tak jak zmiany stref czasowych podczas lotu z Nowego Yorku do Londynu. Słońce wydaje się stać w miejscu i lądujesz o tej samej godzinie co wyleciałeś.

- No właśnie. Coś takiego.

- Fantastyczne oświetlenie. W sam raz do zdjęć w kolorze.

- Kto prowadzi, ten nie pije - stwierdził Dallas i wychylił się, by wręczyć butelkę Texowi, który usadowił się za kierownicą w szoferce. - Walnij łyka, ale tylko jednego i jazda naprzód, kolego.

Silnik zawarczał wreszcie przy akompaniamencie jęku startera. Patrząc ponad szoferką, Barney zauważył, że jadą dokładnie wyżłobioną przez opony innego samochodu, wyraźnie widoczną w mokrym piasku i żwirze koleiną. Jego pamięć przebiła się wreszcie przez pokład zmęczenia i zaczął walić wściekle w metalowy dach szoferki nad głową Texa.

- Włącz klakson! - krzyknął.

Z rykiem zbliżali się do cypla. Barney ruszył w kierunku wyjścia, potykając się o skrzynki i deptając śpiącego Wikinga. Słyszał było narastający warkot silnika drugiej wojskowej ciężarówki, która minęła ich, zdążając w przeciwną stronę. Barney dopadł otwartej klapy i uchwycił się kurczowo drewnianej ramy, na której trzymała się brezentowa plandeka nad jego głową. Przez mgnienie oka

widział siebie samego stojącego w tyle drugiego samochodu. Siebie, z pobladłą twarzą i wytrzeszczonymi oczyma słowem idiotę. Z uczuciem sado-masochistycznej przyjemności uniósł dłoń i zagrał na nosie swemu zbaraniałemu drugiemu ja.

Zaraz potem rozdzielił ich kamienisty przylądek.

- Duży ruch w tych stronach? - spytał Gino.

Ottar siadł i zaczął masować sobie bok, mamrocząc pod nosem jakieś brednie. Jens uspokoił go z łatwością, oferując tęgi łyk z butelki. W tym momencie zahamowali, ślizgając się na luźnych warstwach kamieni.

- Chatka Puchatka - przystanek końcowy - krzyknął do tyłu Tex.

Cuchnący dym w dalszym ciągu wydobywał się z kominowego otworu przysadzistego torfowego domostwa, lecz wokół nie była żywego ducha. Broń i topornie wykonane narzędzia

walały się bezładnie na ziemi. Ottar na poły wyskoczył, a na poły wypadł z ciężarówki, ryknął coś, po czym chwycił się oburącz za głowa w napadzie nagłego żalu.

- Hvar erut per rakka? Komit ut! *

Złapał się za głowę po raz wtóry, szukając wzrokiem butelki, którą Lynn przezornie usunął z pola widzenia. Z domu poczęli wychodzić trzęsący się z przerażenia słudzy.

- Ruszamy - polecił Barney. - Wyładujcie te skrzynki i spytajcie Lynna, dokąd trzeba je zanieść. Nie ty, Gino! Chciałbym, żebyś poszedł ze mną.

Wspięli się na niskie wzgórze za budynkiem, brnąc przez krótką, szorstką trawę i niemal potykając się o wyleniałą, dziko wyglądającą kozę, która z bekiem uciekła jak najdalej od nich. Ze szczytu rozciągał się wyraźny widok na granitowoszary, bezkresny ocean i półkolistą zatokę o rozchodzących się w obydwie strony brzegach. Długa, grzywiasta fala rozbiła się o plażę, z sykiem przepływając między kamieniami. Na samym środku zatoki wznosiła się wyspa o wysokich, stromych brzegach, wpadających wprost do spienionego morza. Nieco dalej, na samej linii horyzontu majaczyła druga, znacznie niższa wysepka.

- Kręć panoramicznie, pełne koło, całe 360 stopni. Przystudiujemy to później. Potem daj

* Gdzie jesteście, psy? Wychodźcie!

zbliżenie na wyspę.

- Może byśmy poszli nieco dalej w głąb lądu, rozejrzeć się trochę po tamtejszych widokach? - zaproponował Gino, spoglądając w obiektyw.

- Później, jeśli starczy nam czasu. Na razie niech będzie krajobraz nadmorski i widok na otwarty ocean. Przyda mi się to.

- Okolice wzdłuż brzegu, tak? Ale potem powinniśmy zobaczyć, co dzieje się dalej.

- Słusznie, ale nie chodź tam sam. Weź ze sobą Texa albo Dallasa. Z nimi nie będziesz musiał niczego się obawiać. Nie oddalajcie się o więcej niż piętnaście minut drogi, żebyśmy mogli was znaleźć, gdy będziemy wracać.

Barney popatrzył wzdłuż brzegu i dostrzegł łódź wiosłową. Dotknął ramienia Gino i powiedział:

- Mam pomysł. Zabierz ze sobą Lynna jako tłumacza i wypłyńcie razem z tubylcami kawałek od brzegu. Zrobisz parę ujęć tego miejsca od strony morza.

- Hej, Barney! - na szczyt wzgórza gramolił się Tex. - Oni chcą, żeby zszedł pan na dół, do chałupy. Mają jakąś naradę.

- Już idę. Tex, zostań tu z Gino. Uważaj na niego.

- Przylepię się do niego jak guma arabska. Va buona, eh cumpa?

Gino zmierzył go mrocznym, podejrzliwym spojrzeniem.

- Vui sereste italiano?

- Nie, jestem americano, ale mam kupi powinowatych nad Zatoką Neapolitańską. - Tex zaśmiał się wesoło.

- Di Napoli! So napoletano pur'io! - zawołał uszczęśliwiony Gino.

Barney opuścił ich, gdy ściskali sobie wylewnie dłonie odkrywając coraz to nowe więzy pokrewieństwa i ruszył w kierunku domostwa. Dallas siedział przy drzwiach ciężarówki i palił ukrytego we wnętrzu dłoni papierosa.

- Reszta jest w środku - powiedział. - Pilnuję tego interesu, by mieć gwarancję, że będziemy mieli czym wrócić do domu. Lynn prosił bym pana mu podesłał skoro tylko pan wróci.

Barney spojrział na niskie drzwi domu zupełnie bez entuzjazmu. Były na wpół uchylone i wyglądało na to, że właśnie przez nie, a nie przez komin ulatnia się zasadnicza część dymu.

- Wolałbym, żebyś miał na to wszystko oko. Potrafię sobie wyobrazić znacznie bardziej atrakcyjne miejsca dla ewentualnych rozbitków.

- To samo sobie pomyślałem - odparł spokojnie Dallas i wyciągnął drugą rękę pokazując trzymany w niej pistolet automatyczny. - Dziesięć strzałów. Nigdy nie chybiam.

Barney otworzył szerzej drzwi i wszedł do wnętrza domu. Dym z tłącego się ogniska gęstą chmurą otulił jego głowę. Był z tego niemal zadowolony, gdyż woń dymu maskowała inne, bogato reprezentowane w otaczającej go atmosferze zapachy. Udało mu się rozpoznać woń zstarzałej ryby, dziegciu i jakiegoś zielska. Innych nie odważył się zidentyfikować.

Przez chwilę był niemal ślepy. Z pełni słonecznego dnia znalazł się nagle w pomieszczeniu, do którego światło wpadało jedynie przez drzwi i kilka innych otworów, najwyraźniej przypadkowo wybitych w ścianach.

- Jaeja, kunningi pu skalt drekka meo mer! * - powietrzem wstrząsnął ochryply głos Ottara.

Gdy oczy Barneya przywykły już nieco do mroku, zauważył grono mężczyzn siedzących za stołem zbitym z grubych, nie heblowanych desek.

U szczytu stołu rozsiadł się Ottar i walił pięścią w blat.

- Chce, abyś mu towarzyszył w picciu - powiedział Lynn. - To jest bardzo ważny krok, wiesz - gościnność, sól i chleb, tego typu rzeczy.

* Czołem, przyjacielu! Napij się ze mną!

- Ol! * - ryknął Ottar unosząc z klepiska niewielką beczułkę.

- Co mam pić? - spytał Barney z wysiłkiem wpatrując się w półmrok.

- Piwo. Wyrabiają je z jęczmienia - to ich podstawowe zboże. Napój ten jest wynalazkiem plemion północnogermańskich; można rzec daleki przodek współczesnego portera.

Nawet nazwa odziedziczyliśmy po Germanach, rzecz jasna nieco zmieniła się wymowa...

- Drekk! ** - nakazał Ottar, wręczając Bernerowi napełniony po brzegi róg. Hendrickson zauważył, że był to prawdziwy krowi róg, zakrzywiony, popękany i niezbyt czysty. Jens Lynn, profesor i Amory Blestead również ściskali w rękach rogi. Barney podniósł swój do ust i pociągnął łyk. Było to coś zwietrzałego, wodnistego i zarazem kwaśnego. Smakowało ohydnie.

- Dobrze! - pochwalił. Miał nadzieję, że wyraz jego twarzy w panujących ciemnościach pozostanie niezauważony.

- Ja got ok vel *** - zgodził się Ottar i dolał nową porcję napitku do rogu Barneya.

Uczył to tak szczerze, że płyn przelał się przez brzegi naczynia i lepkiem strumieniem spłynął Barneyowi do rękawa.

- Jeśli myślisz, że to niesmaczne - stwierdził głucho Amory - to tylko dlatego, że nie próbowałeś jeszcze potraw.

- A oto i one - profesor wskazał odległy kąt izby, gdzie jeden ze służących grzebał w wielkiej, drewnianej skrzyni pod ścianą, po czym wyprostował się i kopnął jakiś ciemnawy wzgórek, których spora liczba wałała się na klepisku. W powietrzu rozległo się bolesne beczenie.

- Owce...? - nie dokończył Barney.

- Tak, trzymają je w domu - wyjaśnił Amory. - Dodaje to pewnego aromatu tutejszej atmosferze.

Służący o długich, jasnych włosach spadających na oczy, który wyglądem nie odbiegał

zbyt od psa pasterskiego, zbliżył się do nich z jakimiś bezkształtnymi przedmiotami, które ścisnął kurczowo w kapiących od brudu rękach. Rzucił je na stół przed Barneyem. Uderzyły w drewniany blat jak kamienie.

- Co to jest? - spytał podejrzliwie Barney, spoglądając na nie kątem oka. Jednocześnie przełożył róg z resztką napitku do drugiej ręki, usiłując wytrząsnąć strumień piwa z rękawa swojej kaszmirowej marynarki.

- Ta bryła z lewej to ser - produkt miejscowy, druga to knaekbrot - rodzaj chleba -

odparł Jens Lynn.

Barney spróbował po kęsie obydwu potraw lub raczej zazgrzytał o nie ześlizgującymi się zębami.

- Wspaniale, naprawdę wspaniale - stwierdził, kładąc je z powrotem na stół. Zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka.

- Zaczyna się zmierzchać. Musimy zaraz wracać. Chciałbym z tobą pomówić, Amory.

Na zewnątrz o ile jesteś w stanie urwać się z tego przyjęcia.

- Cała przyjemność po mojej stronie - Amory wzdrygnął się, opróżniwszy większą część zawartości rogu, po czym wytrząsnął zeń na klepisko grubą warstwę szumowin.

Słońce schowało się za lodowatą krawędź chmur i od morza powiała chłodna bryza.

Barney zadrżał. Wsadził ręce do kieszeni marynarki.

- Potrzebuję twojej pomocy, Amory. Sporządź listę wszystkiego, co potrzebne nam będzie do zdjęć. Nie wygląda na to, żebyśmy mogli korzystać z lokalnych zasobów żywnościowych...

- Też mi się tak zdaje.

- Też mi się tak zdaje.

* Ale! (Piwo).

** Pij!

*** Tak, bardzo dobre.

- Musimy zatem wziąć wszystko ze sobą. Chciałbym także zmontować film tu, na miejscu, dlatego ulokuj laboratorium w jednej z przyczep.

- Szukasz tylko kłopotów, Barney. To będzie wściekła robota, zrobić tu montaż. A co z dubbingiem?

Albo z podkładem muzycznym?

- Musimy dać z siebie wszystko. Wynajmiesz kompozytora i paru muzyków. Może da się wykorzystać jakąś miejscową orkiestrę.

- Już sobie wyobrażam te dźwięki.

- To nie problem. Możemy to później przerobić. Najważniejsze, to przywieźć ze sobą gotowy film... -
Panie Hendrickson! - zawołał Jens Lynn otwierając drzwi i podchodząc do nich. Pogrzebał w kieszeniach swojej myśliwskiej kurtki. - Właśnie sobie przypomniałem, mam tu jakąś wiadomość, którą powinienem panu przekazać.

- Co to jest? - spytał Barney.

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że coś poufnego. Pańska sekretarka wręczyła mi to tuż przed wyjazdem.

Barney wziął od niego wymiętą kopertę i rozerwał ją. Zawierała pojedynczą kartkę żółtego papieru, z krótkim, wystukany na maszynie poleceniem. Brzmiało ono następująco.

L. M. telefonicznie nakazał odwołać akcję . Wszelkie prace nad filmem mają bezzwłocznie zostać przerwane. Nie podał ż adnych powodów.

VI

Barney próbował odłożyć z powrotem na biurko czasopismo, które przeglądał, lecz za-haczył ręką o okładkę i rozdarł ją do połowy. Niecierpliwym ruchem rzucił je na podłogę. Nie znalazł nawet chwili czasu, by splukać z siebie resztki piwa Wikingów i teraz tego żałował, ale - o p e r a c j a p r z e r w a n a! - to było niepojęte.

- Panno Zucker. L. M. chciał się ze mną spotkać. Tak twierdził. Zostawił mi wiadomość. Jestem przekonany, że czeka z niecierpliwością, by usłyszeć ode mnie...

- Przykro mi, panie Hendrickson, ale wydał jak najsurowsze instrukcje. Jest nad konfe-rencji i nie życzy sobie, by mu przeszkadzano. - Palce panny Zucker zawisły na moment nad klawiaturą maszyny do pisania. Na chwilę przestała nawet żuć gumę.

- Zawiadomię go, że pan czeka, gdy tylko będę mogła - maszyna do pisania zaczęła znów bębnić i w jej rytm ruszyły również przeżuujące szczęki panny Zucker.

- Mogłaby pani chociaż zadzwonić i uprzedzić go, że tu jestem.

- Panie Hendrickson! - odparta tonem, jakiego z powodzeniem mogłaby użyć przeory-sza, oskarżona o przekształcenie klasztoru w dom schadzek.

Barney wstał, napił się nieco zimnej wody i opłukał lepkie od piwa dłonie. Właśnie wycierał je, używając w tym celu papieru maszynowego, gdy zabrzączał interkom. Panna Zucker skinęła na niego.

- Może pan wejść - oznajmiła lodowato.

- Co pan miał na myśli, L.M.? - zapytał Barney, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi. -

Co pan miał na myśli, wysyłając mi to polecenie?

Sam siedział w fotelu, nienaturalnie wyprostowany, nieruchomy jak głaz. Naprzeciw niego kulił się w krześle Charley Chang. Pocił się obficie i w ogóle wyglądał żałośnie.

- Co mam na myśli? A cóż miałbym mieć na myśli? Mam na myśli to, że wpuścił mnie pan w maliny, panie Barneyu Hendrickson i robi pan ze mnie balona. Dostałeś moją zgodę na kręcenie filmu, a do tej pory n i e m a s z n a w e t s c e n a r i u s z a!

- Oczywiście, że nie mam scenariusza. W jaki sposób mógłbym go mieć, skoro na cały film zdecydowaliśmy się dopiero przed chwilą. To jest sytuacja wyjątkowa, pamięta pan?

- Jak mógłbym zapomnieć. Ale sprawy wyjątkowe to jedna rzecz, a robienie filmu bez scenariusza druga. Może się to zdarzyć we Francji. Robią tam jakieś pseudoartystyczne dupe-rele i trudno dojść, czy w ogóle wiedzą co to jest scenariusz. Ale tu, w Climactic, nie będziemy pracować tymi metodami.

- Tak, to nie jest dobry biznes - zgodził się Sam.

Barney z trudem powstrzymał się, by nie zacisnąć dłoni w pięść.

- Chwileczkę, L.M., niech pan będzie rozsądny. To jest operacja ratunkowa, czy zdążył pan już o tym zapomnieć? Specjalne względy, które...

- Powiedz wyraźnie „banki”. To słowo przestało już robić na mnie wrażenie.

- Nie chcę tak mówić, ponieważ ciągle jeszcze możemy dać im łupnia. Zrobimy ten film. Widzę, że wezwał pan mojego tekściarza.

- On nie ma żadnego scenariusza.

- L.M., niech mnie pan wysłucha. Charley to zdolny chłop, sam pan go wyszukał i zatrudnił. Jeśli ktokolwiek może napisać coś przyzwoitego, to właśnie nasz stary, poczciwy Charley. Gdyby miał pan scenariusz tego filmu, napisany przez Charleya Changa to zgodziłby się pan na rozpoczęcie zdjęć, nieprawdaż?

- On nie ma...

- L.M., pan nie słucha. J e ż e l i ! To wielkie słowo. Gdybym stanął przed panem t u i t e r a z, by wręczyć panu scenariusz Charleya Changa, scenariusz wspaniałego filmu pod tytułem... pod tytułem „Wiking Kolumbem” - zgodziłby się pan na produkcję?

L.M. ubrał twarz w najlepszą ze swych pokerowych masek. Zerknął na Sama, który opuścił głowę o ułamek cala.

- Tak - stwierdził nagle.

- No to jesteśmy już prawie w domu, L.M. Gdybym wręczył panu ten scenariusz w ciągu, dajmy na to, godziny, również zgodziłby się pan na produkcję. To przecież żadna różnica, co?

L.M. wzruszył ramionami.

- Pewnie, że radna. Ale przecież to niczego nie zmienia.

- Niech pan tu poczeka, L.M. - Barney chwycił przerażonego Charleya za ramię i wy-pchnął go z gabinetu. - Proszę porozmawiać z Samem na temat budżetu, może napije się pan czegoś. Będę u pana najdalej za godzinę. „Wiking Kolumbem” już jest prawie gotów.

- Mój psychiatra przyjmuje po południu - oznajmił Charley, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi. - Pogadaj z nim, Barney. Wiele razy słyszałem już wariackie przyrzeczenia w tym kretyńskim biznesie, ale to przechodzi wszystko...

- Daj spokój, Charley. Czeka cię kupa roboty - Barney wywlóknął opierającego się pisarza na korytarz.

Na razie powiedz, ile czasu zajmie ci naszkicowanie pierwszej wersji scenariusza, pod warunkiem, że będziesz tyrał jak wół i dasz z siebie wszystko. No?

- To od cholery roboty. Najmniej sześć miesięcy.

- Dobrze. Niech będzie te sześć tygodni. Pełna koncentracja. Robota na najwyższym poziomie!

- Powiedziałem miesięcy. A zresztą, nawet sześć tygodni to trochę więcej niż godzina.

- Będziesz miał nawet te sześć miesięcy, jeśli tylko zechcesz. Będziesz miał tyle czasu, ile uznasz za stosowne. Słowo! I wspaniałe, zaciszne miejsce do pracy.

Przechodzili właśnie obok ogromnych rozmiarów afisza reklamowego.

- Tam. Na wyspie Santa Catalina. Cudowne słońce, a gdy poczujesz się zmęczony wy-najdywaniem nowych pomysłów, orzeźwiający kąpiele morskie.

- Nie mogę tam pracować. Za dużo ludzi, te całonocne przyjęcia...

- Tak ci się tylko wydaje. Czy nie chciałbyś pracować na Catalinie, na której nie ma żywego ducha? Cała wyspa do twojej dyspozycji. Nic, tylko myśleć o czekającej cię pracy.

- Barney, mówiąc szczerze, nie mam pojęcia o czym, do ciężkiej cholery, mówisz.

- Będziesz je miał, Charley. Za kilka minut będziesz je miał.

*

- Pięćdziesiąt ryz papieru maszynowego, skrzynka kalki, krzesło - jedno, stolik do pisania - jeden, maszyna do pisania...

- To jest model z epoki węgla i pary, Barney - zaprotestował Charley. - Antyk, w który musisz walić palcami: Potrafię pracować tylko na elektrycznej IBM-ce.

- Obawiam się, że nie można mieć nadmiernego zaufania do sieci elektrycznej w okolicach, do których się udajesz. Zobaczysz, jak szybko twoje palce odzyskają dawną sprawność.

Do ciężarówki wpychano właśnie gigantyczną skrzynię, Barney odfajkował kolejną pozycję w spisie.

- Komplet wyposażenia myśliwskiego - jeden.

- Jedno co...?

- Składany sprzęt podróźniczy, z rekwizytorni. Namiot, prycze, moskitiera, krzesła, kuchnia polowa wszystko na chodzie. Będziesz się czuł jak dr Livingstone, tyle że znacznie bardziej komfortowo. Pięćdziesięciogalonowe zbiorniki na wodę - trzy, sprężynowy zegar kontrolny z zapasem kart pracy jeden...

Charley Chang spoglądał z osłupieniem na przebogaty asortyment wszelkich dóbr, którymi wypełniano ciężarówkę. Nic z tego nie rozumiał. To wszystko, łącznie z dziwacznym staruszką, manipulującym wśród tych rupieci przy jakiejś podejrzanym aparaturze radiowej nie miało najmniejszego sensu. Do samochodu wciągano właśnie starożytny zegar w maho-niowej obudowie. Na cyferblacie widniały rzymskie cyfry. Charley chwycił Barneya za rękę i wskazał na niecodzienny chronometr.

- Nie rozumiem nic a nic z tego, co się tutaj dzieje, a już najmniej tego. Po co zegar kontrolny?

- Profesor Hewett za parę minut wyjaśni ci to w najdrobniejszych szczegółach, na razie ufaj mi na słowo. Ten zegar będzie niezwykle istotny. Wierz mi. Nie zapomnij odbijać karty co rano.

- Ma pan szczęście, panie Hendrickson - do magazynu wkroczyła sekretarka, prowadząc ze sobą barczystego Murzyna, ubranego w biały kucharski kitel i teje barwy wysoki czepek.

- Wspominał pan, że potrzebny jest kucharz i to natychmiast. Poszłam do działu aprowizacyjnego i znalazłam Clyda Rowlstona. Nie tylko gotuje, ale zna się także na stenografii i umie pisać na maszynie.

- Jesteś aniołem, Betty. Zamów następną maszynę do pisania.

- Jest już w drodze. Skrzynka z lekarami dotarła?

- Tak, właśnie ją załadowaliśmy. Mamy jeszcze masę roboty. Clyde - to jest Charley.

Charley - Clyde. Później poznacie się lepiej. Bądźcie łaskawi wejść do kabiny.

- Nigdzie nie wsiądę, dopóki ktoś nie wytłumaczy mi co się tutaj dzieje - odparł wojowniczo Clyde Rowlston.

- Zadanie nadzwyczajne. Firma potrzebuje pana, a ponieważ jest pan lojalnym pracownikiem, wiem, że nie odmówi pan współpracy. Profesor Hewett wyjaśni panu wszystko. To nie potrwa długo. Zobaczymy się z powrotem, zanim na moim zegarku upłynie dziesięć minut. Macie na to moje słowo. A teraz, niech się pan usadowi na tych skrzyniach, chciałbym zamknąć klapę.

Pod wpływem autorytatywnego tonu głosu Barneya obydwaj zajęli miejsce w ciężarówce. Zza ich pleców wychylił się profesor Hewett.

- Sądzę, że era kambryjska będzie najbardziej odpowiednia - zwrócił się do Barneya. -

Wie pan wczesny paleozoik. Miły, umiarkowany klimat, ciepło, przyjemnie, żadnych kręgowców, które mogłyby narobić kłopotów. Tylko morza roją się od prostych trylobitów. Co prawda na to, by zapewnić im absolutny komfort, może być trochę za ciepło. A zatem może trochę później, w dewonie. W dalszym ciągu nie ma jeszcze nic na tyle dużego, by mogło być niebezpieczne...

- Pan tu decyduje, profesorze i to co pan wymyśli, będzie najlepsze. Musimy działać szybko, przynajmniej tu, z tej strony. Niech ich pan zabierze na Catalinę, następnie przesunie się o sześć

tygodni naprzód i przywiezie ich tu z powrotem. Proszę zostawić wszystkie graty na miejscu. Mogą się nam przydać później. I proszę pamiętać - niech pan zmieści się z tym wszystkim w piętnastu minutach.

- Proszę to uważać za wykonane. Z każdą kolejną próbą nabieram coraz większej wprawy w regulowaniu instrumentów, tak że lądowania są coraz bardziej precyzyjne. Nie stracimy ani minuty. Ani minuty.

Profesor Hewett powrócił do swoich przyrządów i wnet rozległo się wycie generatora.

Charley Chang usiłował coś powiedzieć, lecz potok jego słów przerwało zniknięcie ciężarów-ki. Tym razem nie było zjawiska migotania, ani rozmywania się konturów w powietrzu. Ciężarówka po prostu zniknęła - błyskawicznie, jak obraz z ekranu kinowego, gdy w projektorze zerwie się taśma. Barney chciał wrócić do przerwanej rozmowy z sekretarką, lecz w chwili, gdy otworzył usta, samochód pojawił się ponownie.

Charley po prostu zniknęła - błyskawicznie, jak obraz z ekranu kinowego, gdy w projektorze zerwie się taśma. Barney chciał wrócić do przerwanej rozmowy z sekretarką, lecz w chwili, gdy otworzył usta, samochód pojawił się ponownie.

- Coś nie tak? - spytał, lecz natychmiast zauważył, że z platformy zniknęło całe wyposażenie. Clyde Rowston stał obok profesora przy pulpicie, a Charley Chang siedział na pustej skrzyni, trzymając w rękach gruby plik zapisanych kartek.

- Wszystko w porządku Po prostu oznaczyłem termin powrotu z niezwykłą, niemal doskonałą precyzją - odparł profesor.

- Jak poszło, Charley?

- Nie najgorzej - jak mi się wydaje. Jeszcze nie skończyłem, ale gdybyś ujrział te stwory w morzu! Ich kły! Ślepia...

- Ile czasu ci jeszcze potrzeba?

- Dwa tygodnie wystarczą, nawet z pewnym luzem. Ale... Barney!... Te ślepia...

- Nie ma tam nic wystarczająco wielkiego, by mogło wam zaszkodzić. Tak twierdzi profesor.

- Może to i nieduże, ale tam... w oceanie - pełno tego! I te kły...

- Do zobaczenia. Niech pan ich weźmie z powrotem, profesorze. Na dwa tygodnie.

Tym razem ciężarówka ledwie mignęła i gdyby Barney zamknął na chwilę powieki, mógłby w ogóle nie dostrzec jej zniknięcia. Charley i Clyde siedzieli teraz razem w kącie platformy, a kupa zapisanych kartek była znacznie grubsza.

- Oto „Wiking Kolumbem” - oznajmił Charley, wymachując nimi nad głową. - Panoramiczne arcydzieło.

Opuścił rękę i Barney zauważył, że do okładki jest przypięty gruby plik kart zegarowych.

- To nasze karty. Jeśli przejrzysz je dokładnie, zauważysz że odbijaliśmy je codziennie.

Obaj z Clydeem domagamy się 10096 dodatku za soboty i 20096 za niedziele.

- Nie ma sprawy - uspokoił ich Barney i uszczęśliwiony wyciągnął rękę po manuskrypt.

- Chodź, Charley. Za chwilę mamy zebranie w sprawie tego scenariusza.

Wyszli z magazynu. Charley wciągnął w płuca atmosferę kończącego się dnia.

- Ależ tu śmierdzi! Nigdy przedtem nie zdawałem sobie z tego sprawy. Jakie wspaniałe powietrze mieliśmy tam, na wyspie. - Spojrzał na swoje stopy. - Czuje się zabawnie nosząc z powrotem buty.

- Powrót do natury. Zaniosę scenariusz, a ty skocz do garderoby i znajdź tam jakieś ubranie zamiast tych łachmanów i weź prysznic. Potem przyjdź jak najszybciej do biura L.M.

To dobry scenariusz?

- Być może za wcześnie na ocenę, ale mówiąc między nami, sądzę że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek napisałem. Pracując w ten sposób, bez żadnych przeszkód z zewnątrz...

jeśli nie liczyć tych ślepi... Clyde pomógł mi bardzo - świetnie pisze na maszynie. Poza tym to poeta. Wiedziałaś o tym?

- Myślałem, że jest kucharzem.

- Parszywym kucharzem. Skończyło się na tym, że gotowałem ja. Wziął tę pracę w kuchni, by spłacić długi. To świetny poeta i niezrównany, jeśli chodzi o dialogi. Nie uważasz, że powinniśmy uhonorować go jakoś w tym filmie?

- Dlaczego nie. Ale, nie zapomnij się ogolić.

Barney wszedł do gabinetu L.M. i położył scenariusz na biurku.

- Gotowe - oznajmił.

L.M. zważył maszynopis w obydwu dłoniach, po czym odsunął go na odległość wyciągniętej ręki i odczytał napis na stronie tytułowej:

- „Wiking Kolumbem”. Dobry tytuł. Będziemy go musieli zmienić. Dostarczyłeś scenariusz zgodnie z obietnicą, Barney. Możesz teraz zdradzić sekret produkcji scenariuszy filmowych w ciągu jednej godziny. Sam też chętnie posłucha.

Sam był niemal niewidoczny na tle ciemnej tapety, dopóki nie skinął głową.

- To żadna tajemnica, panie L.M. Po prostu Vremiatron. Widział pan jego działanie.

Charley Chang cofnął się w czasie do pewnego pięknego, spokojnego miejsca gdzie, pracując ciężko, stworzył ten tekst. Był tam tyle, ile potrzebował, po czym przywieźliśmy go z powrotem niemal w tym samym momencie, w którym wyruszył. Upłynęło zaledwie kilka chwil i z pańskiego punktu widzenia wygląda to tak, jakby napisanie tekstu zajęło zaledwie godzinę.

- Scenariusz w godzinę - L. M. uśmiechnął się uszczęśliwiony. - To zrewolucjonizuje cały biznes. Nie krępuj się, Barney. Wymień najwyższą stawkę godzinową, jaką potrafisz sobie wyobrazić, zdubluj ją, a potem jeszcze raz pomnóż przez dwa. Nie dbam o pieniądze.

Chcę być sprawiedliwy i zobaczyć, jak Charley Chang bierze najwyższe wynagrodzenie, jakie kiedykolwiek zapłacono człowiekowi za jedną godzinę pracy.

- Nie rozumie pan istoty czasu, L.M. Upłynęła zaledwie jedna godzina p a n s k i e g o czasu, ale Charley Chang pracował ponad dwa miesiące nad tym scenariuszem, włączając w to soboty i niedziele. Musi mu pan za to zapłacić.

- Nie udowodni mi tego - L.M. spojrzął zawzięcie spode łba.

- Owszem, udowodni. Codziennie odbijał kartę zegarową. Wszystkie karty mam przy sobie.

- Nie jest w stanie postawić mnie przed sądem. Zajęło to godzinę i tylko za tyle zapłacę.

- Sam - jęknął błagalnie Barney. - Wy tłumacz mu, że na tym świecie nie ma nic za darmo. Pieniądze za osiem tygodni pracy to ciągle betka, kiedy się ma scenariusz taki jak ten.

- Scenariusz powstały w ciągu godziny odpowiadałby mi znacznie bardziej - odparł

Sam.

- Wszystkim odpowiadałby bardziej, tylko że takich scenariuszy nie ma. Bez wątpienia jest to nowy system; ale za wykonaną pracę należy zapłacić bez względu na to, kiedy ją wy-konano.

Terkot telefonu przerwał te rozważania. L.M. podniósł słuchawkę. Z początku słuchał, a następnie odpowiadał seriami monosylabowych pomruków - wreszcie odłożył ją na widełki.

- Ruf Hawk jest w drodze. Sądzę, że obsadzimy go w głównej roli, ale wydaje mi się również, że ma już podpisany jakiś inny kontrakt. Wybadaj go, Barney, zanim dopadną nas jego agenci. A teraz - w kwestii tej jednej godziny...

- Kwestię tej jednej godziny omówimy kiedy indziej, L.M. Jakoś się to załatwi.

Do gabinetu wszedł Ruf Hawk. Zatrzymał się na chwilę w progu i obrócił twarz profi-lem, by wszyscy mogli uzmysłowić sobie jak pięknie wygląda. Istotnie wyglądał wspaniale.

A wyglądał tak dlatego, że była to jedyna rzecz na świecie, o jaką się troszczył. W, niezliczonych salach kinowych całego świata serca kobiet zaczynały bić szybciej, gdy przed ich oczyma Ruf obejmował mocnym uściskiem jakąś rozanieloną gwiazdkę. Nie zdawały sobie, biedactwa, sprawy,

że ich szanse, by znaleźć się kiedykolwiek w jego ramionach są praktycznie równe zeru. Ruf nie lubił kobiet. Nie dlatego, żeby był pedziem lub czymś w tym rodzaju - mężczyźni nie lubił również. Ani owiec, ani płaszców przeciwdeszczowych zakładanych na gołe ciało, ani biczowania, ani żadnej z tych rzeczy. Ruf lubił tylko Rufa, a pełen miłości ogień w jego oczach był niczym więcej, jak tylko refleksem narcystycznego samozachwytu.

Zanim odkryto, że potrafi grać, był jednym z wielu dobrze umięśnionych, żywych połci cieleciny. Prawdę mówiąc jego talent aktorski był żaden, nauczył się jednak grać tak, jak mu kazano. Potrafił stosować się do wszystkich wydawanych mu poleceń, powtarzając te same słowa i gesty od nowa i od nowa z niewyczerpaną, godną wołu cierpliwością. Przerwy poświęcał na odpoczynek, polegający na tym, że przeglądał się w lustrze. Brak jakichkolwiek umiejętności z jego strony nigdy nie wyszedł na jaw, ponieważ w filmach, w których grywał, zanim ktokolwiek zdołał zauważyć jakie z niego beztalencie, atakowali go Indianie, szarżowały dino-zaury, waliły się mury Troi, słowem, zdarzało się coś, co można by nazwać subtelnym przerywnikiem. Dlatego też Ruf był szczęśliwy. Szczęśliwi byli także producenci, oglądający rachunki wpływów kasowych i wszyscy zgadzali się, że może on jeszcze wiele dokonać, zanim na dobre podtatusieje.

- Cześć Ruf - powitał go Barney. - Nareszcie człowiek, jakiego potrzebujemy.

Ruf uśmiechnął się i wyciągnął na powitanie rękę. Nie mówił zbyt wiele, jeśli mu tego nie kazano.

- Nie zamierzam owijać niczego w bawełnę, Ruf. Chcę powiedzieć, że mamy zamiar nakręcić najbardziej rewelacyjny film świata. W czasie naszych dyskusji na temat obsady głównej roli padło twoje nazwisko, a ja potwierdziłem z całym przekonaniem, że jeśli mamy kręcić film o Wikingach, to Ruf Hawk jest najbardziej skandynawskim Wikingiem, jakiego można sobie wyobrazić.

Ruf nie przejawiał najmniejszych oznak podniecenia ani nawet cienia zainteresowania tymi rewelacjami.

- Słyszałeś o Wikingach, nieprawdaż, Ruf?

Ruf uśmiechnął się nieznacznie.

- Pamiętasz - ciągnął Barney - wysocy faceci z wielkimi toporami, rogami na hełmach, zawsze żeglujący dokądś łodziami z wyrzeźbionymi głowami smoków na dziobach...

- O tak, oczywiście - przyciągnęło to w końcu uwagę Rufa - słyszałem o Wikingach.

Nigdy nie grałem Wikinga.

- Ale w głębi serca zawsze o tym marzyłeś, Ruf. Nie mogło być inaczej. To rola stworzona dla ciebie, rola, w której będziesz mógł pograć się bez reszty, rola, która sprawi, że na ekranie będziesz wspaniały!

Grube brwi Rufa zeszyły się z wolna. Na czole gwiazdora pojawiły się zmarszczka.

- Zawsze jestem wspaniały.

- Oczywiście, Ruf. Dlatego mamy cię tutaj. Nie jesteś nigdzie zaangażowany, żadnych innych ról, nieprawdaż?

Ruf zamyślił się, w związku z czym zmarszczka na jego czole pogłębiła się znacznie.

- Mam grać w filmie. Zaczynamy pod koniec przyszłego tygodnia. Coś o Atlantydzie.

L.M. wyrwał zza scenariusza i popatrzył na Rufa z dezaprobatą.

- Tak myślałem. Poproś do mnie swojego impresario. Poszukamy kogoś innego.

- L.M. - poprosił Barney. - Niech pan czyta scenariusz, delektuje się nim, a ja porozmawiam z Rufem. Zapomniał pan, że film będzie gotów w poniedziałek, co da Rufowi trzy dni na odpoczynek, zanim zacznie z tą Atlantydą.

- Cieszę się, że wspomniałeś o scenariuszu. Jest w nim sporo błędów. Poważnych błędów.

- Jak pan może tak mówić - przeczytał pan zaledwie dziesięć stron. Proszę przeczytać jeszcze trochę, a potem podyskutujemy na ten temat. Autor właśnie na nas czeka. Wszelkich zmian, o ile rzeczywiście będą potrzebne, może dokonać od ręki.

Barney ponownie zwrócił się do Rufa.

- Powinieneś postąpić zgodnie z własnym sumieniem i zagrać tego Wikinga. Jesteśmy w posiadaniu rewelacyjnie nowych środków technicznych. Przy ich pomocy jedziemy w plener, kręcimy i chociaż wracamy po paru dniach, dostajesz tyle forsy co za normalny, pełno-metrażowy film.

- Myślę, że zrobisz lepiej rozmawiając o tym z moim impresario. Nie wypowiadam się ani słowem w sprawach finansowych.

- Oto właściwie podejście, Ruf. Po to są agenci. Ja też nie załatwiam niczego w inny sposób.

- To zupełnie nie gra! - powiedział L.M. głosem wyroczni. - Po Charleyu Changu spodziewałem się czegoś lepszego. Początek jest zupełnie do niczego.

- Już proszę Charleya, L.M. Przejrzemy tekst, znajdziemy błędy i od razu je usuniemy.

Barney spojrzął na zegarek. Była ósma wieczorem. A więc: przetrzymać agenta tego zwału mięcha. I uratować scenariusz, nawet kosztem częściowych przeróbek. I wysłać Charleya z powrotem na Catalinę, by tych zmian dokonał. I znaleźć aktorów do ról drugorzę-

dnych. I skompletować, co do najmniejszego drobiazgu, wszystko, co może się przydać w czasie kilku miesięcy zdjęć. I znaleźć kompletną ekipę i wysłać ją w przeszłość. I wreszcie nakręcić film w

jedenastym stuleciu, co, samo przez się, nastrożyć może wiele interesują-

cych problemów. Skończyć to wszystko i zmontować film do poniedziałku rano. Teraz jest czwartek, ósma wieczorem. Kupa czasu. Oczywiście, że kupa czasu.

Dlaczego więc tak się poci?

VII

- Dokonanie tego wszystkiego w niecałe cztery dni to istny cud logistyki, panie Hendrickson - powiedziała z zachwytem Betty, gdy przechodzili obok długiej kolumny ciężarówek i przyczep, rozciągniętej wzdłuż betonowego podjazdu, wiodącego do studio dźwiękowego B.

Nazwałbym to inaczej - odparł Barney - ale w obecności kobiet zwykłem wyrażać się powściągliwie. Co z ludźmi?

- Wszystko gra. Każdy z departamentów dostarczył kompletne i podpisane listy obecności. Zrobili to wszystko fantastycznie!

- Dobrze, ale w takim razie gdzie się oni wszyscy podzieli?

Minęli już większość pojazdów i Barney uświadomił sobie, że jeśli nie liczyć kilku kierowców, nie zauważył prawie nikogo.

- To się stało wtedy, gdy poszedł pan załatwić taśmę filmową. Wszyscy siedzieliśmy tu... nie mogliśmy się nigdzie ruszyć ... no i wie pan jak to bywa... jedno pociąga za sobą drugie...

- Nie, nie wiem. Co pociąga za sobą co?

- To naprawdę było urocze! Strasznie nam pana brakowało. Charley Chang zamówił w bufecie dwie skrzynki piwa. Twierdził, że nie miał tego płynu w ustach od roku. Ktoś inny zaordynował drinki i sandwicze i zanim ktokolwiek zauważył, zaczął się ubaw na sto dwa.

Trwało to do późna w nocy. Myślę, że wszyscy są kompletnie wypłuci i śpią gdzieś w przyczepach.

- Jesteś pewna? Liczył ich ktoś?

- Strażnicy nie pili i stanowczo twierdzą, że nikt stąd nie wyszedł, więc chyba wszystko jest w porządku.

Barney spojrzał na rząd pograżonych w głębokim milczeniu pojazdów i wzruszył ramionami.

- No cóż, myślę, że na razie to wystarczy. Po przybyciu na miejsce urządzimy apel i ewentualnie wyślemy kogoś z powrotem po tych, którzy gdzieś się zawieruszyli. Reszta niech śpi w czasie podróży to będzie najlepsze wyjście. Ty też się trochę prześpij. Dobrze to ci zrobi, byłaś na nogach całą noc.

- Dziękuję, bosmanie. Gdyby mnie pan potrzebował - jestem w przyczepie numer dwanaście.

Zza uchylonych drzwi studio dobiegały odgłosy gorączkowej krzątaniny. Ekipa ciesielska kończyła właśnie montaż ostatnich elementów platformy czasu. Barney zatrzymał się tuż przy wejściu i zapalił

papierosa. Starał się wzbudzić w sobie choć cień entuzjazmu do tej tandetnie skleconej konstrukcji, która miała przenieść całe to towarzystwo na Orkneje.

Zespawaną ściśle według wskazówek profesora, prostokątną stalową ramę pokryto czymś w rodzaju podłogi z grubej, nie heblowanej tarcicy. Gdy tylko pierwszy jej fragment był gotów, wzniesiono na nim zaopatrzone w okna pomieszczenie, w którym profesor Hewett zainstalował swój znacznie rozbudowany Vremiatron (jego obecna wersja zdawała się być znacznie bardziej obrosnięta girlandami kabli i połyskującymi gniazdami cewek niż pierwowzór), a także potężny generator, napędzany silnikiem Diesla. Do podstawy całej konstrukcji przymocowano co najmniej dwa tuziny starych opon samochodowych, by złagodzić ewentualny wstrząs przy lądowaniu. Po obydwu stronach platformy biegło ogrodzenie z grubych, metalowych rur. Wszystko to wyznaczało granice generowanego przez Vremiatron pola czasowego. Całość wyglądała tak lichy i nietrwale, że Barney uznał, iż najlepsze co może uczynić, to starać się jak najmniej o tym wszystkim myśleć.

- Włączamy! - oznajmił profesor Hewett, gramoląc się zza swego dzieła z dymiącą luto-wnicą w rękę, po czym pociągnął ku sobie jakiś lewar. Silnik jęknął, kaszlnął, wypuł kłęb niebieskawych spalin, w końcu, złapawszy wreszcie oddech, rozpoczął swój zwyczajny, dudniący żywot.

- Jak idzie, profesorze? - krzyknął Barney przez otwarte drzwi.

Hewett odwrócił się i zamrugał oczyma w jego stronę.

- Dzień dobry, panie Hendrickson. Domyślam się, że pyta pan o stan mojego Vremiatronu model II. Mam niewątpliwy zaszczyt zapewnić pana, że działa bez zarzutu. Jestem go-tów do podjęcia operacji w dowolnym momencie. Wszystkie obwody sprawdzone i jeśli tylko pan jest gotów - wszystko inne również.

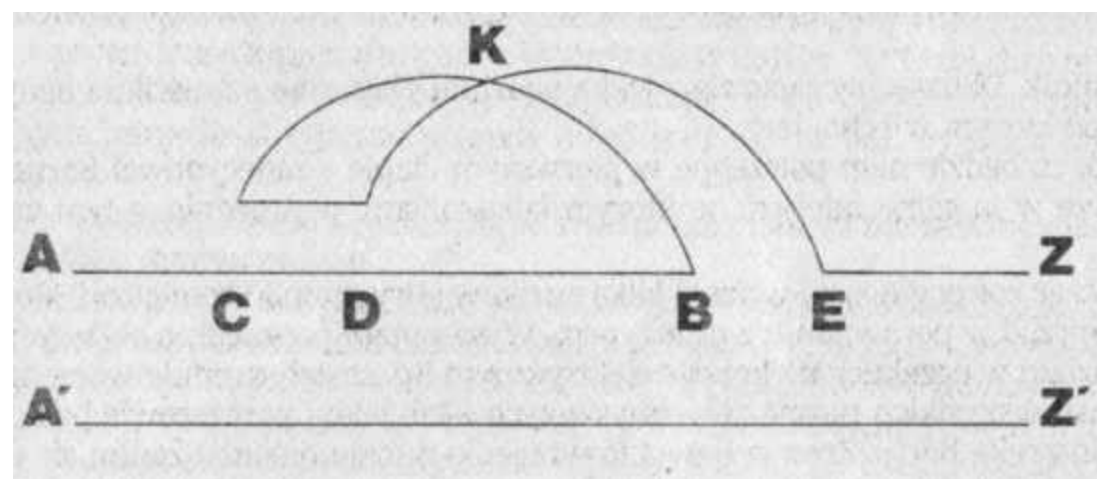
Barney spojrział na stolarzy, którzy przybili właśnie ostatni kawałek deski i teraz pośpiesznie uprzęta platformę, skopując na podłogę niepotrzebne już drewniane odpadki.

- Ruszamy natychmiast - o ile zdołał pan rozwiązać jakoś ten problem z drogą powrotną.

Hewett pokręcił przecząco głową.

- Dokonałem wielu eksperymentów z Vremiatronem, by sprawdzić, czy da się przeła-mać tę barierę. Niestety, to niemożliwe. Podczas cofania się w czasie przecinamy łuk continuum, zużywając energię na to, by wygiąć linię naszego czasu poza linię czasu ziemskiego.

Podróż powrotna, po wizycie w przeszłości, bez względu na to, jak długo ona trwała, jest wstecznym przesuwaniem się wzdłuż tego samego wektora czasowego. W tym sensie podróż powrotną można określić jako endotemporalną, polegającą na absorpcji energii czasu, zaś ruch stąd, wlecz w czasie, jest egzotemporalny. A zatem nie mamy więcej szans na powrót do jakiegoś momentu w czasie, wcześniejszego od chwili, w której opuściliśmy wektor czasu



świata, niż upuszczona piłka na to, że odbijając się wzleci powyżej punktu, z którego spadła.

Rozumie pan?

- Ani słowa. Nie mógłby pan spróbować jeszcze raz - tym razem już po angielsku?

Profesor Hewett podniósł kawałek czystej sosnowej deski, poślinił koniuszek ołówka i narysował na niej prosty diagram:

- Proszę się temu przypatrzeć i wszystko natychmiast stanie się jasne. Linia A'Z' jest linią czasu ziemskiego - A' oznacza przeszłość, Z' - przyszłość. Punkt B reprezentuje naszą terażniejszość, nasze „teraz” w czasie. Prosta AZ jest linią czasu Vremiatronu, inaczej mó-

wić naszą własną linią czasu, wzdłuż której będziemy się przesuwać. Musi pan zauważyć, że opuszczamy linią czasu świata w punkcie B, dziś, i łuk cofa się poprzez continuum pozaczasowe by osiągnąć, powiedzmy, rok 1000 n.e. w punkcie C. A zatem łuk BC to nasza podróż.

W punkcie C wkraczamy z powrotem w linię czasu ziemskiego i pozostajemy w niej przez pewien okres, poruszając się zgodnie z kierunkiem jej biegu. Ten okres wyraża się odcinkiem CD. Nadąża pan?

- Jak dotąd, tak - Barney przesunął koniuszkiem palca wzdłuż nakreślonych linii. -

Niech pan mówi dalej, dopóki jeszcze cokolwiek rozumiem.

- Oczywiście. Teraz, niech pan zwróci uwagę na łuk DE - naszą podróż powrotną, do jakiegoś momentu w czasie, być może jedynie ułamka sekundy od chwili, w której wyruszyliśmy to znaczy od punktu B. Nigdy jednak nie będzie można wylądować przed nim, przed punktem B. Ten wektor należy odczytywać zawsze BE - nigdy EB.

- Dlaczego?

- Cieszę się, że zadał pan to pytanie, w nim bowiem tkwi istota zagadnienia. Proszę spojrzeć jeszcze raz na wykres. Niech pan zwróci uwagę na punkt K. Jest to moment przecię-

cia się łuku BC z łukiem DE. Ten punkt musi istnieć - w przeciwnym wypadku powrót byłby niemożliwy. K jest punktem wymiany energii, punktem, w którym wektory czasu równoważą się. Gdyby umieścić pan punkt E pomiędzy punktami D i B obydwie krzywe nie przecięłyby się, bez względu na to jak blisko siebie by przebiegały równowaga energetyczna uległaby zachwianiu i sama podróż w ogóle nie mogłaby się odbyć.

Barney ściągnął brwi i potarł bolące czoło.

- Wszystko to zatem sprowadza się do stwierdzenia, że nie możemy powrócić do momentu wcześniejszego niż ten, z którego wyruszyliśmy?

- Dokładnie tak.

- Zatem cały czas, który zużyliśmy w tym tygodniu, umknął nam bezpowrotnie?

- Najzupełniej słusznie.

- I jeżeli chcemy skończyć film do godziny dziesiątej rano w poniedziałek, musimy cofnąć się w przeszłość i pozostać w niej dopóty, aż wszystko będzie zrobione?

- Nawet ja nie potrafiłbym wyrazić tego lepiej.

- A zatem ruszajmy z tym całym cyrkiem, bo jest już prawie sobota rano. Stolarze już skończyli. Czas zaczynać.

Pierwszym pojazdem w defiladzie uspiionych samochodów był jeep. Tex pochrapywał

na przednim siedzeniu - na tylnym drzemał Dallas. Barney wszedł do szoferki i włączył

klakson. Niemal w tej samej chwili zorientował się, że patrzy wprost w czarny otwór lufy ogromnego sześciostrzałowca, spoczywającego w drżącej dłoni Texa.

- Boli mnie głowa i nie życzę sobie, by pan tak postępował - wymamrotał ochryple Tex i z wyraźną niechęcią wsunął rewolwer z powrotem do kabury.

- Coś jesteśmy niezdrowi dziś z rana, co? Przyda się wam trochę świeżego powietrza.

Ruszamy! - odparł Barney.

Tex zapuścił silnik. Dallas zataczając się z lekka wlaź na platformę i spuścił na dół

prowizoryczny, metalowy trap, po którym wjechał jeep.

- To wszystko, co będzie nam potrzebne w pierwszym etapie - zdecydował Barney. -

Proszę nas zabrać; profesorze w to samo miejsce, na którym lądowaliśmy poprzednio, z tym że osiem tygodni później.

Profesor, mrucząc coś pod nosem wcisnął kilka guzików i uruchomił Vremiatron.

Model II był znacznym krokiem naprzód w porównaniu z prototypem. Występujące poprzednio objawy: mdłości; wrażenie czynnego udziału w egzekucji na krześle elektrycznym itp.

zostały zredukowane do pojedynczego, krótkiego wstrząsu wszystkich receptorów zmysłowych - tak jakby pasażerowie byli strunami szarpniętej niewidzialną ręką harfy. Zresztą nawet to wrażenie minęło nieomal zanim się pojawiło. Studio zniknęło. Jego miejsce zajęło czyste, ostre, powietrze przesycone drobinkami soli. Tex jęknął cicho i zasunął zamek błyskawiczny kurtki.

- Tam! Ta łąka wygląda zupełnie przyzwoicie - Barney wskazał ręką na zupełnie równy kawałek gruntu, dochodzący do plaży. - Zawieź nas tam, Tex, a ty, Dallas, zostaniesz z profesorem.

Jeep, grzęznąc, piął się po zboczach, prowadzony przez Texa na wspomaganym pierwszym biegu. Silnik z hukiem wyrzucał kłęby spalin, podrywając do lotu czarnogłowe mewy, które skrzecząc unosiły się nad ich głowami.

- Wygląda, że jest tu dość miejsca - Barney wyskoczył na zewnątrz i potknął się o kępę mizernej trawy. - Możesz wracać do profesora. Powiedz mu, by skoczył nieco do przodu w czasie i osadził platformę właśnie tutaj. Będzie wtedy pewien, że gdy zaczniemy sprowadzać całą ekipę, trafi we właściwe miejsce.

Barney opadł na ziemię i wygrzebał z kieszeni paczkę papierosów. Była pusta. Zmiał ją i odrzucił od siebie.

Tex zatoczył jeepem koło i krzyknął coś w stronę platformy. Trap był ciągle spuszczo-ny. Samochód wjechał po nim na górę. Barney widział wyraźnie, jak Dallas wciąga trap, a profesor wraca do kabiny Vremiatronu.

- Hej ! - krzyknął Barney, ale w tym momencie wszystko zniknęło. Pozostały tylko koleiny, wyłobione przez jeepa i ślady opon, na których spoczywała platforma.

Jakiś obłok przesłonił słońce. Wstrząsnął nim dreszcz. Mewy usadowiły się znów na brzegu i jedynym dźwiękiem, jaki docierał teraz do niego, był odległy szum fal, uderzających miarowo o brzegi. Barney spojrzał na pustą paczkę po papierosach, jedyną znaną mu rzecz w tym obcym świecie i znów wstrząsnął nim dreszcz. Nie patrzył na zegarek, ale z pewnością nie upłynęło więcej czasu niż minuta, najwyżej dwie. Dopiero teraz uświadomił sobie i to aż za dobrze, co musiał czuć Charley Chang, wyrzucony jak rozbitek na brzeg prehistorycznej Cataliny z tymi jej kłami i ślepiami. Miał tylko nadzieję, że Jens Lynn nie był równie nieszczęśliwy podczas swego „dwumiesięcznego” pobytu w tej krainie. Gdyby resztki jego sumienia nie zostały dokumentnie wypłukane przez lata pracy w branży filmowej, być może poczułby nawet odrobinę współczucia dla niego. Na razie był zdolny współczuć jedynie sobie. Chmura wreszcie odpłynęła i słońce znów zaświeciło ciepłym blaskiem, mimo to wciąż jeszcze było chłodno. W ciągu tych kilku minut Barney doznał uczucia takiej samotności i zagubienia, jakiego nie doświadczył nigdy wcześniej.

Wtem platforma pojawiła się znowu i z wysokości kilku cali opadła na ziemię tuż obok niego.

- Rychło w czas! - krzyknął Barney. Poczucie pewności siebie spłynęło nań gwałtownie, gdy tylko wstał i rozprostował kości. - Gdzie byliście?

- W dwudziestym wieku, a gdzieżby indziej - odparł profesor. - Nie zapomniał pan chyba o punkcie K? By przesunąć się o kilka minut naprzód w pańskim, subiektywnym czasie musiałem cofnąć platformę do momentu, z którego wyruszyliśmy, po czym wrócić tutaj, z odpowiednim przesunięciem w czasie i przestrzeni. Jak długo to trwało według tutejszego czasu?

- Nie wiem. Przypuszczam, że kilka minut.

- Znakomicie, rzekłbym doskonale, jak na podróż w te i z powrotem poprzez prawie dwa tysiąclecia. Powiedzmy, pięć minut! To wielkość mikroskopijnie wręcz mała w porównaniu z błędem...

- W porządku, profesorze. Opracuje to pan dokładnie kiedy indziej. Na razie chcę mieć tu całą ekipę i zacząć pracę. Odjedźcie stąd tym jeepem. Wy dwaj zostaniecie na miejscu.

Zacniemy przesyłać tu pojazdy i chciałbym, żebyście jak tylko się pojawią, odjeżdżali nimi na bok, by zrobić miejsce dla następnych. Zasuwamy!

Tym razem Barney wrócił razem z platformą i nawet przez moment nie zastanawiał się nad tym, jak muszą się czuć ci dwaj, którzy pozostali.

Transfer odbywał się prawie bez przeszkód. Już po kilku pierwszych próbach ciężarów-ki i przyczepy wjeżdżały sprawnie przez drzwi studio dźwiękowego i znikwały w przeszłości.

Jedyny wypadek zdarzył się przy, trzeciej przesyłce. Ciężarówka zsunęła się nieco z platformy i w momencie, gdy zaczęła się podróż w czasie, jakieś dwa cale rury wydechowej i pół

tablicy rejestracyjnej z brzękiem spadło na podłogę. Barney podniósł kawałek rury wydechowej i spojrzał na jej lśniący koniec, obcięty tak równiutko, jakby właśnie wyszedł spod szli-fierki. Najwidoczniej kawałek ten wysunął się poza granice pola czasowego i po prostu pozostał w teraźniejszości. Równie dobrze mogło się to przytrafić czyjejs ręce.

- W czasie podróży wszyscy, z wyjątkiem profesora, mają siedzieć w pojazdach. Nie możemy sobie pozwolić na wypadki - polecił.

Traktor, holujący przyczepa z motorówką oraz ciężarówka-chłodnia stanowiły ostatni ładunek. Barney wszedł na platforma tuż za nimi. Po raz ostatni spojrzał na blask kalifornijskiego słońca, po czym dał profesorowi sygnał do odjazdu. Jego zegarek wskazywał 11:57

przed południem w sobotę, gdy wiek dwudziesty rozplynał się w nicości, by być zastąpionym przez jedenaste stulecie. Barney wciągnął głęboko powietrze i odetchnął z ulgą. Od tej chwili czas w epoce, którą opuścił, powinien się zatrzymać. Tak długo, jak tu pozostaną, by kręcić film, obojętne ile to potrwa, w Kalifornii nie upłynie ani jedna sekunda. Gdy wrócą z powrotem, z gotowym filmem, będzie sobotnie południe - niemal pełne dwa dni przed poniedziałkowym terminem. Po raz pierwszy od dłuższego czasu odprężył się. Potem jednak przypomniał sobie, że ma przed sobą kręcenie całego filmu, z wszystkimi związanymi z tym problemami i możliwymi nieszczęściami i

znów poczuł, jak jakiś wielki ciężar wali mu się na barki. Poczucie trwogi chwyciło go w kleszcze z nową mocą.

Kierowca traktora puścił silnik na pełne obroty. Piekielny hałas przewalił się nad głową Barneya, a smród spalin wypełnił czyste do tej pory powietrze. Barney usunął się z drogi, którą holowano przyczepę z łodzią motorową i rzucił okiem na łąkę. Ciężarówki i przyczepy poniewierały się wokół w beładzie. Kilka z nich ustawiło się w koło, jak tabor wozów pionierskich, gotowych do walki z Indianami. Wśród nich snuło się kilka sylwetek ludzkich.

Większość spała jednak nadal w najlepsze. Barney marzył o tym, by być jednym ze zwykłych członków ekipy, wiedział jednak, że nie uśnie, choćby nawet bardzo się o to starał. Równie dobrze mógł zatem rozejrzeć się za jakimś zajęciem. Podszedł do Texa i Dallasa, którzy roz-siedli się na wyciągniętych z jeepa i ustawionych na trawie siedzeniach.

- Łap! - krzyknął w kierunku Dallasa i rzucił mu ćwierćdolarową monetę. Dallas chwycił ją w powietrzu. - Losujcie. Potrzebuję jednego z was, by poszedł ze mną odszukać Jensa Lynna. Drugi może spać dalej.

- Orzeł - ty idziesz - powiedział Dallas, a w chwilę potem zaklął szpetnie na widok oblicza George'a Washingtona. Tex zarechotał z satysfakcją i ułożył się wygodniej na siedzeniu.

- Wie pan - stwierdził w chwilę potem Dallas, gdy zjeżdżali na dół, w kierunku plaży. -

Nie mam nawet bladego pojęcia, gdzie się znajdujemy.

- Na Orkneyach - Barney pogrążył się w kontemplacji mew, które wzbijały się w powietrze tuż przed nimi i obrzucały ich skrzekliwymi wyzwiskami.

- Zawsze byłem słaby z geografii.

- To taki mały archipelag na północ od Szkocji, mniej więcej na szerokości geograficznej Sztokholmu.

- Na północ od Szkocji?! A niech to szlag trafi! Mój oddział stacjonował w Szkocji w czasie wojny. Słońce widziałem tam tylko raz. Przez dziurę w chmurach. Było tam wystarczająco zimno, by zamrozić...

- Zgoda, ale to było w dwudziestym wieku. Teraz jesteśmy w jedenastym, w środku czegoś, co się nazywa małym optimum klimatycznym. Tak przynajmniej określa to profesor i jeśli chcesz wiedzieć coś więcej, zapytaj go o to. Klimat wtedy był - czy raczej jest - cieplejszy, na tym właśnie polega różnica.

- Trudno w to uwierzyć - warknął Dallas, patrząc podejrzliwie na słońce, tak jakby oczekiwał, że za chwilę zniknie ono na dobre. Dom wyglądał dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy ujrzeli go po raz pierwszy. Jeden ze służących siedział na progu i ostrzył nóż. Gdy podjechali bliżej, spojrzął na nich z przerażeniem, odrzucił na bok osetkę i wbiegł do środka. W

chwile później ukazał się Ottar. Wylał usta wierzchem dłoni i gdy tylko jeep się zatrzymał, wykrzyknął:

- Witajcie! Miło mi widzieć was z powrotem. Gdzie „Jack Daniels”?

- Lekcje angielskiego najwyraźniej zrobiły swoje - stwierdził Dallas - ale nie miały chyba najmniejszego wpływu na jego pragnienie.

- Mamy kupę picia - zapewnił go Barney - ale najpierw chciałbym pomówić z doktorem Lynnem.

- Jest gdzieś w obejściu - odparł Ottar, po czym podniósł głos do ryku. - Jens - kom hingat.

Jens wyczłapał ospale zza węgła domu, dźwigając prymitywne, drewniane wiadro. Był

boso, a gruba warstwa błota oblepiała go po pas. Okryty był nieokreślonego gatunku worko-watym przyodziewkiem, niezwykle obszarpanym i przewiązany w pasie kawałkiem skózanego rzemienia. Jego broda i spadające na ramiona włosy robiły niemal takie samo wrażenie, jak fryzura Ottara. Kiedy ujrzał jeepa stanął jak wryty. Jego oczy rozjarzyły się złym blaskiem, z ust wyrwał się dziki okrzyk i Jens, wymachując nad głową wiadrem, rzucił się w ich kierunku. Dallas wyskoczył z wozu i wybiegł mu naprzeciw.

- Spokojnie, doktorze - krzyknął - niech pan rzuci ten ceber zanim stanie się komuś krzywda.

Słowa, a może gotowa do boju sylwetka kaskadera ostudziły nieco gniew Lynna. Zwolnił, a potem zatrzymał się, opuszczając wiadro.

- Co się z wami działo - zapytał głośno. - Gdzieście się podziewali.

- Przygotowania do produkcji, nic więcej - odparł Barney. - Minęły zaledwie dwa dni odkąd pana tu zostawiłem i aczkolwiek zdaje sobie sprawę, że dla pana były to dwa miesią-

ce...

- Dwa miesiące?! - ryknął Jens. - Minął ponad rok! Co to ma znaczyć?!

Barney wzruszył ramionami.

- Sądzę, że to błąd profesora. Ta cała aparatura, rozumie pan...

Jens Lynn zgrzytnął zębami tak, że mimo odległości, jaka ich dzieliła, wyraźnie to usłyszeli.

- Błąd... Pomyłka!... to wszystko co panu przychodzi do głowy, podczas gdy ja zostałem porzucony tutaj, w towarzystwie tych barbarzyńców, po których galopują wszy i musiałem się zajmować ich plugawym bydłem. Pięć minut po waszym odjeździe Ottar palnął mnie w łeb i zabrał wszystkie moje ubrania, sprzęty i całą whisky.

- Po co pracować za whisky, skoro wystarczy ją zabrać? - zapytał Ottar z uderzającą w swej

prostocie logiką.

- Co się stało, to się nie odstanie. Odsłużył pan tutaj rok, ale zapewniam, że nie straci pan na tym. Pański kontrakt jest ciągle w mocy i otrzyma pan pełne roczne wynagrodzenie.

To kawał grosza, jak za dwa dni pracy, a proszę zauważyć, że zapłacę panu również za cały rok urlopu naukowego. Poza tym wywiązał się pan ze swego zadania i jak widać, nauczył pan Ottara mówić po angielsku.

- Angielskiego nauczył go głód alkoholu, nie ja. Niemal przez miesiąc był pijany do obrzydliwości, a kiedy doszedł do siebie, przypomniał sobie o angielskim. Dzień w dzień w nadziei, że dostanie trochę whisky, o ile kiedykolwiek wrócicie, zmuszał mnie, bym go uczył.

- Ottar mówić bardzo dobrze, to prawda. Gdzie whisky?!

- Mamy jej pełno, Ottar, nie martw się - uspokoił go Barney i zwrócił się do Jensa.

Czarne myśli o procesach sądowych kłębiły mu się w głowie. - Co pan powie, doktorze, na taki układ: roczna płaca za naukę Ottara i zatrudnienie u nas do momentu zakończenia zdjęć?

Poza tym jestem pewien, że było to dla pana interesujące doświadczenie...

- Uuuch.

- I to jedna z takich, o jakich łatwo się nie zapomina. Idę o zakład, że opanował pan ładny kawał staronorweskiego.

- Znacznie więcej niż kiedykolwiek zamierzałem.

- A zatem uznajmy, że między nami kwita. Co pan na to?

Przez dłuższą chwilę Jens Lynn stał z zaciśniętymi pięściami, po czym cisnął wiadrem o ziemię i jednym kopnięciem roztrzaskał je w drobny mak.

- W porządku - rzekł wreszcie. - Nie powiem, bym miał wielki wybór. Ale nie będę pracował ani przez moment, dopóki nie zapewnicie mi prysznic, odwszalni i jakiegoś ubrania na zmianę.

- Ma się rozumieć, doktorze. Za kilka minut odwieziemy pana do obozu ekipy. Jesteśmy niedaleko stąd, tuż za wzgórzem.

- Pójdę sam, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - odparł Lynn i ciężkim krokiem poczłapał w stronę plaży.

- Whisky! - domagał się Ottar.

- Pracuj! - odpowiedział mu Barney. - Jeśli mamy ci płacić whisky - zarób na nią. Jutro zaczynamy kręcić i potrzebuję od ciebie kilku informacji.

- Oczywiście. Wejść do domu.

- Nigdy w życiu! Pamiętam dobrze, co spotkało poprzedniego gościa, który dał się na to namówić.

VIII

- Stój spokojnie! - wrzasnął Gino. - Całe twoje zadanie polega na tym, żebyś stał spokojnie. Nawet do tego nie jesteś zdolny!

- Muszę się napić - mruknął Ottar i z rozdrażnieniem potrząsnął kudłatym sługą, przydzielonym Slithey. Człeczyna wydał z siebie odgłos, przypominający beczenie owcy i niemal upadł.

Gino zaklął i odwrócił się do kamery.

- Barney! - jęknął błagalnie. - Przemów do tych przedpotopowych prostaków. To ma być scena miłosna, a oni zachowują się jak na zapasach w stylu wolnoamerykańskim. To naj-gorsi statyści, z jakimi kiedykolwiek pracowałem.

- Odpocznij chwilę, Gino. Będę u ciebie za minutę - odpowiedział Barney, zwracając się z powrotem do aktorów. Ruf, z długą jasną brodą, z założonymi na piersi rękami i w rynsztunku wojennym Wikinga wyglądał doprawdy imponująco. Slithey, siedząca na składanym foteliku z odchylną w tył głową, podczas gdy trefiono jej włosy, prezentowała się, wystawiając na pokaz około dwunastu stóp sześciennych jędrnego ciała, które dosłownie wystrzeliwało z głęboko wyciętego dekoltu sukni - chyba jeszcze lepiej.

- Wy tłumaczę ci to jeszcze raz - zaczął Barney. - Jesteś zakochana, a Ruf odpływa na wojnę. Być może nigdy go już nie ujrzysz. Musisz wymawiać słowa pożegnania, stąd, z tego miejsca, z głębokim uczuciem, namiętnie!

- Myślałam, że mam go nienawidzić!

- To było wczoraj! Tłumaczyłem ci to już dwa razy. Pozwól, że zrobię to pokrótce jeszcze raz. Czy mogę liczyć także na odrobinę pańskiej uwagi, Mr Hawk? Film zaczyna się, gdy Thor, którego gra Ruf, przybywa na czele korsarzy normañskich, by zdobyć dwór, w którym mieszkasz, Slithey. Ty jesteś Gudrid, córka pana tego domu. W czasie walki wszyscy domownicy, prócz ciebie, zostają zabici przez piratów. Ciebie Thor zabiera jako zdobycz wojenną. Pożąda cię, lecz opierasz mu się, bo go nienawidzisz. Lecz powoli zdobywa on twoje serce, zaczynasz być w nim zakochana. Staje się to jednak nie wcześniej niż przed jego kolejną wyprawą. Thor pozostawia cię czekającą na jego powrót. To jest właśnie ta scena!

Opuszcza cię! Biegiesz za nim, wołasz go! On się odwraca, a ty wbiegasz za nim na wzgórzu, właśnie tu! jasne?

- Spójrzcie - odezwał się Ruf, wskazując na morze. - Płynie tu jakiś okręt.

Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku i ich oczom ukazała się długa łódź Wikingów, mijająca właśnie cypel i kierująca się w stronę zatoki. Żagiel miała zwinięty, ale smoczy łeb na dziobie wznosił się i opadał w rytm miarowych uderzeń wiosł, pędzących statek po powierzchni morza.

- Jutro! - krzyknął Barney. - Lynn, gdzie pan jest? Przecież pan i Ottar umówiliście się z tym Finnboggi, że przyprorowadzi swój okręt jutro!

- Oni mają bardzo słabe poczucie czasu - odparł mu Lynn.

Barney cisnął kapeluszem o ziemię i rzucił się w kierunku kamery.

- Jak to wygląda, Gino? Da się to kręcić? Wydusisz coś z tego?

Gino obrócił głowicę wielkiego, teleskopowego obiektywu i przytknął oko do wizjera.

- Wygląda nieźle, całkiem dobre ujęcie.

- Kręć, może uda się coś z tego uratować.

Ottar, wraz z resztą Normanów popędził po zboczach pagórka w kierunku domostwa, nie zatrzymując się nawet na wołania Barneya domagającego się, by zeszli z planu.

- Co oni robią? - spytał, gdy poczęli szeregiem wybiegać z budynku, ściskając w rękach broń.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odpowiedział mu Lynn. - Prawdopodobnie to jakiś nieznan mi zwyczaj powitalny.

Ottar i jego ludzie stanęli na brzegu i wykrzykiwali coś w kierunku okrętu, którego załoga odpowiadała im w podobny sposób.

- Kręć to wszystko, Gino! - polecił Barney. - Jeśli wyjdzie coś dobrego, wstawimy to do scenariusza.

Gnana wiosłami łódź wbiła się w piaszczysty brzeg, a jej zakończony łbem smoka dziób zatrzymał się wysoko ponad głowami stojących na plaży wojowników Ottara. Nim łódź stanęła na dobre ludzie stojący na pokładzie chwycili zawieszony wzdłuż burt tarcze i wskoczyli do wody. Oni również, podobnie jak ich koledzy z wybrzeża, wymachiwali nad głowami bogatą kolekcją mieczy i toporów. W końcu obie grupy spotkały się.

- Jak to wygląda? - spytał Barney.

- Santa Maria! Oni się wymordują - odparł Gino.

Szczek żelaza zmieszał się z dzikimi wrzaskami walczących. Obserwującym zdarzenie ze szczytu wzgórza trudno było dostrzec szczegóły całego zamieszania - widzieli jedynie jednorodną masę walczących postaci - od chwili, gdy jeden z wojowników wyrwał się z tłumu i kulejąc, rzucił się do ucieczki wzdłuż brzegu. Był bez broni i najwyraźniej ranny. Tuż za nim gnał jego przeciwnik, wściekle wymachując toporem. Pogoń nie trwała długo, a jej koniec był gwałtowny. Gdy odległość między nimi zmalała wystarczająco, topór opadł i głowa uciekającego zeskoczyła z ramion i potoczyła się po piasku.

- Oni to robią na serio - skonstatował wstrząśnięty Barney.

- Nie wydaje mi się, by to był Finnboggi i jego ludźmi. Myślę, że to zupełnie inny okręt -

zauważył Lynn.

Barney był człowiekiem czynu, lecz przywykł raczej do innego typu działalności. Odgłosy bitwy, widok bezgłowego trupa i wsiąkającej w piasek krwi sparaliżowały go zupełnie.

Czego on tutaj szuka? To nie był jego świat ani też nie był to ten rodzaj wydarzeń, do którego przywykł. To raczej sytuacja w sam raz dla Texa i Dallasa. Gdzie oni są?

- Radio - zawołał, przypomniał sobie poniewczasie o nadajniku, który nosił na ramieniu. Włączył go i w najwyższym pośpiechu zaczął przywoływać kaskaderów.

- Dostrzegł nas, skręca - biegnie tutaj - wykrzykiwał Gino. - Co za wspaniałe ujęcie!

Zamiast powrócić w wir bitwy, zabójca potrząsając toporem i wrzeszcząc ochryple wspinał się po zboczu wzgórza. Garstka filmowców na szczycie przyglądała mu się w bezruchu. Cały ten świat był dla nich na tyle dziwny, że byli w stanie myśleć o sobie jedynie jako o widzach. Nie przychodziło im nawet do głowy, że mogą zostać czynnie zaangażowani w te krwawe wydarzenia, które rozgrywały się u ich stóp. Atakujący Wiking podchodził coraz bliżej. Widać już było ciemne plamy potu i wody morskiej na kaftanie z szorstkiego, czerwono-niebieskiego sukna i czerwone bryzgi krwi na toporze i ramieniu. Ciężko dysząc rzucił się w kierunku Gina, biorąc najprawdopodobniej kamerę za rodzaj nieznanej mu broni. Operator do ostatniej chwili nie opuścił posterunku, filmując rozwścieczonego napastnika - uskoczył dopiero w obliczu spadającej nań siekiery. Ostrze roztrzaskało jedną z nóg statywu i kamera niemal zwała się na ziemię.

- Hej ty tam! Uważaj na sprzęt! - wrzasnął Barney i... pożałował tego natychmiast, bowiem oszalały i ociekający potem Wiking pognął teraz w jego stronę.

Gino sprężył się do skoku. W jego ręku błysnęło ostrze noża, trzymanego w sposób świadczący o niemałej wprawie - niewątpliwie efekt praktyki, nabytej za młodu w neapoli-tańskich slumsach. W chwili, gdy okrzyk Barneya odwrócił uwagę Wikinga, Gino zadał cios.

Powinien on być dość celu, ale wzięwszy pod uwagę posturę, Wiking był zwinny jak żbik.

Uchylił się błyskawicznie i ostrze ześliznęło się, raniąc go tylko nieznacznie. Pod wpływem nagłego bólu Wiking zawył, lecz, jakby kończąc poprzedni unik, przerzucił topór tak, że jego rękojeść trafiła prosto w głowę Gina, który zwał się jak długi na ziemię. Pokrzykując gniewnie, wojownik chwycił go za włosy i przechylił mu głowę w dół, napinając obnażoną szyję; jednocześnie wznosił do góry topór, szykując się do zadania ciosu, który miał pozbawić Gina życia.

Czysty, wysoki odgłos wystrzału przeszył powietrze i ciałem Wikinga targnął nagły wstrząs. Kula trafiła go w pierś. Odwrócił się, jego otwarte usta wyrażały niemy ból; w tym momencie Tex - nikt nawet nie zdawał sobie sprawy z przybycia jeepa - wsparł rękę na kierownicy i dał jeszcze dwukrotnie ognia. Obie kule trafiły Wikinga w czoło. W chwili, gdy padał

na ziemię, był już martwy.

Gino strząsnął z siebie bezwładny ciężar martwego ciała, stanął na drżące nogi i niemal natychmiast ruszył w stronę kamery. Tex zapuścił motor jeepa. Reszta stała jak wryta, zbyt przerażona gwałtownością ataku, by uczynić najmniejszy ruch.

- Czy chce pan, bym zjechał na dół i pomógł trochę naszym statystom? - zapytał Tex, ładując rewolwer nowymi nabojami.

- Tak - odparł Barney. - Musimy powstrzymać ten bajzel, zanim zginie ktoś jeszcze!

- Nie mogę dać panu gwarancji, że coś takiego się nie zdarzy - po wydaniu tej złowie-szczej opinii Tex ruszył jeepem w dół wzgórza.

- Kamera stop! - krzyknął Barney do operatora. - Możemy wpakować do tego filmu wiele rzeczy - ale nie jeepa.

Tex prowadził samochód na pierwszym biegu, tak że do ryku silnika dołączyły się straszliwe dźwięki przeciążonej skrzyni biegów. W dodatku musiał zaklinować się klakson - wył

on bowiem bez przerwy. Dusząc z siebie pięć mil na godzinę nadciągał ku polu bitwy. Ottar i jego ludzie widywali jeepa wystarczająco często, by się do niego przyzwyczaić, lecz trudno byłoby powiedzieć to samo o napastnikach. Ujrzeni, że zbliża się do nich jakiś wyjący potwór i ze zrozumiałych względów woleli nie stawiać mu czoła. Rozpierzchli się na prawo i lewo.

Jednego z nich, poruszającego się najwyraźniej zbyt opieszale, powalił na ziemię Tex, biorąc poślizgiem zakręt tuż przy samym brzegu morza. Ottar i jego towarzysze zgromadzili się za jeepem i z furią natarli na idącego w rozsypkę przeciwnika. Napastnicy rzucili się do ucieczki na okręt, w pośpiechu chwytając za wiosła. W tym momencie potyczka powinna się skończyć i zapewne skończyłaby się, gdyby Texa nie opanowała gorączka walki. Zanim łódź ruszyła wstecz, rzucił się do kabiny jeepa, skąd wydobył zakończoną pętlą stalową linę, nawiniętą na ukryty pod przednim błotnikiem bęben. Tex zataczając nią nad głową coraz szersze kręgi zaczął wdrapywać się na maskę jeepa. W pewnej chwili puścił linę, wydając przy tym bojowy okrzyk, który wyraźnie zagłuszył inne wrzaski. Pętla wyskoczyła prościutko w górę i zgrabnie opadła na smoczej głowie, umieszczonej na wysokiej belce dziobowej. Tex szarpnął liną, by zacisnąć chwyt, po czym bez pośpiechu zeskoczył z maski i usadowił się za kierownicą.

Woda zapieniła się pod uderzeniami wiosel i okręt powoli, majestatycznie popłynął do tyłu.

Tex zapalił papierosa i pozwolił linie rozwijać się, dopóki nie napięła się ona między okrętem a jeepem. Jeden z Wikingów na pokładzie usiłował ją przerąbać, lecz poza zupełnym zniszczeniem ostrza swego topora, nic nie wskórał. Tex włączył wsteczny bieg. Lina wyprostowała się i napięła jak struna. Okręt zatrząsnął się na całej długości i stanął. Następnie powoli, acz nieubłaganie ruszył z powrotem w kierunku plaży. Na próżno coraz głębiej zanurzone wiosła rozbryzgiwały wodę. Wszystko było skończone. Pozostawało tylko brać jeńców.

Zapał, który piraci okazywali przy ataku na wybrzeże ulotnił się bez śladu. Broń wysunęła się im z

ręk. Tylko jeden z nich zachował nieco chęci do walki. Był to ten sam człowiek, który usiłował przecinać liny. Z toporem w jednej ręce i okrągłą tarczą w drugiej wyskoczył na brzeg i ruszył do ataku na jeepa. Tex odciągnął kurek rewolweru i czekał, lecz w tym momencie do walki wkroczył Ottar. Obaj wojownicy zaczęli krążyć wokół siebie na samym brzegu morza obrzucając się wyzwiskami. Z chwilą, gdy obaj wodzowie stanęli naprzeciw siebie, na wybrzeżu zamarł wszelki ruch. Tex ostrożnie zwolnił kurek i wsunął rewolwer z powrotem do kabury.

Podniecony bitwą Ottar ociekał potem i najwyraźniej usiłował wprowadzić się w stan szału bojowego. Rycząc i uderzając toporem o krawędź tarczy wbiegł w morze i zatrzymał się dopiero, gdy woda dosięgła mu pasa. Wódz najeźdźców stał o kilka jardów dalej, łypiąc spod przyłbicy żelaznego hełmu i miotając gardłowe przekleństwa. Ottar walił obuchem topora w tarczę, robiąc przy tym hałas przypominający odgłosy kuźni, po czym ruszył nagle do ataku i zatoczywszy siekierą szeroki łuk wymierzył cios prosto w głowę przeciwnika. Napastnik uniósł tarczę, chcąc sparować uderzenie, lecz siła ciosu była tak wielka, że powaliła go na kolana.

W ryku Ottara zadźwięczała nuta najwyższej radości. Uderzał toporem raz po raz, nie zwalniając tempa, z nieubłaganą regularnością dobrze wykwalifikowanego drwala. Drzazgi sypiące się z tarczy przeciwnika, zmieszane z rozbryzgami fal, chmurą okryły walczących. Na chwilę rytm ciosów ustał. Ottar uniósł broń wysoko w górę, po czym ze wszystkich sił spuścił

ją na hełm przeciwnika. Uniesiona tarcza nie mogła powstrzymać tego ciosu. Topór ześliznął

się z niej i prawie nie tracąc impetu, ugodził niżej, prosto w udo. Wiking zaskowyczał z bólu i starał się zadać Ottarowi cios z lewej strony. Ottar uchylił się z łatwością i zatrzymał na chwilę, by ocenić efekt uderzenia. Napastnik czynił wszystko, co mógł, by utrzymać się w pozycji stojącej. Cały ciężar ciała wsparł na zdrowej nodze - widać było, że druga, obficie krwawiąca, jest nieomal odcięta od ciała. Na widok tej radosnej sceny Ottar odrzucił od siebie tarczę oraz topór i wydał okrzyk zwycięstwa. Zraniony Wiking próbował go zaatakować, lecz Ottar umykał mu bez trudu, zaśmiewając się do łez z tych żalonych wysiłków. Wszyscy Normanowie na brzegu - i większość załogi łodzi - również kwitowali śmiechem bezsilną wściekłość ранego, który czołgał się za Ottarem, czyniąc coraz słabsze próby zwalenia z nóg tańczącego przeciwnika.

Ottar musiał uświadomić sobie, że ten rodzaj zabawy może skończyć się jedynie śmiercią wroga z upływu krwi, bowiem podbiegł do niego znienacka i ciosem w plecy powalił go twarzą w spienioną wodę. Nogą przydepnął uzbrojoną w topór rękę, oburącz ujął głowę Wikinga i zanurzył ją w piasku i mule morskim. Trzymał ją tak, nie zważając na gwałtowne skurcze, jakie wstrząsały ciałem ранego, aż ten wyzionął ducha - utopiony w kilku calach spienionej wody morskiej. Wszyscy, zarówno na plaży, jak i na statku powitali ten wyczyn gromkimi oklaskami.

Na wzgórzu panowała martwa cisza. Przerwał ją dopiero Ruf Hawk, który na chwiejnych nogach rzucił się na oślep do ucieczki. Barney dopiero teraz zauważył, że Gino stoi z powrotem przy kamerze.

- Nakręciłeś tę walkę? - spytał z niemiłą świadomością, że załamuje mu się głos.

- Wszyściusieńko - Gino poklepał kasetę. - Ale nie jestem pewien, czy z tej odległości udało mi się

uchwycić wszystkie szczegóły.

- To dobra wróżba - odparz Barney. - Zwijamy robotę na dzisiaj. Za chwilę skończy się światło, a poza tym nie wydaje mi się by po tym widowisku ktokolwiek z nas miał ochotę do pracy - skinął głową w kierunku plaży.

- Wcale mi to nie przeszkadza - odezwała się Slithey. - Przypomina mi to rzeźnię, w której pracował mój ojciec, gdy mieszkaliśmy w Chicago. Przynosiłam mu zawsze drugie śniadanie do roboty.

- Nie każdy miał takie szczęście. A zatem... jutro, punktualnie o siódmej trzydzieści rano. Zaczynamy od tego miejsca, w którym dziś przerwaliśmy - Barney spojrział w dół na tłumną, hałaśliwą scenę, jaka rozgrywała się u stóp zbocza.

Zabitych i rannych z obydwu stron ściągnięto na kupę, nieco powyżej granicy zasięgu fal, a zwycięzcy zajmowali się właśnie plądrowaniem statku, w pierwszej kolejności wyno-sząc piwo. Ottar przemawiał do trzymanej pod strażą grupki tych napastników, którym udało się ujść z życiem. Przechadzał się dumnie tam i z powrotem i coś do nich wykrzykiwał, akcentując niektóre sformułowania wymachiwaniem pięści. Cokolwiek powiedział, odniosło to skutek, bowiem zanim Barney dotarł do stóp wzgórza Normanowie, zarówno pokonani, jak i zwycięzcy, ruszyli żwawo w kierunku domostwa. Tylko jeden człowiek pozostał w tyle.

Ottar ciosem pięści w twarz powalił go na ziemię i dwóch pacholków odciągnęło go szybko gdzieś na stronę.

Barney dopadł Ottara w chwili, gdy ten usiłował po omacku odnaleźć swój topór, leżący gdzieś w morzu.

- Czy nie zechciałbyś mi powiedzieć, co to wszystko miało znaczyć?

- Widziałeś, jak go trafiłem w nogę? - Ottar jął wymachiwać odnalezionym właśnie toporem. - Trafiłem! Trach! Noga ucięta!

- Tak, to było świetnie zagrane. Widziałem wszystko. Moje serdecznie gratulacje - ale kto to był i co oni wszyscy wyprawiali?

- Nazywał się Torfi. Whisky? - To ostatnie słowo wyrwało się Ottarowi jako radosny okrzyk, skierowany do Texa, który rzucił właśnie na piach zrolowaną linę i wydobyl spod siedzenia jeepa pintową butelkę.

- Whisky - odpowiedział mu Tex. - Co prawda to nie twoja ulubiona marka, ale też robi swoje. Ma się po niej wyśmienity lewy sierpowy.

Ottar z lubością przewrócił oczami, po czym zamknął je mocno i począł osuszać przytkniętą do ust flaszkę.

- Boże, jak ja bym chciał tak umieć - jęknął Tex z zazdrością.

Barney odczekał aż Ottar z radosnym okrzykiem cisnął pustą butelkę do morza i zapytał:

- Ten Torfi. Jakie miałeś z nim problemy?

Skutki walki i spożycia whisky zwały się na Ottara jednocześnie. Opadł raptownie na kamienie i potrząsnął swą ogromną głową.

- Torfi, syn Valbranda - zaczął i czknął - syna Valthjofa, syna Orlyga przybył do Sviney... Torfi zabił ludzi Kroppa, dwunastu na raz. Dokonał też masakry Holesmenów i był

w Hellisfitarze wraz z Illugi Czarnym i Sturrim Godi, gdzie zabito osiemnastu ludzi mieszkających w jaskiniach. On także spalił Auduna, syna Smidkela w Bergen. - Przerwał i z głębokim namysłem uniósł głowę, w poczuciu, że przekazał informacje najwyższej wagi.

- No dobrze, ale co to wszystko oznacza? - Barney nie był w stanie ukryć osłupienia.

Ottar spojrział na niego z niesmakiem

- Smidkel ożenił się z Thoroddą, moją siostrą.

- Oczywiście! Jak mogłem o tym zapomnieć - przytaknął skwapliwie Barney. - I ten Torfi miał na pieńku z twoim szwagrem, a tym samym również z tobą. A wszystko skończyło się, kiedy przybył, by również tu zrobić małą rzeźnię. Co za obyczaj! A ci ludzie z nim? Co to za jedni?

Ottar wzruszył ramionami i wstał, opierając się mocno na przednim kole jeepa.

- Wikingowie, piraci. Chcą napaść na Anglię. Teraz nie lubią Torfięgo, ponieważ on przybył najpierw tu, zamiast napadać na Anglię. Teraz oni idą ze mną napaść na Anglię.

Popłyną moją długą łodzią - wskazał toporem na uwieńczony smoczą głową okręt i ryknął śmiechem.

- A ten człowiek, co nie chciał się do ciebie przyłączyć?

- Haki, brat Torfięgo. Ja zrobię z niego niewolnika. Sprzedam go z powrotem jego rodzinie.

- Ci faceci mają u mnie kredyt. Nie bawią się w puste gadki - mruknął Tex.

- Zgadzam się z tobą w zupełności - stwierdził Barney, patrząc w osłupieniu na Wikinga, który w tej chwili wydawał się być pod każdym względem wielki.

- Właż do jeepa, Ottar, odwieziemy cię do domu.

- Ottar prowadzić cipa - odkrzyknął entuzjastycznie Wiking. Wrzucił swój topór i tarczę do wozu, po czym przelazł przez zamknięte drzwi do szoferki.

- Nie za kierownicę - ostrzegł go Tex. - Na to masz jeszcze czas.

Wśród dóbr zrabowanych z łodzi znajdował się również tuzin baryłek piwa. Większość z nich, już odszpuntowana, stała przed wejściem do chaty, w której nabierała właśnie rozma-chu uczta wydana z okazji zwycięstwa. Wszystko zdawało się wskazywać, że do byłych najeźdźców nie żywiono najmniejszej urazy. Przemieszani ze zwycięzcami, na równi z nimi wychylali toast za toastem. Haki, który ze związanymi rękami i nogami miotał się pod ławą, wyglądał na jedyną osobę nie dzielącą powszechnej radości.

Zgiełk okrzyków powitalnych obwieścił pojawienie się Ottara, który natychmiast skierował swe kroki ku najbliższej baryłce, złożonymi dłońmi zaczerpnął z niej piwa i wypił je jednym haustem. Wrzawa nieco przycichła i Barney usłyszał warkot silnika samochodu. Od-wrócił się i zobaczył, że trzęsąc się na wyboistej plaży, nadjeżdża ku nim jeden z filmowych pickupów. Pojazd zatrzymał się gwałtownie, wzbijając spod kół fontannę piasku. Z szoferki wychylił się Dallas.

- Próbujemy skontaktować się z panem przez radio od dobrych dziesięciu minut.

Barney spojrział na swój aparat radiowy i zauważył, że nie jest włączony.

- Nic strasznego - odparł. - Wyłączyłem go przez pomyłkę.

- Za to w obozie dzieją się straszne rzeczy. Dlatego próbowaliśmy pana złapać.

- Co? Co masz na myśli?

- Rufa Hawka. Wracał do obozu szalenie podenerwowany i nie patrzył gdzie lezie. No i nadepnął na owcę wie pan, na jedną z tych brudnych, szarych, co wyglądają jak kamienie.

Przewrócił się i złamał nogę.

- Masz zamiar mi wmówić, że w... trzecim dniu zdjęć mój główny aktor leży ze złamaną nogą?!

Dallas spojrział mu, nie bez pewnej sympatii, prosto w oczy i wolno skinął głową.

IX

Wokół drzwi do przyczepy Rufa Hawka kłębił się tłum, przez który Barney musiał się przebijać niemal siłą.

- Rozejdźcie się - krzyczał. - Przepuście mnie! To nie cyrk!

Ruf leżał w łóżku, wciąż w stroju Wikinga. Twarz miał szarą, pokrytą kropelkami potu.

Jego prawa noga była owinięta ongiś białym, teraz zaczerwienionym od sączącej się krwi bandażem. U wezłowania łóżka stała pielęgniarka. Tchnęło od niej nieskazitelną czystością i kompetencją.

- Jak się czuje? Czy to poważne? - spytał Barney.

- Niemal tak poważne, jak to tylko może być w przypadku złamania nogi - odparła pielęgniarka. - Mr Hawk ma otwarte złamanie goleni, to znaczy kość pękła poniżej kolana, a jeden z odłamków przebił tkankę skórną.

Ruf zamknął oczy i jęknął teatralnie.

- To nie brzmi groźnie - rozpaczliwie zaprotestował Barney. - Nastawi pani kość i dojdzie do siebie raz dwa.

- Panie Hendrickson - głos pielęgniarki był - zimny jak lód. - Nie jestem lekarką i z tego też powodu nie ja ustalam przebieg kuracji pacjentów. Udzieliłam pierwszej pomocy - założy-

łam sterylny bandaż na ranę, by zapobiec zakażeniu i dałam pacjentowi zastrzyk łagodzący ból. A teraz chciałabym się dowiedzieć, kiedy przybędzie lekarz.

- Lekarz, oczywiście, zajmie się tym lekarz. Jest tu moja sekretarka?

- Tak, panie Hendrickson - padła odpowiedź z hallu.

- Betty, weź pickupa, Tex cię podwiezie. Odszukaj profesora Hewetta i każ mu się zawieźć z powrotem do studio, tak by nie stracił na podróż ani jednej sekundy. On będzie wiedział co mam na myśli. Odszukaj naszego lekarza i sprowadź go tu jak najszybciej.

- Żadnego lekarza, zabierzcie mnie z powrotem... zabierzcie mnie z powrotem! -

zawołał Ruf i ponownie jęknął.

- Rób, co ci kazałem, Betty. Pośpiesz się - Barney odwrócił się do Rufa z szerokim uśmiechem na twarzy i poklepał aktora po ramieniu.

- A teraz przestań się zamartwiać, chociaż na chwilę. Nie pożałujemy kosztów i wszystkie osiągnięcia współczesnej medycyny będą na twoje usługi. Oni czynią dziś cuda! Metalowe trzpienie wmontowane w kość, sam wiesz... niedługo będziesz biegał nie gorzej niż dziś rano...

- Nie! Nie chcę grać w tym filmie. Ten wypadek kończy wszystko. Założę się, że jest tak w kontrakcie. Chcę wrócić do domu!

- Odpręż się, Ruf. Nie denerwuj się, odpocznij. Proszę, niech pani z nim zostanie.

Wszystko dobrze się skończy. - Lecz te słowa wypadły równie blado, jak jego uśmiech.

Pickup wrócił przed upływem trzech minut. Do przyczepy wszedł lekarz, w towarzystwie objuczonego dwiema walizkami pielęgniarza.

- Nie życzę sobie tu nikogo poza pielęgniarką - zarządził.

Barney próbował protestować, lecz w końcu wzruszył ramionami. Ostatecznie nic nie mógł w tej chwili zrobić. Wszedł i natknął się na profesora Hewetta, dłubiącego właśnie we wnętrznościach Vremiatronu.

- Niech pan tego nie rozłącza. Chciałbym, żeby platforma na wszelki wypadek była do użytku dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Poprawiam tylko przewody. Znaczna część obwodów nie była dokładnie przetestowana, wie pan, ten pośpiech. Obawiam się, że po pewnym czasie mogą nie być w pełni sprawne.

- Ile trwała ostatnia podróż? To znaczy, która godzina była tam, kiedy pan wracał.

Hewett popatrzył na tarcze zegarka.

- Z dokładnością do kilku mikrosekund... teraz jest tam godzina 14, 35 minut i 52 sekundy....

- To znaczy jest po pół do trzeciej po południu! Jak to się stało, że minęło tyle czasu?

- To nie moja wina, zapewniam pana. Czekałem z platformą na powrót ciężarówki - i zjadłem wyjątkowo parszywy lunch z automatu. Jak rozumiem, lekarza nie było na miejscu i musieli go szukać, trzeba też było odnaleźć niezbędną aparaturę medyczną, no i zanim wró-

cili...

Barney potarł dołek, w którym, jak czuł, uformowała się lodowata bryła wielkości kuli armatniej.

- Film musi być ukończony do poniedziałku rano, a teraz jest sobota po południu. Jak dotąd nakręciliśmy trzy minuty nadającego się do wykorzystania materiału, a mój gwiazdor leży ze złamaną nogą. Czas! Nie mieścimy się w czasie! - Spojrzał dziwnie na profesora. -

Czas? Dlaczego by nie? Możemy mieć do dyspozycji cały czas - jeśli tylko zechcemy, nieprawdaż? Jest pan przecież w stanie znaleźć spokojne miejsce, w rodzaju tego, w które wysłał

pan Charleya Changa. To samo można zrobić z Rufem. Tam się wykuruje!

Zanim profesor Hewett zdążył odpowiedzieć, najwyraźniej czymś podekscytowany Barney ruszył kłusem przez obóz i wpadł do przyczepy Rufa nie zadając sobie nawet trudu, by zapukać. Noga aktora obłożona była łupkami aż po biodro. Lekarz, który właśnie mierzył

choremu puls, spojrzał na niego surowo.

- Drzwi były zamknięte nie bez przyczyny.

- Dobrze to wiem i widzę, że nikt przez nie nie wchodził. Przepiękna robota - dodał

patrzając na Rufa. - Ale... czy pozwoli pan zapytać jak długo to potrwa?

- Dopóki nie zabiorę go do szpitala...

- To znakomicie! Niezwykle szybko!

- ...gdzie zdejmę tymczasowe łupki i założę gips. Wtedy potrwa to co najmniej dwana-

ście tygodni. To absolutne minimum. A potem pacjent będzie musiał chodzić o kulach nie krócej niż miesiąc.

- Tak, nie wygląda to źle - w istocie rzeczy brzmi to zachęcająco, nawet bardzo zachę-

cająco. Chciałbym, aby pan dobrze się opiekował tym pacjentem, troszczył się o niego, jak o własne dziecko, a jednocześnie spędził w tym czasie wakacje. Wyszukamy cudowne, spokojne miejsce, w którym obaj będziecie mogli odpocząć.

- Nie bardzo rozumiem o czym pan mówi, ale to, co wydaje się pan sugerować nie wchodzi w rachubę. Mam praktykę i najprawdopodobniej nie mógłbym sobie pozwolić na dwunastotygodniową przerwę, ba! - nawet na dwudziestoczwierogodziną. Mam bardzo ważne spotkanie dziś wieczorem i muszę natychmiast wracać. Pańska sekretarka zapewniła mnie, że będę w domu o czasie.

- Bezwzględnie - odparł Barney ze spokojną pewnością siebie. - Na dzisiejsze spotkanie przybędzie pan punktualnie, a w poniedziałek uda się pan do pracy. W dodatku spędzi pan wakacje - całkowicie na nasz koszt. Poza tym zapłacimy panu trzymiesięczne honorarium.

Czyż nie brzmi to wspaniale? Powiem panu w jaki sposób to nastąpi...

- Nie!!! - zaskrzeczał ze swego łóżka Ruf. Zdołał się w nim nawet unieść na tyle, by móc słabo potrząsać pięścią. - Wiem, co próbujesz zrobić, lecz moja odpowiedź brzmi: nie!

Skończyłem z tym filmem. Widziałem, co się stało na plaży i nie chcę brać w tym więcej udziału.

- Ale, Ruf...

- Nie próbuj mnie zagadać, Barney, nie przekonasz mnie. Mam kłopoty z nogą i kończę z tym filmem, zresztą nawet gdyby nie ta noga, to między nami wszystko i tak byłoby skoń-

zione. Nie zmusisz mnie do grania.

Barney otworzył usta - miał na końcu języka bardzo trafną uwagę, świetnie określając walory Rufa jako aktora - lecz w nagłym przyływie niezwyklej u niego samokontroli, zamknął je z powrotem.

- Dobra, porozmawiamy o tym rano, jak się dobrze wypisz - wymamrotał przez zaci-

śnięte zęby i wyszedł, by nie powiedzieć coś, czego później mógłby żałować.

Zatrzymał się przed przyczepą i zatrzasnął drzwi. Zdawał sobie sprawę, że tym gestem zatrzasnął również drzwi za filmem. A także za swoją karierą. Ruf nie zmieni zdania, to jasne.

Bardzo niewiele koncepcji było w stanie przedrzeć się przez zwały mięśni i kości do jego wątego mózdzku, ale te, które dotarły zakorzeniały się mocno. Nie był w stanie zmusić tego cierpiącego na przerost masy mięśniowej do kuracji na jakiejś prehistorycznej wyspie, a równało się to wyrokowi śmierci na film.

Barney potknął się i rozejrzał dokoła. Nie zdając sobie z tego sprawy przeszedł cały obóz i znalazł się niemal przy samym brzegu. Stał samotnie na małym pagórku, z którego rozciągał się widok na zatokę i okalającą ją plażę. Słońce wisiało nisko nad horyzontem i zanurzało się w głąb pasma chmur, rzucając zzań złote blaski. Odbijały się one w wodzie, łamiąc się i zmieniając w płynne ornamenty na grzbietach leniwie toczących się fal. Ten widok zawierał w sobie cały urok dzikiego, bezludnego świata. Barney nienawidził go - zniechęcił

wszystko, co go otaczało. Podniósł leżący u jego stóp odłamek skały i cisnął nim tak, jakby morze było taflą lustra, które chciał potłuc i zniszczyć. Naderwał tylko rękę, a kamień z grzechotem potoczył się po leżących na brzegu otoczkach nie dosięgając wody. Filmu nie będzie.

Barney zaklął głośno.

- Co to znaczy? - zabrzmiał za jego plecami głos Ottara.

Barney odwrócił się.

- To znaczy zjeżdżaj stąd, ty zarośnięty palancie!

Ottar wzruszył ramionami i wyciągnął wielką łapę, w której trzymał kurczowo dwie butelki „Jacka Danielsa”.

- Koło mojego domu wyglądałeś nie najlepiej. Napij się.

Barney otworzył usta i chciał powiedzieć coś wyjątkowo obraźliwego, ale zdał sobie sprawę z kim rozmawia i niespodziewanie dla samego siebie odparł. - Dziękuję - po czym przyjął otwartą butelkę. Poczł jak długi, bardzo długi łyk rozlewa się przyjemnym ciepłem po wnętrznościach.

- Przyszedłem po moją dniówkę. Jedna butelka. Ale Dallas mówił, że za swoje srebro on kupi Ottarowi drugą butelkę. Za dzisiejszy pojedynek. To wielki dzień!

- Tak, dziś jest wielki dzień! Daj butelkę. To zresztą dzień ostatni, ponieważ jest już po filmie. Koniec. Szlus. Kaput! Rozumiesz co to znaczy?

Po krótkim „nie” Ottara nastąpił długotrwały bulgot.

- Domyślam się, że nie rozumiesz, ty naiwny synu natury. I co najśmieszniejsze, zazdroszczę ci.

- Nie, to nie był Natura. To był mąż zwany Thord Końska Głowa. Mój ojciec.

- Doprawdy ci zazdroszczę, ponieważ twój świat jest prosty, bardzo prosty. Silna dłoń, wysmienity apetyt, nie gorsze pragnienie i nigdy nawet chwilowych wątpliwości. Tak, samo-zwątpienie to stan w jakim my żyjemy. Załóżę się, że nawet nie znasz takiego pojęcia.

- Samozwątpienie? To coś w rodzaju sjalfsmoro?

- Oczywiście, że nie rozumiesz.

Wiking zdążył już usiąść, więc Barney również usadowił się obok niego, by mieć ła-twiejszy dostęp do butelki. Słońce już zaszło, nad samym horyzontem niebo mieniło się intensywną czerwienią, która nad ich głowami przechodziła stopniowo w szarość, a z tyłu w głę-

boką czerni.

- Kręcimy film, Ottarze, to właśnie robimy. Takie ruchome obrazki. Rozrywka i wielki biznes stopione w jedno. Pieniądze i sztuka. One nie lubią mieszać się ze sobą, ale zmieszaliśmy je już lata temu. Wlazłem w ten interes, jak jeszcze nosiłem koszulę w zębach, a dziś, jako podstarzały czterdziestopięcioletni młodzieniec jestem na lodzie. Dlatego, że bez tego arcydzieła Climactic się skończy - a koniec Climactic to również mój koniec. A wiesz dlaczego?

- Napij się.

- Oczywiście. Powiem ci dlaczego. Dlatego, że w ciągu mojej długiej i burzliwej kariery nakręciłem siedemdziesiąt trzy filmy i każdy, każdy z nich został natychmiast zapomniany.

Jeśli opuszczę Climactic, będę skończony, bo wokół pełno jest lepszych reżyserów i producentów. Zabiorą mi każdą posadę, na jaką miałbym ochotę.

Ottar wyglądający niezwykle bohatersko i godnie, spojrzał orlim wzrokiem w stronę morza i czknął. Barney skinął na znak zgody i znowu się napił.

- Ottar, ty jesteś mądry. Powiem ci coś, czego nigdy wcześniej nikomu nie mówiłem.

Powiem ci, ponieważ upijam się twoim honorarium, a ty i tak nie zrozumiesz ani słowa z te-go, co chcę ci powiedzieć. Wiesz, kim ja jestem? Średniakiem. Czy wiesz, co to znaczy? Jeśli jesteś zupełnym pętakiem, szybko zdajesz sobie z tego sprawę - wypieprzają cię i idziesz pracować na stację benzynową. Jeśli jesteś geniuszem - wiesz o tym i to ci wystarczy. Ale jeśli jesteś przeciętny, nigdy nie będziesz o tym do końca przekonany. Czasami masz to sobie za złe, ale ciągle kręcisz jeden

film po drugim, aż dojdiesz do liczby siedemdziesięciu trzech kinematograficznych mówien. I nagle uświadamiasz sobie, że numeru siedemdziesiąt cztery nie będzie. Najśmieszniejsze jest to, że właśnie numer siedemdziesiąty czwarty mógł być dobrym filmem. Bóg jeden wie, że mógł być inny niż reszta. Film umiera, zanim zdąży się narodzić... biedny film na śmietniku kinematografii. Kłapa! Martwy film... nie ma filmu...

- Co to jest film?

- Powiem ci - to dzieło sztuki, rozrywka. Tak jak wasze - jak je tam nazywacie - sagi...

- Zaśpiewam pieśń z sagi. Dobrze śpiewam.

Ottar wstał, łyknął nieco dla odświeżenia gardła i zaśpiewał potężnym głosem, który mieszał się z szumem fal morskich.

Uderz, uderz mieczu!

Uderz w me serce które toczy czerw

Pomszczą mnie moi synowie o gniewnych obliczach.

Ś mierci obcy jest lę k. Głos Walkirii

Zaprasza nowych goś ci na ucztę do pałacu Odyna Ś mierć nadchodzi. Stoły zastawione są piwem.

Życie minę ło. Ś mieją c się umrę !

Ottar trwał chwilę w bezruchu, po czym ryknął jeszcze głośniejsz, z wściekłością:

- To pieśń, którą śpiewał Ragnar, gdy mordował go król Aella. Aella umarł. Chciałbym móc go zabić. - Potrząsnął pięścią w stronę ponurego nieba.

Barney zaczął mieć kłopoty ze wzrokiem, na szczęście zauważył, że po przymknięciu jednego oka widzi zupełnie nieźle. Zamajaczyła nad nim sylwetka Ottara - rozwichrzonej i odzianej w skóry pośród z zarania dziejów, oświetlonej ostatnimi, czerwonymi odblaskami zachodzącego słońca. Saga była dla Ottara czymś rzeczywistym, życie i sztuka stanowiły jedność. Pieśń była zarazem walką - walka stawała się pieśnią.

Ta myśl uderzyła Barneya z tak wstrząsającą nagłością, że na moment zabrakło mu tchu. Właściwie dlaczego by nie? Gdyby nie był na wpół ubzdryngolony, gdyby nie pił na brzegu przedhistorycznego morza, z człowiekiem, który nie żył od prawie tysiąca lat, nic podobnego nie przysłoby mu do głowy. Właściwie dlaczego by nie? Wszystko w tym fachu to jedno wielkie wariactwo, czemu zatem w tym szaleństwie nie postawić kropki nad „i”? Jest swobodny i ma władzę - a zresztą w każdym wypadku i tak już po nim. Czemu nie?

- Chodź ze mną! - wstał na równe nogi i próbował pociągnąć za sobą bezwładną postać Wikinga.

- Po co? - spytał Ottar.

- Obejrzeć film. - Wiking pozostał niewzruszony. - Po whisky!

Był to znacznie lepszy powód i razem poszli do obozu, przy czym Barney niemal wisiał na swym towarzyszu, który zdawał się tego w ogóle nie odczuwać.

- Materiały gotowe? - spytał Barney, wsadziwszy głowę do przyczepy mieszczącej laboratorium.

- Wychodzą z suszarki, Mr Hendrickson - odparł technik.

- W porządku. Rozwińcie ekran na zewnątrz. Przejrzemy je. Niech pan puści najpierw wcześniejsze kawałki, a na koniec da to, co nakręciliśmy dzisiaj.

- Whisky? - mruknął pytająco Ottar.

- Oczywiście... siądź tutaj. Zaraz przyniosę.

Barney musiał stawić teraz czoła szeregowi trudności. Przede wszystkim były pewne kłopoty ze znalezieniem właściwej drogi do własnej przyczepy, zaś pod nogami plątała się niezwykła liczba przedmiotów, o które trzeba się było potknąć. Na samym końcu pojawił się problem dopasowania właściwego klucza do odpowiedniego zamka. Gdy wracał, ekran był

już zmontowany. Przed nim stało kilka campingowych fotelików. Rozsiedli się w nich z Ottarem wygodnie, w towarzystwie nowej butelki. Zawarczał projektor i we wspianiałym, udeko-rowanym gwiazdzistym niebem kinie rozpoczął się film.

Początkowo Ottar miał trudności z jego odbiorem. Niewprawne oko nie było w stanie powiązać przesuwających się przed nim obrazów z rzeczywistością. Mimo wszystko jednak pojęcie sztuki przedstawiającej realia - zarówno trójwymiarowej rzeźby w drewnie, jak i dwu-wymiarowej - rysunku, nie było mu całkowicie obce, tak że rychło rozpoznał swój dom na plaży i głośno krzyknął z zachwytem.

Kolacja dobiegła już końca i większość ekipy przypatrywała się zdjęciom. Nawet ci, którzy nie byli naoczniymi świadkami wydarzeń, słyszeli o napadzie Wikingów. Ryk, jaki wydał z siebie Ottar, gdy na ekranie pojawiła się łódź napastników, uciął jak nożem szept i psykanie widowni. Scena sfilmowana została świetnie, obraz był ostry i czysty do tego stopnia, że trudno było spokojnie przyglądać się szczegółom walki. Nawet Barney, który przecież brał

w tym wszystkim udział, poczuł chłodne mrowienie w karku, gdy ubryzgany krwią Wiking szarżował po zboczu wzgórza wprost na kamerę - coraz to bliżej i bliżej.

W tym momencie Ottar wydał z siebie okrzyk wojenny i runął w kierunku ekranu.

Przebił go sobą na wylot i teraz tarzał się naokoło po ziemi, rwąc na strzępy jego płócienne i aluminiowe szczątki. Wszyscy wokół krzyczeli ile sił w placach. Wreszcie jeden z techników znalazł

gdzieś szczeniaka, włączył go i puścił snop jaskrawego światła na pole bitwy, gdzie Lynn usiłował uspokoić Wikinga. Na koniec jakieś pomocne dłonie wydobyły go spod resztek zrujnowanego ekranu.

W trakcie tych zdarzeń w obozowisku zamigotały światła reflektorów samochodowych i w minutę później w pobliżu zatrzymał się biały ambulans z napisem LOS ANGELES

COUNTY HOSPITAL

- Strasznie ciężko tu kogoś znaleźć - stwierdził kierowca. - Rzeczywiście wy, artyści, potraficie robić dekoracje. Nigdy bym nie pomyślał, że tyle tego może się zmieścić w jednym studio filmowym.

- Czego pan sobie życzy? - spytał Barney.

- Miałem telefon. Zabrać przypadek ze złamaną nogą. Gość nazywa się Hawk.

Barney rozejrzał się po milczącej widowni; wreszcie odnalazł wzrokiem swoją sekretarkę.

- Pokaż tym ludziom drogę do przyczepy Rufa, Betty. I przekaz mu moje najlepsze życzenia. Powiedz, że chciałbym, aby jak najszybciej doszedł do siebie, albo coś w tym guście...

Betty próbowała powiedzieć mu coś pocieszającego, ale głos uwiązł jej w gardle.

Odwróciła się szybko i z chusteczką przy oczach weszła do ambulansu. Cisza przedłużała się.

Wiele osób napotkawszy wzrok Barneya, odwracało się z zażenowaniem. Barney uśmiechnął się do siebie tajemniczo i klasnął w dłoń.

- Kontynuujemy pokaz. Zawieście drugi ekran. Obejrzymy resztę zdjęć.

Kiedy ostatni metr filmu przesunął się przez projektor, Barney stanął na wprost ekranu, ręką osłaniając oczy przed światłem.

- Nie widzę kto pozostał - Gino, jesteś tutaj? A ty, Amory?

Z tłumu dobiegły go potakiwania.

- W porządku, zaczynamy próbę ekranową. Dajcie tu paru techników z choinkami.

- Teraz jest noc, Mr Hendrickson - odezwał się z ciemności jakiś głos.

- Nie jestem ślepy. Zapłacę za nadgodziny, ale mam ochotę kręcić właśnie teraz. Jak zapewne wszyscy wiecie, bo plotki rozchodzą się z lotem błyskawicy w tym towarzystwie, Ruf Hawk złamał nogę i jest wyłączony ze zdjęć. Pozbawiło to nas gwiazdora. Mogłoby to brzmieć niewesoło, ale tak nie jest. Nie nakręciliśmy z nim znowu tak wiele. Możemy to wyciąć - potrzebujemy jednak nowego aktora. Mam zamiar przeprowadzić próbę z facetem, którego wszyscy dobrze znacie - z naszym miejscowym przyjacielem, Ottarem.

Odpowiedzią było kilka wstrząśniętych achnień, szepty i parę wybuchów śmiechu. Do uszu Barneya dotarły te ostatnie.

- Ja wydaję tutaj polecenia, ja tu rządę i ja życzę sobie tej próby. To tyle.

Przerwał, by zaczerpnąć powietrza i uzmysłowił sobie, że istotnie on tu rządzi, sprawuje władzę, i to taką, jakiej nie miał nigdy przedtem. O tysiąc lat od biura, bez żadnego kontaktu z dyrekcją. Bez żadnego L.M., który wtyka we wszystko nos i którego należy się bać. Cały ciężar spraw spoczął na jego barkach t y l k o na jego barkach. Przyszłość filmu zależała wyłącznie do tego, jak postąpi. Nie tylko zresztą filmu. Od tego, co uczyni zależał los firmy i wszystkich jej pracowników, nie wspominając już o nim samym. W normalnych warunkach taka sytuacja powodowała u niego nadkwasotę, bezsenność i wpędzała go w matnię niezdecydowania. Ale nie tym razem. W jego duszy utkwiło coś z filozofii życia Wikingów, świadomość, że człowiek rzuca samotne wyzwanie światu. Szczęściem jest, jeśli ma kogoś, kto chce mu pomóc, ale na pomoc nigdy nie wolno liczyć.

- Zaczynamy próbę natychmiast. Ottar wygląda wspaniale, co do tego nikt nie ma chyba wątpliwości. I jeśli tylko poprawi trochę akcent... to samo musieli zrobić Boyer i Von Stroheim, a popatrzenie do czego doszli. Teraz musimy sprawdzić, czy potrafi grać. Co najmniej tak, jak Ruf.

- Stawiam pięć do jednego, że będzie lepszy - krzyknął ktoś.

- Nie ma głupich - odpowiedziano mu i fala śmiechu przebiegła przez tłum.

Tak!... Oni byli po jego stronie. Barney to czuł. Najwyraźniej szaleństwo Wikingów udzieliło się wszystkim. Mniejsza zresztą o powody - stali po jego stronie!

Barney opadł z powrotem na fotel i sącząc whisky, wydał kilka poleceń. Pojawiły się reflektory i kamera. Dopiero gdy zakończono wszystkie przygotowania, wstał i sprzątnął butelkę sprzed nosa chwiejącego się Ottara.

- Oddaj - burknął Ottar.

- Za chwilę. Ale chciałbym, żebyś zaśpiewał mi jeszcze raz sagę o Ragnarze.

- Nie chcę śpiewać.

- Na pewno chcesz, Ottar. Opowiedziałem wszystkim jak piękna była to pieśń i teraz każdy chce usłyszeć, jak ją śpiewasz. Nieprawda, chłopcy?

Odpowiedział mu przyjazny chór potakiwań i brawa. Z mroku wypłynęła nagle Slithey i ujęła Ottara za rękę.

- Zrobisz to dla mnie, kochanie. To będzie moja piosenka - wyrecytowała rolę z jego poprzedniego

filmu o jakimś drugorzędym kompozytorze.

Ottar nie mógł się oprzeć jej urokowi osobistemu. Mamrocząc coś, ale wyraźnie nic wrogiego, stanął w miejscu wskazanym przez Barneya i ujął w dłoń makietę topora.

- Za lekki - stwierdził. - Zrobiony z drewna. Zupełnie niedobry.

Ale zaśpiewał. Z początku monotonnie, wciąż nieufnie obserwując topór, lecz w miarę jak pieśń zaczęła opanowywać jego zmysły, głośniej i z coraz większym entuzjazmem. Po ostatnich słowach wydał dziki okrzyk i z pasją cisnął toporem, który uderzył w jeden z reflektorów, omal go nie tłukąc. Na widowni rozległy się gromkie oklaski i krzyki, on zaś wielkimi krokami przechadzał się dumnie tam i z powrotem, najwyraźniej ucieszony tą reakcją.

- Wspaniale - pochwalił go Barney. - A teraz spróbujemy jeszcze jednego drobiazgu, zanim sobie pójdziesz. Widzisz tę lampę nakrytą hełmem i ubraną w płaszcz? Dobrze, to jest wartownik nieprzyjaciół. Zakradniesz się i zabijesz go, tak jakbyś to zrobił naprawdę.

- Po co?

- Po co? Ottar, cóż to za pytanie...? - Barney doskonale wiedział co to za pytanie. Było to jedno z pytań, na które bardzo trudno znaleźć odpowiedź. Dla zawodowego aktora problem

„Po co?” jest zupełnie prosty - w ten sposób zarabia się na życie. Ale dlaczego miałby to robić Ottar?

- Zapomnij o tym na chwilę. Chodź tu, siadaj, napij się i dla odmiany teraz ja opowiem ci sagę.

- Wy też macie sagi? Sagi są dobre.

W owej przedfilmowej i przedpiśmiennej epoce sagi były wszystkim - pieśnią i historią, książką i gazetą stopionymi w jedną całość. Barney wiedział o tym.

- Cieszę się - odrzekł i skierował kamerę na Ottara. - Bierz butelkę i słuchaj opowieści, opowieści o wielkim Wikingu, mężnym wojowniku, który nosił imię Ottar...

- Tak jak ja?

- Tak samo! Był on sławnym wojownikiem. Miał serdecznego przyjaciela, z którym pił

i który walczył z nim ramię w ramię. Byli najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Ale pewnego dnia w czasie bitwy wrogowie schwytali przyjaciela Ottara, związali go i uprowadzili. Lecz Ottar podążył za nimi i ukryty w pobliżu wrogiego obozu czekał aż zapadnie noc. Był spragniony po walce i napił się, ale stał spokojnie w ukryciu.

Na te słowa Ottar łyknął pośpiesznie z butelki i oparł się mocniej o bok przyczepy.

- Zapadły ciemności i nadszedł właściwy czas. Mógł uwolnić przyjaciela. „Powstań Ottarze!” - rzeki

do siebie. – „Powstań i uratuj druha, którego mają zabić o poranku. Powstań!”.

Ostatnie słowo Barney wyszeptał tonem polecenia i Ottar jednym zwinnym ruchem zerwał się na nogi, całkowicie zapominając o butelce.

- Rozejrzyj się, Ottarze, rozejrzyj się wokół domu. Widzisz strażnika? Tak, to on!

Ottar stał się w tym momencie integralną częścią opowieści. Schylił się nisko i powoli zlustrował narożnik. Cofnął się.

- To strażnik. Stoi odwrócony do ciebie plecami. Podczołgaj się, Ottarze i zabij go bezszelestnie swoimi dłońmi. Schwyć go za szyję tak, by umarł nie wydając dźwięku. Spokojnie... teraz... dopóki stoi tyłem.

Ottar wychynął zza przyczepy, zgiął się wpół i podpełzł bezgłośnie po zrytej koleinami ziemi - jak cień. Gdy sunął do przodu, nikt nawet nie drgnął ani nie uronił jednego słowa.

Barney rozejrzał się i spostrzegł, że jego sekretarka stoi tuż koło niego z oczyma utkwionymi w skradającego się Ottara.

- Ruszaj, Betty. Idź w stronę lewego wyjścia - chwycił ją za rękę i popchnął lekko do przodu.

- Ottar ukrył się pod zasłoną ciemności i czeka aż kobieta przejdzie obok. Kobieta mija go, ale go nie dostrzega. Odeszła. Ottar odczekał, aż ucichną jej kroki - znów rusza naprzód.

Jest coraz bliżej... Może zadać cios!

Gino odwrócił błyskawicznie kamerę w ślad za Wikingiem, który, w absolutnej ciszy, wyprostował się, skoczył i poszybował w powietrze wprost na manekin. Hełm potoczył się na bok, a stalowy korpus lampy tkwił wciąż między palcami Ottara, zgięty nieomal wpół.

- Stop - krzyknął Barney. - To właśnie była ta saga, Ottar. Tak jakbyś to zrobił na serio.

Zabiłeś strażnika i uwolniłeś przyjaciela. Świetnie, naprawdę doskonale. Pokażcie teraz wszyscy jak bardzo podobała wam się jego gra.

W odpowiedzi zabrzmiały oklaski i entuzjastyczne gwizdy. Ottar usiadł i zamrugał szybko powiekami. Powoli wracała mu świadomość miejsca, w którym przebywał. Spojrzał na wykrzywiony kawałek metalu, odrzucił go na bok i uśmiechnął się szeroko.

- To było dobra opowieść - rzekł. - Tak właśnie robi to Ottar.

- Pokażę ci jutro zdjęcia. Zobaczysz film o sobie samym. Jak robisz to wszystko. No -

ale to był długi dzień. Tex, Dallas! Nie wzięłyby któryś z was jeepa i nie odwiózł Ottara do domu?

Robiło się coraz ciemniej i zanim technicy uprzątnęli kamerę i reflektory, tłum zdążył

się już rozejść. Barney spoglądał w ślad za światłami jeepa, póki nie znikły one za wzniesieniem. Tuż obok niego stanął Gino z zapalonym papierosem w ustach. Barney wyciągnął z kieszeni swoją paczkę.

- Co o tym myślisz? - spytał.

- Nic nie myślę - Gino wzruszył ramionami. - Nie jestem do myślenia. Jestem operatorem.

- Każdy kamerzysta, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkałem, w głębi ducha wie, że jest lepszym reżyserem niż te wszystkie bubki, z jakimi zdarzyło mu się w życiu pracować.

- Dobra, skoro chcesz wiedzieć, a chcesz, to powiem ci, że ten facet jest o całe niebo lepszy od tego połcia mrożonej wołowiny, którego wywieźli stąd przed chwilą. Jeśli zdjęcia wyjdą tak, jak przypuszczam, to zdaje się, że dokonałeś odkrycia na miarę stulecia. Jedenastego stulecia rzecz jasna. Mam na myśli jego styl gry.

Barney odrzucił niedopałek.

- Takie jest również moje zdanie.

X

Deszcz bębnił o dach przyczepy tak głośno, że Barney musiał podnieść głos.

- Czy jest pan pewien, że on wie co podpisał? - zapytał, przyglądając się podejrzliwie postawionemu drżącą ręką krzyżkowi i odciskowi kciuka na dole stronicy, zawierającej kontrakt.

- Całkowicie - odparł Jens Lynn. - Przeczytałem mu zarówno oryginał angielski, jak i przekład staronorweski. Zgodził się na wszystko i podpisał w obecności świadków.

- Mam nadzieję, że nigdy nie wynajmie dobrego adwokata. Zgodnie z tym, on -

odtwórca głównej roli - będzie zarabiał mniej niż ktokolwiek inny z całej ekipy, wliczając w to faceta, który czyści sracz.

- Nie ma powodu do skarg. Sam zaproponował warunki płacy. Jedna butelka „Jacka Danielsa” na dzień i grzywna srebra miesięcznie.

- Ale tego srebra z ledwością starczy na zatkanie dziury w zębie.

- Nie wolno nam zapominać o względności porównań sytuacji gospodarczej w dwóch różnych światach - odrzekł Jens, najbardziej przekonywającym, akademickim tonem i wzniósł upominająco palec wskazujący. - Tutejsza ekonomika bazuje zasadniczo na handlu wymiennym, niewiele tylko płatności odbywa się przy użyciu pieniędzy. Z tego też względu grzywna srebra ma tu o wiele większą wartość i nie jest porównywalna z cenami tego kruszcu z epoki masowej produkcji. Wypada przyrzec się bliżej jej sile nabywczej. Za grzywnę srebra może pan kupić niewolnika, za dwie...

- Tak, tak! W pełni to zrozumiałem. Najważniejsze jest jednak to, czy zechce on tu tkwić aż do momentu zakończenia zdjęć?

Lynn wzruszył ramionami.

- Doskonała odpowiedź, nie ma co! - Barney potarł kciukiem bolące ciemię i spojrzał

przez okno na ołowiane niebo, z którego waliły strumienie deszczu. - Leje tak już od dwóch dni. Czy to się nigdy nie skończy?

- To było do przewidzenia. Niech pan pamięta, że chociaż z powodu Małego Optimum Klimatycznego tutejszy klimat jest cieplejszy niż w dwudziestym wieku to jednak znajdujemy się na północnym Atlantyku, w przybliżeniu na 59 stopniu szerokości geograficznej północnej i opady deszczu są...

- Niech pan sobie daruje ten wykład. Muszę mieć pewność, czy Ottar zgodzi się współ-

pracować z nami przez cały czas produkcji filmu - inaczej nie odważę się zacząć zdjęć. Może przecież odpłynąć na swojej nowej łodzi albo zrobić jeszcze coś innego, co leży w naturze

Wikingów. Nie wygląda mi na zadowolonego z życia farmera.

- Chwilowo przebywa na wygnaniu. Wszystko wskazuje na to, że nie w smak mu było nawrócenie się na takie chrześcijaństwo, jak je sobie wyobrażał król Olaf Tryggvesson i po przegranej walce opuścił Norwegię.

- A co on ma przeciwko przyjęciu wiary w Chrystusa?

- Olaf chciał go najpierw poddać sądowi bożemu, zwanemu Próbą Węża. Polegał on na tym, że ustnik luhorna - dużego mosiężnego rogu wojennego - wpychano siłą w gardło ofiary, a następnie wkładano do wnętrza rogu jadowitego węża. Całość zatykano, pieczętowano, po czym róg podgrzewano, zmuszając węża do szukania ucieczki, a jedyna jej droga wiodła w dół przewodu pokarmowego poddawane próbie poganina.

- Bardzo pociągające. No i co się zdarzyło, gdy już opuścił Norwegię?

- Skierował się w stronę Islandii, lecz okręt rozbił się w czasie sztormu. Jego samego i kilku z załogi morze w tym właśnie miejscu wyrzuciło na brzeg. Zdarzyło się to niedługo przed naszą pierwszą wizytą.

- Jeżeli to rozbitek, to do kogo należy dom, w którym mieszkają?

- Nie wiem. Ottar i jego ludzie zabili poprzedniego właściciela.

- Ciekawa metoda. Ale jedno jest, o ile się nie mylę, pocieszające. Zostanie on tu tak długo, jak będzie przez nas opłacany i w konsekwencji, nietrzeźwy.

Do przyczepy wpadł, niemal wepchnięty podmuchem wiatru, Amory Blestead. Wraz z nim do wnętrza wtargnął strumień deszczu. Amory z wysiłkiem wparł się w drzwi, by ponownie je zamknąć.

- Powieś swoje łachy na drzwiach, niech trochę obeschną - powiedział Barney. - W

dzbanku masz trochę gorącej kawy... Co z dekoracjami?

- Prawie skończone. - Amory posłodził kawę. - Wywaliliśmy tylną ścianę, żeby zrobić miejsce dla kamery i świateł, zabiliśmy to sklejką i podnieśliśmy strop o cztery stopy. Poszło znacznie łatwiej niż myślałem. Podwyższyliśmy legary i podciągnęliśmy cały interes pionowo w górę. Potem miejscowi wycięli z torfu cegły i dobudowali z nich brakujące fragmenty ścian. Ci faceci rzeczywiście znają się na robocie.

- I są bajecznie tani - dodał Barney. - Jak dotąd budżet jest jedyną rzeczą w tym filmie, która trzyma się kupy.

Przesunął ręką po kopii scenariusza, zakreślając niektóre partie tekstu czerwonym ołówkiem. - Czy moglibyśmy nakręcić teraz parę scen we wnętrzach?

- W każdej chwili.

- No to zakładamy kalosze. Co sądzisz o próbie, Amory?

- Absolutnie pierwsza klasa. Ten Wiking jest całkowicie naturalny, to pierwszorzędne odkrycie.

- Taa... - Barney rozgryzł koniuszek ołówka i wypluł go. - Miejmy nadzieję. Być może jest w stanie zagrać scenę czy dwie - ale jak nam się uda przez cały ten czas utrzymać go w ryzach? Miałem zamiar nakręcić na początek trochę prostego materiału w plenerze - wchodzi i schodzi z okrętu, stoi w bohaterskiej pozie na tle zachodzącego słońca i takie tam... ale przez tę pogodę szlag trafił cały pomysł. Będziemy kręcić we wnętrzach - i trzymaj za to kciuki.

Deszcz wdierał się do wnętrza szczelinami w plandecce jeepa, który ślizgając się po błotnistych koleinach wyżłobionych kołami innych pojazdów, wspinał się mozolnie na wzgó-

rze. Na polanie za domem Ottara stała grupa samochodów, nad którą górowała dudniąca głucho przyczepa-generator. Zatrzymali się przy chacie najbliżej jak to było możliwe i ruszyli dalej błotnistą ścieżką. Pod okapem kuliła się większość służby domowej - ociekająca wodą i wielce nieszczęśliwa. Wypędzono ich pod gołe niebo, by zapewnić dość miejsca dla filmowców. Przez półotwarte, tekturowe drzwi biegły do środka grube kable elektryczne. Barney wszedł.

- Dajcie tu trochę światła - zawołał, odrzucając przemoknięty na wylot płaszcz. - I usuńcie ten tłum z końca izby. Chcę obejrzeć te komory sypialne.

- Uważaj, żebyś się nie poplamił. Na tym starożytnym drewnie jeszcze nie wysechł werniks - odparł Amory, wskazując na dwuskrzydłowe drzwi w ścianie.

- Nie najgorzej - zaakceptował Barney.

- Fatalnie! - parsknął Jens Lynn. - Mówiłem, że w takich prostych domach mieszkańcy spali na specjalnej ławie, ustawionej wzdłuż ściany, takiej jak ta, a b y ć m o ż e mieli także małe, wbudowane w ścianę komórki, zaopatrzone w drzwiczki. Dlatego małe, by mogły zatrzymywać ciepło wydzielane przez organizm śpiącego. W tym właśnie celu je budowano.

Otworzył wysokie na pięć stóp odrzwia i odsłonił niewielki pokój, którego podłogę pokrywał piankowy materac obleczony w nylonowe prześcieradło.

- Ależ to... to jest wstrętne! Niczego takiego nie...

- Spokojnie, doktorze - Barney lustrował wnętrze komory sypialnej przez obiektyw kamery. - Kręcimy film - rozumie pan? Jak pan wsadzi kamerę i parę aktorów do czegoś w rodzaju trumny, bo coś takiego miał pan na myśli? W porządku - odsuńcie trochę tył.

Dwóch stolarzy przesunęło tylną ścianę, ukazując kamerę stojącą w niszy naprzeciwko.

- Właż tu, Gino - polecił Barney - a ja powtórzę o co chodzi w scenie. Klaps numer 54.

W samą porę, Ottar. Właśnie wchodzisz na plan.

Wiking wkroczył do środka, spowity w przeciwdeszczowy płaszcz z tworzywa sztucznego. Kroczący za nim charakterystyczny osłaniał go trzymany nad głową parasolem.

- Cześć, Barney! - zawołał. - Wyglądam dobrze, no nie?

Rzeczywiście nie wyglądał źle. Wymoczono go w kadzi - wodę trzeba było zmieniać trzykrotnie wymyło mu, wysuszono i utrefiono brodę oraz włosy. Ottar, odziany w strój Rufa przerobiony na miarę jego masywnej postaci, robił jak najlepsze wrażenie. Wiedział o tym i rozkoszował się tym.

- Jesteś wspaniały. Tak cudowny, że trzeba ci zrobić trochę zdjęć. Potem je obejrzysz.

Chcesz?

- Dobry pomysł. Bardzo dobrze wyglądam na filmie.

- W porządku. Teraz posłuchaj czego od ciebie chcę - Barney zamknął drzwi do komory sypialnej. - Będę w środku z kamerą. Stoisz w tym miejscu i otwierasz drzwi... o tak... a kiedy otworzysz je na oścież, spojrzysz na dół, na łóżko i uśmiechniesz się z wolna. To wszystko.

- Głupi pomysł. Sfotografuj mnie tutaj!

- Wysoko sobie cenię twoje rady, Ottar, ale myślę, że zrobimy to po mojemu. Pomijając wszystko inne, dostajesz przecież butelkę dziennie i grzywnę srebra na miesiąc. Musisz na nie zapracować.

- Słusznie - jedną butelkę każdego dnia. Gdzie jest dzisiejsza?

- Po pracy! Nawet nie zaczęliśmy. Stań tu, a ja biorę się za kamerę. - Ściągnął przez głowę pelerynę i poszedł w stronę niszy.

Po szeregu wykrzykiwanych głośno poleceń i kilku próbach wyglądało na to, że Ottar zrozumiał wreszcie, czego od niego chcą. Po raz kolejny zamknięto drzwi i Barney kazał zacząć od nowa. Kamera nacelowana na ciemną plamę łoża zaszumiła cicho i w tym momencie drzwi wyleciały, pchnięte z nadludzką siłą. Jedna z oderwanych klamek pozostała w dłoni Ottara.

- Niech to piekło pochłonie! - warknął i cisnął klamkę na ziemię.

Barney westchnął głęboko.

- Powinieneś zagrać tę scenę nieco inaczej. Wczuj się w rolę. Przybywasz do domu nie-spodzianie. Jesteś zmęczony. Otwierasz drzwi, by położyć się i wypocząć. Spoglądasz w dół i dostrzegasz, że na łóżku śpi Gudrid. Wtedy uśmiechasz się do niej.

- Na tej wyspie nie ma żadnej Gudrid.

- Gudrid to filmowe imię Slithey. Wiesz kto to jest Slithey?

- Jasne. Ale jej tu nie ma. Wszystko to jest głupota. Tyle ci powiem, Barney.

Barney pracował z tępymi i złymi aktorami od wielu lat, udało mu się więc utrzymać nerwy na wodzy.

- Poczekaj chwilę, spróbujemy jeszcze raz - odparł.

Dały się słyszeć odgłosy krzątania, gderliwe utyskiwania - w końcu jednak drzwi otworzyły się (tym razem znacznie łagodniej) i wyszedł zza nich Ottar. Łypnął ponuro w kamerę, po czym spojrzał niżej, w stronę łóżka i... wyraz jego twarzy stopniowo złagodniał.

Zmarszczone czoło wypogodziło się, oczy rozszerzyły, a w kącikach ust zaigrał radosny uśmiech. Wszedł.

- Stop! Doskonale - Barney był szybszy od Ottara i pierwszy chwycił leżącą na łóżku butelkę „Jacka Danielsa”. - Zachowam to dla ciebie na później. Auuu...!

Wiking chwycił go za przegub i Barney dowiedział się, co to znaczy włożyć rękę pod prasę hydrauliczną. Butelka wysunęła się ze zdrtwiałych palców. Rozcierając zmiażdżony nadgarstek zaczął się zastanawiać czy rzeczywiście dokonał właściwego wyboru odtwórców głównych ról w tym filmie.

Pojawiła się Slithey i gdy zdjęto z niej kalosze, pelerynę oraz kilka jardów innych syntetycznych tkanin, stanęła boso w różowym, przezroczystym negliżu i zatrzęsała się z zimna.

- Zimno mi - oznajmiła.

- Włączcie piecyk, razem z tymi lampami pod łóżkiem - rozkazał Barney. - Grasz ujęcie nr 43, Slithey, nakładasz płaszcz i zamykasz drzwi. Tu jest dostatecznie ciepło.

- Nie chcę złapać zapalenia oskrzeli.

- Z twoimi... płucami nie masz na to szans.

Scena była krótka, zaledwie kilka sekund na ekranie, lecz przy kręceniu filmu wszystko wymaga czasu - dość, że zanim skończyli, Ottar zdążył opróżnić butelkę do połowy i teraz, siedząc w kącie, podśpiewywał sobie radośnie.

- Teraz my, ujęcie 55, wchodzisz Ottar! Byłbyś może łaskaw odstawić na chwilę swoją pensję! - zawołał Barney.

Ottar, którego whisky znacznie uspokoiła, wkroczył na plan i spojrzał na Slithey, przykrytą kocem używanym przez Wikingów z plemienia Navaho i spoczywającą w apetycznej pozie na przeraźliwej wielkości łożu.

- Ona ma być zmęczona? - zapytał. - Za dużo światła, by spać.

- Bardzo sprytnie to zauważyłeś, ale wciąż jeszcze kręcimy film. Słuchaj teraz czego od ciebie chcę.
- Barney stanął u wezłowania łóżka. - Właśnie otworzyłeś drzwi, spoglądasz na uśpioną dziewczynę. Powoli, bardzo powoli opuszczasz dłoń i dotykasz jej włosów. Ona budzi się, odsuwa z przestrachem, kuli się. Uśmiechasz się, siadasz na brzegu łoża, przyciągasz ją do siebie i całujesz. Na początku broni się, odpycha cię od siebie, lecz wnet nienawiść przeradza się w uczucie. Jej ręce oplatają cię w uścisku. Zwraca ci pocałunek. Twoja ręka zmierza z wolna do ramiączka jej koszuli - zapamiętaj dokładnie którego, reszta trzyma się tylko na klej - bez pośpiechu zdejmujesz je z jej ramienia. To wszystko. W tym momencie kończymy, pozostawiając resztę wyobraźni widzów, a ci wyobraźnie mają niemałą. No to ruszamy.

Była to niewiarygodnie ciężka harówka. Ottar najwyraźniej nie był tym wszystkim zainteresowany; wodził tylko okiem za butelką, aby upewnić się, że nikt jej nie rusza. Barney oblewał się potem, usiłując wykrzesać z niego choć iskierkę zapachu. Wreszcie umieszczono butelkę w rogu łóżka, poza zasięgiem kamery, co dało taki efekt, że Ottar przynajmniej patrzył we właściwym kierunku.

- Zaczynamy - polecił Barney. - Będziemy to kręcić bez dźwięku. Poprowadzę cię.

Wszyscy inni też niech siedzą cicho. Kamera! Ottar, wchodzisz, spoglądasz w dół... tutaj, a nie na tę cholerną butelkę!... sięgasz i dotykasz jej włosów. Slithey budzi się... dobrze! idzie ci zupełnie dobrze!... Teraz siadasz... Nie demoluj łóżka! Doskonale!... Teraz nachylasz się...

tak... całujecie się...

Palce Ottara zacisnęły się wokół nagiego ramienia Slithey. W tym momencie Wiking zapomniał całkowicie o butelce. Jego plecy wyprężyły się gwałtownie. Magia hormonów Slithey działała w stuleciu XI równie niezawodnie jak w wieku XX. Zapach zlanego wonnościami kobiecego ciała przepełnił nozdrza Ottara. Teraz już nie potrzebował Barneya, by przycią-

gnąć ją do siebie.

- Znakomicie - wykrzyknął Barney. - Namiętny uścisk i pocałunek; Slithey, pomieć że go nienawidzisz!

Slithey wiała się w uścisku, bijąc zaciśniętymi piąstkami po potężnym karku Wikinga.

Ze słowami „ostrożnie jaskiniowcu” spokojnie odwróciła głowę i w tym momencie otrzymała kolejny pocałunek.

- Wspaniale - krzyknął Barney. - Jeszcze jedna taka szamotanina Slithey! Doskonale!

Kładź ją na łóżko Ottar, siłą! Teraz ramiączko!

Dał się słyszeć ostry dźwięk rozdieranej tkaniny.

- Hej, ty, uważaj co robisz - wrzasnęła Slithey.

- Daj spokój - był to głos Barneya. - Dostaniesz nową butelkę Ottar, cudownie! Teraz zachodzi w

tobie przemiana, Slithey. Nienawiść przemienia się w płomienną namiętność...

Bardzo dobrze.

- Zobacz, co on robi - powiedział Amory Blestead.

- Stop! To było dobre. Nadaje się. Stop, powiedziałem... Ottar zabierz te łapy... Slithey!... scena skończona!

- Ajajajaj - z entuzjazmem wykrzyknął jeden z monterów. - Niech ich ktoś zatrzyma!

- Dlaczego? Wyglądają na zadowolonych. Ja zresztą też.

Odgłos rozpruwanego materiału zmieszał się ze szczęśliwym chichotem Slithey.

- Wystarczy - ostro krzyknął Barney. - Tylko ramiączko!... Obawiam się, że sprawy zaszły zbyt daleko. Ottar!!! Tylko nie t o!!!

- Johoho! - zapiszczał ktoś, a potem zapadła długa cisza, przerywana jedynie dyszeniem Ottara, podobnym do sapania lokomotywy.

W końcu Barney przełamał atmosferę napiętej uwagi wychodząc i z trzaskiem zamykając za sobą drzwi. Z drugiej strony ciągle dobiegały wysokie, radosne pokrzykiwania. Odwró-

cił się i ujrzał Gina uwijającego się przy kamerze.

- Co ty robisz? Stop! - wrzasnął.

- Tak, stop, oczywiście - odparł Gino prostując się z wolna.

- Nie słyszałeś, że kazałem ci przerwać?

- Przerwać? Nie, musiałem być myślami zupełnie gdzie indziej.

- To znaczy... to znaczy, że kamera działała przez ten cały czas?

- Calusieńki - odrzekł Gino z szerokim uśmiechem. - I myślę, że zrobił pan rzeczywi-

ście coś nowego w cinéma verité, panie Hendrickson.

Barney obrzucił wzrokiem zamknięte drzwi i wygrzebał z kieszeni papierosa.

- Można to tak nazwać, jakkolwiek nie sądzę, bym mógł pokazać pełną wersję gdziekolwiek poza Skandynawią.

- Dr Masters chętnie to wykorzysta.

- Znam faceta w Beverly Hills - dorzucił Amory. - Wypożycza filmy dla samotnych mężczyzn.

Chętnie kupi kopię.

Radosny śmiech, który echem odbił się od zamkniętych drzwi, skwitowano po drugiej stronie chwilą ciszy.

- I pomyśleć, że on ma na dodatek flaszkę whisky - zauważył melancholijnie jeden z cieśli.

XI

- Jedyne co mi naprawdę w tym jedenastym wieku odpowiada, to frutti di mare - oznajmił Barney, nabijając na widelec solidny kawał mięsa. - Jaka może być tego przyczyna, profesorze? Brak zanieczyszczeń, czy co?

- Wynika to prawdopodobnie stąd, że to, co pan je, wcale nie jest krabem z jedenastego stulecia.

- Niech mi pan tego nie wmawia. Dobrze wiem, że to nie żadna mrożonka. Proszę spojrzeć, chmury rzędna. Gdyby pogoda się utrzymała, moglibyśmy nakręcić dzisiaj resztę sceny przybycia do domu.

Przednia część mieszczącej stołówkę namiotu była podniesiona, odsłaniając widok na łąki i fragment oceanu za nimi. Profesor Hewett wskazał nań palcem.

- Ryby w tym oto oceanie są, praktycznie rzecz biorąc, identyczne z dwudziestowiecznymi. Ale trylobity na pańskim talerzu należą już do zupełnie innego rzędu i ery - weekendowicze przywożą je ze Starej Kataliny.

- A więc dlatego wszędzie walają się te podziurawione skrzynki - Barney spojrzał podejrzliwie na mięso, spoczywające na jego talerzu. - Momencik, to co jem nie ma chyba nic wspólnego z tymi „ślepiami i kłami” Charleya Changa, nieprawdaż?

- Nie - odparł profesor. - Musi pan pamiętać, że zmieniliśmy erę, kiedy zdecydowano, że pracownicy będą spędzać urlop w innym czasie, by móc pracować nieprzerwanie tutaj.

Santa Catalina jest cudownym miejscem wypoczynkowym. Pan Chang sprawdził to, ale był

niewiele wytracony z równowagi przez przedstawicieli ówczesnej fauny. To było niedopatrzenie.

Zostawiłem go w erze dewońskiej, okresie, w którym płazy zaczęły wychodzić z morza; zupełnie nieszkodliwa stworzonka, coś w rodzaju ryb zaopatrzonych w płuca. Ale w wodzie były jakieś...

- Ślepie i kły. Słyszeliśmy.

- Zdecydowałem zatem, że kambry byłyby dla naszych wczasowiczów wyborem rozumniejszym. W oceanie poza tymi nieszkodliwymi trylobitami nie ma nic na tyle wielkiego, by mogło to niepokoić kupujących.

- Użył pan tego słowa ponownie. Co to jest?

- Wymarłe stawonogi. Forma życia, którą można określić jako coś pośredniego pomię-

dzy skorupiakami a pajęczakami. Niektóre ich odmiany były całkiem małe, ale pan je jedną z największych. Rodzaj mierzącej dwie stopy długości i żyjącej w morzu stonogi.

Barney wypuścił z dłoni widelec i pociągnął solidny łyk kawy.

- Wyśmienity lunch - mruknął. - Może jednak byłby pan łaskaw powiedzieć mi coś o tych osadach w Winlandzie. Znaleźliście je?

- Niestety, wiadomości nie są najlepsze:

- Po tym trylobicie wszystko wydaje się dobre. Niech pan mówi.

- Proszę wziąć pod uwagę, że moja wiedza o tym okresie jest ograniczona. Dr Lynn, jako biegły w historii zgromadził wszelkie zawarte w sagach wzmianki mówiące o odkryciu i zasiedleniu Winlandu. Postępowałem ściśle według jego wskazówek. Z początku trudno było znaleźć dogodne miejsce do lądowania; ujmując rzecz delikatnie, wybrzeża Nowej Fundlandii i Nowej Szkocji są dość nieregularne. W końcu jednak udało się. Używaliśmy łodzi motorowej niemal bez przerwy, tak, że mogę pana zapewnić, iż poszukiwania były jak najdokładniejsze.

- No i co znaleźliście?

- Nic.

- Takie nowiny lubię najbardziej - odparł Barney i odsunął talerz ze swoim trylobitem jeszcze dalej od siebie. - Gdyby był pan łaskaw sprowadzić mi tu doktora. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

- Tak, to prawda - rzekł Jens Lynn. - W Ameryce Północnej nie ma osad normańskich.

To jest najbardziej niepokojące. Przeszukaliśmy wszystkie możliwe stanowiska od X do XII wieku i nie znaleźliśmy niczego.

- A co skłoniło pana do szukania tam czegokolwiek?

Nozdrza Lynna zadrgały.

- Czy mogę panu przypomnieć, iż od czasu odnalezienia Mapy Winlandu nie było prawie żadnych wątpliwości, że Normanowie odkryli Amerykę Północną i tam się osiedlili?

Wiemy ze źródeł, że w 1121 roku biskup Eryk Gnuppson wyruszył z misją do Winlandu. Sagi mówią o wielu podróżach w to miejsce, opisują też zakładane tam osady. Jedynie dokładna lokalizacja tych osad jest sporna i ich odkrycie było celem naszych ostatnich poszukiwań.

Mieliśmy do przeszukania tysiące mil wybrzeża, bowiem autorytety naukowe różnią się znacznie w opiniach na temat położenia wspomnianych w sagach osad w Hellulandzie i Marklandzie. Gathorne Hardy identyfikuje Stramnsfjord z Long Island i umiejscawia Hop u ujścia rzeki Hudson. Ale inni znawcy przedmiotu sądzą, że lądowanie miało miejsce dalej na pół-

noc: Storm i Babcock są za Labradorem, a Mowat precyzuje położenie Hop...

- Dość - przerwał mu Barney. - Nie obchodzą mnie teorie. Czy chce pan przez to dać mi do zrozumienia, że nie znalazł pan żadnych osad ani innych dowodów?

- Tak... ale...

- To znaczy, że wszystkie te autorytety mylą się i to całkowicie?

- Noo... tak - Lynn usiadł. Wyglądał jak siedem nieszczęść.

- Niech pan się tym nie przejmujecie doktorze - Barney wyciągnął rękę z kubkiem w stronę kelnerki, która dołała mu kawy. - Napisze pan o tym książkę i stanie się pan najbardziej kompetentnym autorytetem. Teraz znacznie ważniejsze jest pytanie - dokąd mamy się stąd przenieść? Czy mogę przypomnieć tym, którzy nie doczytali jeszcze scenariusza do końca, że film nosi tytuł „Wiking Kolumbem” i jest sagą o odkryciu Ameryki Północnej przez Normanów i założeniu tam przez nich pierwszej osady? A więc co mamy robić? Zamierzaliśmy przerzucić ekipę do Winlandu, do tych osad Wikingów i nakręcić tam ostatnią część filmu. A tu okazuje się, że nie ma żadnych osad. Co dalej?

Przez dłuższą chwilę Lynn gryzł paznokcie. Wreszcie podniósł głowę.

- Możemy jechać na zachodnie wybrzeże Norwegii. Są tam osady, a wszystko wygląda zupełnie tak, jak w Nowej Fundlandii.

- A mają tam Indian, których moglibyśmy wynająć do scen batalistycznych? - zapytał

Barney.

- Ani jednego.

- A zatem odpada. Może lepiej będzie, jeżeli zapytamy naszego tubylca. - Rozejrzał się po namiocie i dostrzegł Ottara, który w odległym kącie sali mozolił się nad parującą górą trylobitów. - Jens, niech pan pójdzie i na chwili przerwie mu lunch. Proszę mu powiedzieć, że dostanie drugą i trzecią porcję później.

Wiking podszedł do nich i opadł na ławę.

- Potrzebujesz Ottara? - spytał.

- Co wiesz o Winlandzie?

- Nic.

- To znaczy, nigdy o nim nie słyszałeś?

- Oczywiście, słyszałem. Skaldowie układają o nim poematy, a ja mówiłem z Leifem Erickssonem o podróży tam. Ale nigdy Winlandu nie widziałem i nic o nim nie wiem.

Pewnego roku popłynę na Islandię, a potem do Winlandu. Wtedy będę bardzo bogaty.

- Dlaczego? Złoto? Srebro?

- Drewno - wyjaśnił Ottar, z wyraźną pogardą w stosunku do każdego, kto nie rozumie sprawy tak oczywistej.

- Dla osad na Grenlandii - wyjaśnił Jens Lynn. - Cierpią one na ogromny niedostatek wszelkiego rodzaju drewna, szczególnie zaś takiego, które się nadaje do budowy okrętów.

Ładunek takiego wytrzymałego drewna, dostarczony na Grenlandię, wart byłby fortunę.

- Doskonale - rzeki Barney wstając. - Gdy tylko skończymy zdjęcia tutaj, płacimy Ottarowi zaliczkę i wysyłamy go do Winlandu. Potem wykonamy skok w czasie do przodu i spotkamy się z nim. Nakręcimy odpłynięcie, kilka scen morskich - pójdą jako podróż - i jego lądowanie na miejscu. Następnie zbudujemy kilka chałup - to będzie osada - zapłacimy parę wampumów miejscowym plemionom za spalenie tych chat i w ten sposób zakończymy film.

- Dobry pomysł. Dużo drewna w Winlandzie - poparł go Ottar.

Jens Lynn usiłował protestować, ale po chwili wzruszył ramionami.

- Kim w końcu jestem, by się sprzeciwiać. Jeśli jest on na tyle głupi, by to uczynić i tym samym umożliwić panom produkcję filmu - kim ja u diabła jestem, by się do tego wtrącać?

Nikt nie zna sagi o przybyciu kogoś zwanego Ottarem do Winlandu, ale skoro nie ma żadnych dowodów na to, że inne sagi przekazują prawdę, nie wydaje mi się bym mógł protestować.

- Dokończ lunch - poradził mu Ottar.

Wyszedłszy z jadalni, Barney natknął się na sekretarkę, która oczekiwała go z naręczem jakichś dokumentów.

- Nie chciałam pana niepokoić w czasie lunchu.

- Czemu nie. I tak, po tym co zjadłem, moje trawienie nie wróci już do normy. Czy wiesz co to są trylobity?

- Oczywiście. Takie duże, wijące się. Łapiemy je w siatki na Starej Katalinie. Jest z tym kupa zabawy. Łapie się je w nocy na lampy błyskowe. Potem piecze na ruszcie. Do tego piwo. Mógłby pan...

- Nie, nie mógłbym. W takiej sprawie chciałaś się ze mną widzieć?

- Tutaj są karty pracy wszystkich, a w szczególności rejestr wyjazdów na weekendy.

Widzi pan, każdy oprócz pana spędza weekend, to znaczy sobotę i niedzielę, na Katalinie. W ciągu pięciu tygodni naszego pobytu tutaj nie miał pan ani jednego dnia wolnego.

- Betty, kochanie, nie martw się o mnie. Nie mam zamiaru odpoczywać, dopóki nie bę-

dę miał tego filmu gotowego - i w pudełkach. Ale z czym przyszłaś?

- Kilku amatorów polowań podwodnych chciałoby zostawać tam dłużej niż dwa dni.

Prosili mnie o cztery i gotowi są je odpracować w ciągu następnego weekendu. Zapaskudzi mi to sprawozdania i będę miała kupę nieprzyjemności. Co mam robić?

- Przejdź się ze mną w stronę domu Ottara, muszę zażyć trochę ruchu. Pójdziemy wzdłuż plaży. Póki nie doszli do domu, Barney namyślał się w milczeniu. - Zrób tak. Zapomnij o tym, że dni tygodnia w ogóle jakoś się nazywają, numeruj je tylko. Każdy, kto prze-pracuje pięć dni pod rząd ma następne dwa wolne. Dniówki będą zaznaczane w twoich sprawa-wozdaniach oraz na kartach pracy, bowiem odbijacie je i tutaj i na Katalinie. Ponieważ za-równo dwa, jak i cztery dni na Katalinie oznaczają zaledwie pięciominutową wyprawę na platformie czasu, każdy z pracowników jest na miejscu ciągle i pracuje codziennie, o ile zdoła-

łem zauważyć. To wszystko, co powinniśmy brać pod uwagę. Prowadź wszelkie rozliczenia dniówek w ten sposób, a ja załatwię to z L.M. i księgowością po naszym powrocie.

Dotarli już niemal do cypla, który tworzył jeden z brzegów zatoczki przy domu Ottara, gdy na ścieżkę, wiodącą ku morzu, wpadł jeep i trąbiąc bezustannie, ruszył za nimi.

- A to co znowu? - jęknął Barney. - Kłopoty, na pewno jakieś kłopoty. Nikt nigdy nie goni za mną, by podzielić się jakąś dobrą wiadomością. - Stał i z wyrazem najgłębszego smutku na twarzy czekał aż jego jeep podjedzie bliżej. Tym razem prowadził Dallas, dlatego hamowanie wzbiło w powietrze stosunkowo niewielką liczbę leżących naokoło kamieni.

- Jakiś okręt wpływa do zatoki. Wieść o tym zdążyła się już rozejść i teraz wszyscy pana szukają,

- No dobrze, znalazłeś mnie. Co to jest - kolejni wikińscy piraci, tak jak ostatnio?

- Powiedziałem wszystko, co wiem - odparł Dallas i zadowolony z siebie zaczął przeżu-wać drewnianą zapałkę.

- Miałem rację, że nowe kłopoty - biadolił Barney, pakując się do jeepa. - Wracaj do obozu, Betty. Tu może być niezła zabawa.

Gdy wyjechali z cypla, ich oczom ukazał się duży okręt z szerokimi żaglami, który wpływał żwawo do zatoki, niemal wyprzedzając niosący go wiatr. Kilku filmowców, skupio-nych w niewielką gromadę, stało na szczycie wzgórza za domem, ale wszyscy tubylcy zdążyli zbiec już na plażę, gdzie wrzeszczeli teraz i wymachiwali gwałtownie rękami.

- Znowu zanosi się na morderstwa. A tam, jak zwykle na posterunku, stoi mój papa-razzo operator, gotów uchwycić te jatki w technikolorze. Pędźmy na dół. Zobaczmy czy tym razem uda nam się jakoś temu zapobiec.

Gino ustawił kamerę na brzegu, w miejscu z którego mógł sfilmować zarówno komitet powitalny; jak i przybywający okręt. Fakt, że sprawy miały się znacznie lepiej, niż to przypuszczał Barney, wyszedł

na jaw gdy podjechali nieco bliżej. Okazało się, że wszyscy Normanowie śmieją się i chociaż wymachują rękami, to są one nieuzbrojone. Ottar, który najwyraźniej nadbiegł tu, skoro tylko usłyszał o wizycie, stał po kolana w wodzie i głośno krzychał.

Okręt zbliżał się do brzegu. Spuszczono wielki żagiel i niesiony tylko siłą rozpędu kadłub wśliznął się na plażę, rozbryzgując muł. W końcu zadrżał i zatrzymał się. Wysoki mężczyzna o intensywnej rudej brodzie, który stał dotąd przy wiosle sterowym, rzucił się do przodu i skoczył w przybrzeżne fale niedaleko Ottara. Obaj wykrzyknęli coś na powitanie i objęli się w mocnym uścisku.

- Gino, dawaj! Kręć ich jak robią niedźwiedzia. Na dodatek nie muszę prosić ich o zgodę, ani płacić im nawet złamanego grosza - mruzczał uszczęśliwiony Barney, patrząc na rozgrywającą się przed nim scenę.

Dopiero teraz, gdy widać było, że nie zanoszą się na żadne gwałtowne czyny, filmowcy odważyli się opuścić wzgórze.

Parobcy wytaczali właśnie baryłki z piwem. Barney podszedł do Jensa Lynna, który obserwował jak Ottar i przybysz przy akompaniamencie okrzyków radości poklepują się nawzajem po bicepsach.

- Co się tutaj dzieje? - spytał.

- To starzy przyjaciele i mówią sobie jak bardzo się cieszą, że się spotkali.

- To widać dość wyraźnie. Kim jest ten rudobrody?

- Ottar nazywa go Thorhall - jest to być może Thorhall Gamilisson z Islandii. On i Ottar zwykli byli wyruszać razem na wyprawy rabunkowe i Ottar zawsze wyrażał się o nim bardzo przyjaźnie.

- Co oni tam wywrzaskują?

- Thorhall mówi jak bardzo jest zadowolony, że Ottar zechciał kupić jego okręt, ponieważ, on, Thorhall, zamierza powrócić do Norwegii i może w tym celu użyć długiej łodzi Ottara. Teraz pyta o pozostałą połowę zapłaty.

Ottar wypluł z siebie pojedyncze, głośne, ostra brzmiące słowa.

- To znam - wtrącił Barney. - Jesteśmy tu wystarczająco długo, aby chwycić co najmniej tyle z ich języka.

Wrzaski stawały się coraz głośniejsze i poczęły pojawiać się w nich złowieszcze nuty.

- Ottar sugeruje, że w głowie Thorhalla zamieszkały złe duchy - illar vaettir - bowiem nie kupował nigdy żadnego statku. Thorhall twierdzi, że Ottar śpiewał innym głosem trzy miesiące temu, kiedy doń przybył, przyjął jego gościnę i kupił okręt. Ottar ma teraz pewność, że Thorhall jest opętany, ponieważ on nie był na tej wyspie od ponad roku; wydaje mu się też, że w głowie Thorhalla należałoby uczynić dziurę, przez którą część złych duchów mogłaby się wydostać na zewnątrz. Thorhall wyraził opinię, że jak tylko chwyci w dłoń swój topór, wtedy okaże się, czyja głowa

powinna zostać otwarta.

Coś zaskoczyło w mózgu Barneya i w momencie gdy ujrzał jak dwóch zawodników wagi ciężkiej przyjmuje postawę bojową najwyraźniej gotując się do walki na pieści pachną-

cej już z dala krwią, otrząsnął się z roli widza, którą bezwiednie przyjął.

- Stać! - krzyknął, lecz ani zignorowali go zupełnie. - Nemit staoar! * - spróbował ponownie, tym razem po staronorwesku, wszelako z takim samym rezultatem.

- Wystrzel parę razy w powietrze - wrzasnął do Dallasa. - Przerwij to, zanim się na dobre zaczniesz.

Dallas wystrzelił w piach tak, że spłaszczone kule odbiły się rykoszetem i z gwizdem poszybowały nad wodą. Obaj Wikingowie odwrócili się, zapominając na moment o osobi-

* Stójcie!

stych urazach. Barney rzucił się ku nim gwałtownie.

- Ottar, posłuchaj mnie. Wydaje mi się, że wiem o co wam poszło...

- Ja wiem o co poszło - ryknął Ottar, zaciskając pięść o rozmiarach młota kowalskiego.

- Nikt nie nazwał jeszcze Ottara...

- To tylko brzmi tak nieładnie, po prostu różnica poglądów, - Barney pociągnął Ottara za rękę, lecz nie udało mu się poruszyć go nawet o cal. - Doktorze, niech pan zabiera stąd Thorhalla, odprowadzi go do domu i postawi mu parę piw. Ja pogadam z Ottarem...

Dallas wypalił jeszcze kilkakrotnie, by nie dopuścić do przerwania konwersacji. W

końcu obaj wojownicy zastali rozdzieleni i Thorhall odszedł, by poszukać czegoś do picia.

- Dasz radę dopłynąć do Winlandu na swoim statku? - zapytał Barney.

Ottar, wiąż rozjuszony, musiał przez kilka sekund potrząsać głową i mrugać oczami, zanim dotarł do niego sens pytania Barneya.

Barney odwrócił się do Jensa Lynna, który przysłuchiwał się całej rozmowie.

- Okręt. Co z moim okrętem? - odezwał się w końcu.

Barney cierpliwie powtórzył pytanie, na co Ottar z absolutnym przekonaniem pokręcił

przecząco

- Głupie pytanie - odparł. - Długie łodzie - do wypraw pirackich; wpłynąć na rzekę albo żeglować przy brzegu. Niedobre na dużych morzach. Aby płynąć na ocean musisz mieć k n o r r. To jest knorr.

Barney popatrzył i różnica stała się dla niego oczywista. Ozdobiona smoczą głową łódź

Wikingów była długa i wąska, podczas gdy szeroki knorr wystawał wysoko ponad poziom wody i miał minimum 100 stóp długości. Pod każdym względem sprawiał wrażenie solidnej jednostki pływającej.

- Mógłbyś popłynąć do Winlandu na tym okręcie?

- Oczywiście - odparł Ottar. Spojrzał za odchodzącym Thorhallem i zacisnął pięści.

- To czemu nie kupisz go od Thorhalla?

- Ty też...? - ryknął Ottar.

- Czekał, uspokój się posłuchaj. Jeśli dołożę ci część pieniędzy, to będziesz mógł sobie pozwolić na jego kupno?

- Kosztuje wiele grzywien.

- Yachting zawsze był kosztowną rozrywką! Będziesz w stanie go kupić?

- Być może.

- A zatem zgoda. Jeżeli on twierdzi, że kupiłeś okręt parę miesięcy temu, to znaczy, że musisz... N i e, n i e b i j m n i e! Dam ci pieniądze, a profesor zabierze cię z powrotem na Islandię, tam załatwisz kupno i wszystko będzie OK.

- O czym rozmawiacie?

Barney odwrócił się do Jensa Lynna, który przysłuchiwał się całej rozmowie.

- Pan mnie rozumie, prawda, Jens? Umówiliśmy się dziś rano, że Ottar popłynie do Winlandu. Teraz oznajmił mi, że do tego celu potrzebuje innego rodzaju statku. Thorhall twierdzi, że Ottar kupił taki okręt przed miesiącem, czy dwoma. A zatem m u s i go kupić. A my musimy szybko to zorganizować - zanim sytuacja skomplikuje się na dobre. Niech pan weźmie Dallasa jako ochronę osobistą i wytłumaczy wszystko Hewettowi. Zabierzcie lepiej motorówkę. Pojedzie pan z całą tą paczką na Islandię, na Islandię sprzed paru miesięcy, kupicie okręt, umówicie się, że dostarczą go na dziś i wrócicie z powrotem. Nie powinno to zająć więcej niż pół godziny. Niech pan weźmie od kasjera parę grzywien, żeby było za co kupić ten statek. I niech pan nie zapomni przed wyjazdem porozmawiać z Thorhallem i wy-ciągnąć z niego ile zapłacił Ottar, tak aby wziął pan ze sobą odpowiednią kwotę.

- To, co pan mówi zakrawa na paradoks. Nie wierzę, by było to możliwe...

- Nie interesuje mnie w co pan wierzy. Płacę panu i proszę, żeby wykonywał pan moje polecenia. Ja zaś postaram się naoliwić trochę tego Thorhalla, tak, żeby był w nieco lepszym nastroju kiedy wrócicie.

Jeep odjechał, a Barney ruszył, by ożywić trochę najwyraźniej pozbawione iskry bożej pijaństwo. Normanowie skupili się nieufnie w dwóch grupkach - przybysze za plecami swego wodza. Obrzucano się nawzajem mrocznymi spojrzeniami i prawie w ogóle nie pito. Wreszcie pojawił się Gino trzymając w rękach butelkę, którą wydobył z futerału obiektywu.

- Rąbnie pan jednego, Barney? - zapytał. - Prawdziwa grappa ze starej ojczyzny. Nie mogę używać miejscowych napitków.

- Twój jest niemal równie ohydny - odparł Barney. - Ale poczęstuj Thorhalla, sądzę, że będzie mu smakował.

Gino odkorkował butelkę, pociągnął z niej tek łyk, po czym wręczył naczynie Thorhal-lowi.

- Drekkitt - odezwał się w znośnej staronorweszczyźnie - ok verio vilkommir til Orkne-ya. *

Rudobrody wiking przyjął ofiarowywany mu gościniec, napił się, kaszlnął, obejrzał uważnie butelkę i napił się jeszcze raz.

Według obliczeń Barneya jeep wrócił po niecałej pół godzinie - czas ten wystarczył

jednak w zupełności, by rozkręcić przyjęcie: piwo lało się strumieniami, a większa część grappy uległa już zagładzie. Pojawienie się Ottara przerwało na chwile nastrój powszechnej dobroduszości. Thorhall zerwał się szybko na nogi wsparł plecami o ścianę domu, lecz Ottar promieniał z zadowolenia. Walnął Thorhalla po ramieniu i w tym momencie lody zostały przełamane. Wszyscy odetchnęli z ulgą i pijaństwo zaczęło się na dobre.

- Jak poszło? - spytał Barney Jensa Lynna, gramolącego się z jeepa ze znacznie większą dozą uwagi niż poprzednio Ottar. W ciągu niewielu minut nieobecności zdążył on obrosnąć trzydniową szczecina. Pod przekrwionymi oczami pojawiły mu się wielkie, sine wory.

- Thorhalla znaleźliśmy bez trudu - oznajmił ochryple - i przyjęto nas entuzjastycznie. Z

kupnem okrętu nie mieliśmy najmniejszych kłopotów, ale nie mogliśmy odpłynąć bez uczczenia tego faktu. Ciągnęło się to dniem i nocą i minęły ponad dwie doby zanim Ottar zasnął

przy stole, tak że można było go wynieść i przetransportować z powrotem. Niech pan na niego spojrzysz - znowu pije! jak on to robi? - przez ciało Jensa przebiegł dreszcz.

- Higieniczny tryb życia i świeże powietrze - odparł Barney.

Ryki i radosne normańskie pohukiwania stawały się coraz głośniejsze. Ottar nie wykazywał najmniejszych oznak osłabienia z powodu wznowionych rozkoszy uczy.

- Wygląda na to, że zarówno nasz gwiazdor, jak i statyści nie zamierzają już dziś pracować. Możemy zatem spotkać się i przedyskutować kolejność dalszych zdjęć w Winlandzie oraz na pokładzie tego okrętu - jak pan go nazywa?

- Knorr. Mianownik - het er knorrur, dopełniacz - um knorr...

- Dość! Niech pan pamięta, że ja nie uczę pana jak się robi filmy. Chciałem obejrzeć te-go knorra i przekonać się do ilu ujęć można go użyć. Wygląda na wystarczająco wytrzymały, by dźwignąć kamerę. Potem musimy zaplanować nasze spotkanie w Winlandzie. Mamy przed sobą kupę roboty - Na szczęście przekroczyliśmy już półmetek i o ile nic nie stanie nam na przeszkodzie, pojedziemy teraz z górki.

Ostatnim jego słowom towarzyszył głośny wrzask mewy. Barney pochylił się i mocno odpukał w brudny, drewniany kadłub knorra.

* Pij!... I witaj na Orkneyach.

XII

- Zabiję cię, manhundr! * Oblałeś wodą moją twarz - ryczał Ottar.
- Stop! - Barney zszedł na pokład i podał mu ręcznik. - Twoja kwestia brzmi: „Nie zbliżaj się do żagla! Zabiję pierwszego, który położy na nim rękę! Nie zwijać żagli. Mówię wam - czuję ląd! Nie traćcie nadziei!”. To masz powiedzieć. W tym kawałku nie ma nic na temat wody.
- On chlusnął tą wodą naumyślnie - odparł gniewnie Ottar.

- Pewnie, że tak, jesteś na pełnym morzu, wiele mil od lądu, w samym sercu sztormu, wiatr miota ci - rozbryzgi piany prosto w twarz. Musi ci się to zdarzać ilekroć jesteś na morzu. Wtedy chyba się nie wściekasz ani nie obrzucasz oceanu najgorszymi wyzwiskami -

czemu więc teraz to robisz?

- Na morzu nie. Tylko gdy suchy ląd. Naprzeciw domu.

Wyjaśniać jeszcze raz na czym polega produkcja filmu, że obraz na ekranie musi do złudzenia przypominać rzeczywistość i że aktorzy muszą myśleć o tym tak, jakby wszystkie te sceny rozgrywały się naprawdę, nie miało najmniejszego sensu. Ten temat był już poruszany co najmniej o czterdzieści razy za dużo. Dla tego, złożonego z samych cnót męskich Skan-dynawa, kino nic nie znaczyło. Co mogło mieć dla niego znaczenie? Jedzenie, picie i inne przyjemności natury czysto fizjologicznej. I poczucie dumy!

- Dziwi mnie, że przejmujesz się taką drobnostką, jak trochę wody, Eddy - Barney zwrócił się do rekwizytora - chluśnij mi wiadro wody prosto w gębę.

- Jestem do usług, panie Hendrickson.

Eddy wziął solidny rozmach i wlał zawartość wiadra prosto w strumień powietrza wydmuchiwanego przez urządzenie wytwarzające sztuczną wichurę. Silny prysznic uderzył w twarz Barneya.

- Wspaniale! - krzyknął, usiłując przezwyciężyć szczykowanie zębów. - Bardzo odświeżające. Nic mnie nie obchodzi woda na mojej twarzy!

Uśmiech Barneya wyglądał dość upiornie. I nic dziwnego, bowiem Hendrickson był na poły zamarznięty. Wrześniowe wieczory na Orkneyach i bez przemoknięcia były wystarczająco

chłodne. Teraz lodowaty wiatr przenikał jego ubranie; tnąc ciało boleśnie jak ostrze noża.

- Oblejcie mnie wodą! - nakazał Ottar. - Ja wam pokażę jak robić z wodą.

- Zaczynamy! I nie zapomnij roli - Barney wycofał się spoza zasięgu kamery, lecz w tym momencie zwrócił się do niego jeden z operatorów:

- Taśma w rzutniku tła jest na wykończeniu, panie Hendrickson.

- Przewińcie ją natychmiast. Pośpieszcie się albo zostaniemy tu do rana.

Miotane sztormem morze zniknęło z ekranu, markującego tło sceny i wszyscy mogli chwilę odpocząć. Rekwizytor, zawieszony na specjalnej platformie tuż przy burcie knorra, włączył elektryczną pompę, by uzupełnić zapas wody morskiej w beczce. Ottar stał samotnie przy wiosle sterowym spoczywającego na plaży okrętu i z dezaprobatą patrzył w przestrzeń.

Silne reflektory tworzyły oślepiająco jasny krąg światła obejmujący knorra i kawałki plaży po obydwu jego burtach - reszta świata pogrążona była w ciemnościach.

- Daj mi papierosa, moje zupełnie przemokły - zwrócił się Barney do sekretarki.

- Gotowe, panie Hendrickson - krzyknął operator.

- Doskonale! Wszyscy na plan! Kamera!

Dwóch techników wparto się całym ciężarem ciała w długie dźwignie, które powodowały, że sztuczny pokład okrętu wraz ze stojącym na nim Ottarem wznosił się i opadał w

* Staroskandynawska obelga.

rytm wyświetlanych na ekranie fal.

- Ruszamy!

Ottar zacisnąwszy zęby stawiał czoła zawierusze i zmagał się z wiosłem sterowym, które usiłował mu wyrwać z rąk człowiek ukryty poza zasięgiem kamery.

- Zostaw ster! Na Thora! zabiję każdego kto dotknie steru - krzyknął. Strumień wody rozbryznął się ponad nim i Ottar zaśmiał się lodowato. - Nie boję się wody, kocham wodę!

Rozwinąć żagle - czuję ląd. Nie traćcie nadziei...!

- Stop! - nakazał Barney.

- Przekręca wszystko z podziwu godnym talentem. Niczego takiego nie napisałem -

obruszył się Charley Chang.

- Dajmy temu spokój, Charley. Za każdym razem, gdy jest choć trochę bliski oryginału, uważam to za uśmiech fortuny. - Barney podniósł głos. - W porządku. Na dziś koniec. Jutro zbiórka o 7.30, tak żebyśmy złapali poranne światło. Jens, Amory - zanim odejdziecie, chciał-

bym z wami chwilę porozmawiać.

Stali teraz na śródokręciu, w pobliżu głównego masztu. Barney na próbę uderzył piętą w pokład.

- To ma dopłynąć do Ameryki Północnej? - spytał.

- Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości - odparł Jens Lynn. - Z reguły knorry były znacznie lepsze - i szybsze - od statków Kolumba, a także od innych statków, którymi Hiszpanie i Anglicy podróżowali do Nowego Świata pięćset lat później. Losy tych okrętów są dokładnie opisane w sagach.

- Tak, ale niech pan nie zapomina, że mieliśmy ostatnio wiele wątpliwości co do informacji zawartych w tych sagach.

- Są i inne dowody. W roku 1932 wierna kopia takiego okrętu, długa na 60 stóp, popłynęła na zachód jedną z tras używanych przez Kolumba i pokonała ją w czasie o 30% kró-

tszym od jego najlepszego rezultatu. Na temat tych okrętów panuje mnóstwo niedorzecznych opinii, uważa się na przykład, że przy pomocy swojego wielkiego, prostokątnego żagla w stanie płynąć tylko z wiatrem. Okazuje się jednak, że mogły, a raczej że mogą trzymać kurs przy wietrze bocznym, nawet przy odchyleniu o pięć rumbów. Co najbardziej interesujące, ten sposób żeglugi i stosowany do niego żagiel nazywane były „beita”, od tego też słowa pochodzi angielskie określenie, oznaczające „wyostrzać do wiatru”.

- Mam na to pańskie słowo! Ale co tak cuchnie?

- Ładunek - odparł Jens wskazując na umieszczone wzdłuż burt okazałe wzgórki, pokryte przywiązanyymi mocno pokrowcami. - Tego typu okręty nie mają ładowni i całe cargo spoczywa na pokładzie.

- Dobrze, ale co to jest - ser limburski?

- Nie, przeważnie żywność, pasza dla bydła, piwo i inne podobne rzeczy. A ten odór wydobywa się z płóciennych pokrowców. Zaimpregnowano je tranem, dziegciem i masłem.

- Nader pomysłowo - Barney wskazał na otwarty, ciemny otwór studni, ziejący na śródokręciu tuż za masztem. - Co się stało z pompami ręcznymi, które mieliśmy tu zamontować?

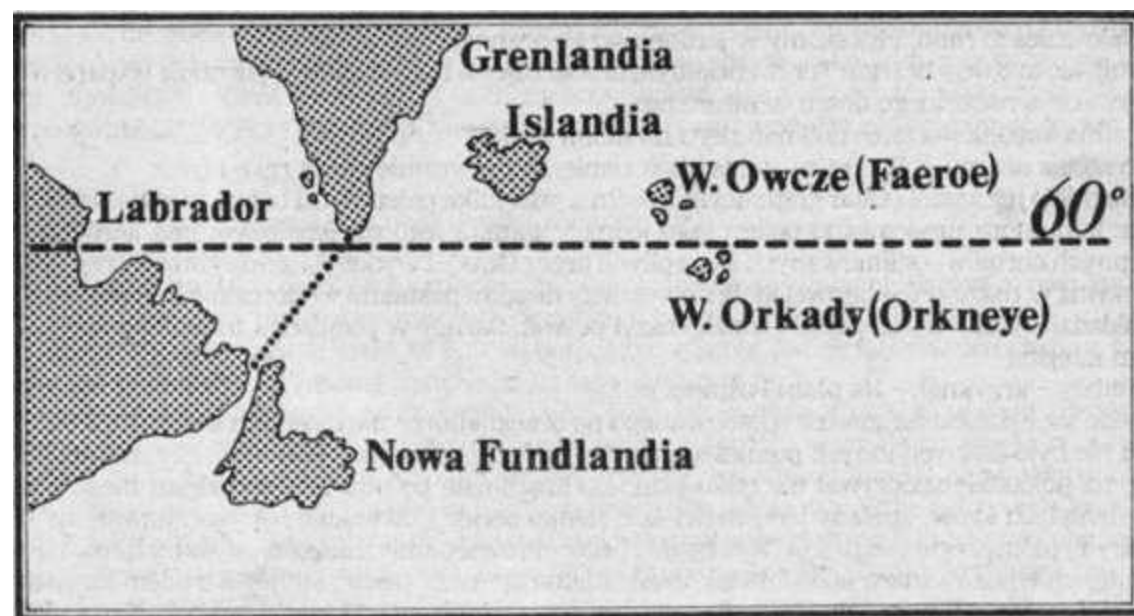
Ten okręt musi dopłynąć do Winlandu - albo nici z filmu - i żeby mieć te pewność trzeba podjąć wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa. Amory uważa, że pompy byłyby bardzo na miejscu - a zatem gdzie one są?

- Ottar się na nie nie zgodził. Odniósł się do nich z wielką podejrzliwością. Obawia się, że się zepsują i nikt nie będzie umiał złożyć ich do kupy. Cokolwiek by powiedziec na temat ich własnego systemu jeden facet wyciąga kubłem wodę ze studni, a drugi wylewa ją za burtę

- to chociaż można nazwać go prymitywnym, ale zawsze działa.

- Dopóty, dopóki są ludzie i wiadra, a tego o ile wiem im nie brak. W porządku, skapo-wałem. Nie

mam zamiaru uczyć Ottara jego fachu - chciałem się tylko upewnić, czy rzeczywiście go zna. A co z tym nawigacyjnym interesem, który zamontowałeś, Amory? - spytał



Barney.

- Żeby zabezpieczyć przed ewentualnymi wstrząsami, umieściłem go w kadłubie. Na wierzchu jest tylko nieskomplikowana tarcza, którą sternik może z łatwością obserwować.

- A będzie to działać?

Czemu nie? Ci Normanowie całkiem nieźle znają się na nawigacji. Ich szlaki morskie nie są zazwyczaj zbyt długie, więc ustalają sobie kurs i żeglują od jednego widocznego punktu wybrzeża do następnego. Znają kierunki prądów oceanicznych i obyczaje ptactwa morskiego - w ten sposób mogą z łatwością odnaleźć ląd. W dodatku potrafią precyzyjnie okre-

ślać swoją pozycję badając wysokość Gwiazdy Polarnej. Wszelka pomoc, jakiej zamierzamy im udzielić, musi się mieścić w granicach systemu nawigacyjnego, do którego przywykli - ma ona ułatwić im żeglugę, lecz nie może spowodować tragedii w razie, gdyby zawiodła. Najbardziej oczywista byłaby prosta busola, ale mogłaby ona być dla nich urządzeniem zbyt dziwnym. Poza tym posługiwanie się kompasem na tych szerokościach geograficznych jest dość skomplikowane. Zbyt wiele tu anomalii magnetycznych i rozbieżność między północą geograficzną a magnetyczną jest bardzo wyraźna.

- Dobrze, na razie opowiedziałeś, czego nie zrobiłeś. Teraz chciałbym wiedzieć, czego dokonałeś.

- Wmontowałem w rufę żyrokompas z zapasem baterii o przedłużonej żywotności. Włą-

czymy go, gdy odpłyną - baterie powinny działać co najmniej miesiąc. Sam żyrokompas to jedna z tych zminiaturyzowanych, supertrwałych, a zarazem nieskomplikowanych zabawek, jakie wymyślono do sterowania pociskami raketowymi. A na prawo, w nadburciu, tuż przy miejscu sternika jest repetytor kompasu.

Barney spojrział na białą strzałkę wyraźnie widoczną na tle ciemnej, przykrytej grubą powłoką szkła tarczy. Tarcza była prawie pusta. Tkwiła na niej jedynie wielka, biała kropka.

- Mam nadzieję, że Ottar znacznie lepiej niż ja wie do czego to służy.

- Jest z tego niezwykle rad - odparł Amory. - Prawdę mówiąc jest wręcz rozentuzjazo-wany. Myślę, że jeśli ci naszkicuję stanie się to dla ciebie jaśniejsze.

Amory, wyjętym z kieszeni flamastrem, szybko narysował w notesie prosty schemat trasy.

- Linia przerywana odpowiada sześćdziesiątemu równoleżnikowi szerokości północnej.

Weź pod uwagę, że jest to droga jaką Ottar zwykł żeglować do Cape Farewell, tu, na samym koniuszku Grenlandii, płynąc ciągle na zachód i trzymając kurs przy pomocy Gwiazdy Polarnej. Ustawię żyrokompas tak, by wskazywał ciągle na Cape Farewell. Kiedy wskazówka będzie pokrywać się z kropką - a obie są fosforyzujące i świecą w nocy - oznacza to, że statek płynie we właściwym kierunku. Powinni dokładnie trafić na południowy cypel Grenlandii.

- Gdzie spędzą zimę u krewnych Ottara. Jak dotąd wszystko w porządku, ale co się stanie wiosną, gdy wyruszą ponownie? Kurs wzdłuż sześćdziesiątego równoleżnika doprowadziłby ich do Zatoki Hudsona.

- Przestawimy kompas. Ottar zaczeka na nas, a my wymienimy baterie i skierujemy żyrokompas na Belle Isle - o tu. Powinni mieć dostateczne zaufanie do tego przyrządu, by żeglować poprawnie - nawet jeśli trasa nie będzie przebiegać równoleżnikowo. Ponadto Prąd Wschodniogrenlandzki płynie w tym samym kierunku, o czym Ottar także wie. Nie powinien mieć żadnych kłopotów z dotarciem do wybrzeży Labradoru, czy Nowej Fundlandii.

- No dobrze - trafi do Winlandu - odrzekł Barney - ale jak go tam znajdziemy?

- Zainstalowałem również nadajnik radiowy. Rozpocznie emisji automatycznie w momencie, w którym odbierze nasze sygnały. Prosty przykład praktycznego zastosowania pelengatora.

- Wygląda to solidnie i nie pozostaje nam nic innego, tylko ufać, że rzeczywiście nie za-wiedzie - Barney obrzucił wzrokiem niski pokład i cienki maszt statku. - Nie przepłynąłbym czymś takim nawet zatoki, ale cóż, nie jestem Wikingiem. Zaczekajmy do jutra. Nakręciliśmy już w zasadzie wszystko, co było możliwe w tych warunkach. Rano spuścimy okręt na wodę i kilka razy wpłyniemy i wypłyniemy z zatoki. Nakręcimy to z brzegu i pokładu statku. Potem włączymy tę twoją sztuczną Gwiazdę Polarną i wyprawimy ich stąd. Wierz mi Amory, było-by najlepiej, gdyby ta cała aparatura rzeczywiście zadziałała. Jeśli nie, to wszyscy możemy pozostać w Winlandzie i ożenić się z Indiankami. Bez tego filmu nie mamy po co wracać.

Gino wytknął głowę zza zwiniętego żagla zupełnie jak kukiełka wyskakująca na sprężynie z otwartego pudła i dał znak ręką.

- Możecie zaczynać, jestem gotów.

- Możesz wydać rozkazy - Barney zwrócił się do opartego niedbale o rumpel Ottara.

Zmęczeni żeglarze, zapędzeni po raz kolejny do kołowrotu, klęli półgłosem. Już od wschodu słońca, to jest od momentu, kiedy rozpoczęto zdjęcia manewrującego okrętu, lawiro-wali po zatoce, to wciągając, to spuszczać na dół wielki, prostokątny żagiel. Bęben kołowo-tu drgnął, nasycone tłuszczem liny ze skór morsa skrzypnęły w otworze na szczycie masztu i dźwignęły masywny, wełniany żagiel. Jego i tak niemały ciężar zwiększały dodatkowo pasy z foczej skóry, którymi był obszyty w celu nadania mu właściwego kształtu. Obiektyw kamery Gina podążał uważnie w ślad za wznoszącym się takielunkiem.

- Jest późno - stwierdził Ottar - jeśli mamy płynąć dziś, płynimy zaraz.

- Już kończymy. Chciałbym tylko mieć dobre ujęcie momentu, w którym opuszczasz zatokę - i na tym koniec.

- Nakręciłeś to rano. Płynęliśmy w stronę zorzy porannej - tak mówiłeś.

- Tak, ale to było z brzegu. Teraz chciałbym zrobić zdjęcie twoje i Slithey, jak oboje wsparci o rumpel wypływacie z rodzinnego domu w nieznane.

- Żadna kobieta nie śmie dotknąć steru na moim statku!

- Przecież nie musi! Po prostu stanie obok ciebie, może weźmie cię za rękę i tyle.

Wciągnięto już żagiel i Ottar grzmiącym głosem wydał kilka poleceń. Od bębna kołowrotu odczepiono koniec fału, który umocowano potem jako jedną z want, a jego miejsce zajęła lina kotwiczna. Kilka następnych obrotów - sfilmowanych skwapliwie przez Gina - i wydobyta z dna kotwica, czyli zamknięty w czymś w rodzaju wiklinowej klatki, obrośnięty długimi pasmami wodorostów kamień, znalazła się na pokładzie. Wiatr wydał żagiel i statek ruszył powoli. Barney w pośpiechu ustawił kamerę we właściwym miejscu:

- Slithey - krzyknął. - Na plan! Pospiesz się!

Dostać się z dziobu na mostek naładowanego po brzegi knorra nie było sprawą prostą.

Ponieważ na statku nie było żadnych innych pomieszczeń poza dwiema, służącymi jako sypialnie niewielkimi kabinami, na pokładzie spoczywał nie tylko ładunek. Kręciło się po nim ze czterdziestu mężczyzn, sześć wynędzniałych krów, spętany byk, niewielkie stadko owiec i dwie kozy, stojące dumnie na szczycie przykrytej płótnem góry zapasów. Ryk bydła i beczenie owiec zmieszane z okrzykami ludzi, zlewały się w jedną, uniemożliwiającą jakiegokolwiek intelektualne operacje całość. Slithey z trudem torowała sobie drogę w tym rozgardiaszu. Na koniec Barney pomógł jej wspiąć się na wąski pokład rufowy. Slithey, ze swymi jasnymi, splecionymi w warkocze włosami i zaróżowionymi od wiatru policzkami, ubrana w długą białą tunikę i króciutki kubraczek, wyglądała doprawdy prześlicznie.

- Stań obok Ottara. Kamera! - Barney usunął się spoza zasięgu obiektywu.

- Byłoby lepiej, gdyby stanęli tyłem do mnie - powiedział Gino.

- Ottar, na litość Thora! Odwróć się, patrzysz w złą stronę - zawołał Barney.

- Stoję z prawej strony. Do sterowania - odparł nieustępliwie Ottar dzierżąc w dłoni rumpel i patrząc wprost przez rufę na oddalający się ląd. - Kiedy opuszcza się brzeg, zawsze patrzy się na niego, by ustalić właściwy kurs. Tak to trzeba robić.

Po licznych błaganiach i pochlebstwach popartych obietnicą łapówki Barneyowi udało się ulokować Ottara i Slithey z drugiej strony rudla, skąd Ottar zmuszony był sterować oglądając się przez ramię. Slithey stanęła obok niego, wsparłszy rękę na wiosle, tuż obok dłoni Ottara i w rezultacie nakręcono wreszcie tę scenę w sposób zadowalający.

- Stop! - zarządził Barney, a Ottar z uczuciem ulgi zajął natychmiast właściwe miejsce przy sterze. - Wysadzę was na brzeg w tym miejscu - oznajmił.

- Dobrze. Przywołam przez radio jedną z ciężarówek.

Wyładowanie kamery ze statku było nie lada sztuką. Mimo iż wszyscy zeszli już na ląd, Barney pozostał na pokładzie dopóki nie ustawiono jej bezpiecznie na brzegu.

- Do zobaczenia w Winlandzie - powiedział wyciągając rękę na pożegnanie. - Szczęśliwej podróży.

- Jasne - odparł Ottar miażdżąc jego dłoń w swojej. - Znajdź dla mnie dobre miejsce.

Woda, trawa dla zwierząt i dużo, dużo twardego drewna.

- Zrobię, co będę mógł - Barney potrząsał ręką, usiłując przywrócić dopływ krwi do zmartwiałych palców.

Wiking nie tracił czasu. Gdy tylko Barney wyskoczył na brzeg, ustawiono, przy akompaniamencie głośnych przekleństw i okrzyków zadowolenia, beity. Jeden koniec długiego masztu został umocowany w specjalnym otworze w pokładzie, drugi sięgał brzegu żagla, który natychmiast wypełnił się wiatrem. Po raz ostatni tego dnia okręt odbił od brzegu i skierował się w stronę otwartego morza. Okrzyki ludzi i ryk bydła powoli rozplywały się w oddali.

- Żeby im się tylko udało - mrukną półgłosem Barney. - Musi im się udać.

Odwrócił się gwałtownie wszedł do ciężarówki.

- Podrzuc mnie do platformy, a sam na nią wjedź - polecił kierowcy. Sprawdzając czy okręt dotarł bezpiecznie do Islandii, Barney chciał uspokoić przynajmniej połowę swych obaw. Wehikuł czasu niczego nie mógł zmienić, skracał jednak o niebo czas bezmyślnego oczekiwania.

Zastali obóz w stanie kompletnego chaosu. Zwijano namioty, cały sprzęt ładowano na ciężarówki,

szykując się do generalnej przeprowadzki. Barney nie zwracał na to uwagi; nerwowo bębnił palcami o framugę okna. Cała operacja byłaby po prostu stratą czasu, gdyby cokolwiek przytrafiło się okrętowi Ottara. Wskoczył z ciężarówki zanim ta zdążyła zatrzymać się na dobre. Na platformie stał już jeep; obok niego kręcili się Tex i Jens Lynn, obserwując jak profesor sprawdza coś w akumulatorach Vremiatronu.

- Gdzie Dallas?

- W sraczu - Tex wskazał kciukiem w odpowiednim kierunku.

- W takim momencie?!

- Możemy jechać bez niego. Do tej roboty wcale nie potrzeba nas dwóch. Wszystko, co mamy zrobić, to sprawdzić czy Ottar przybył na miejsce i dostarczyć mu zimową porcję burbona.

- Zrobicie tak, jak powiedziałem. W tym wypadku życzę sobie dwóch facetów do ochrony. I żadnych błędów ani przeoczeń. O, właśnie nadchodzi Dallas - ruszajcie.

Barney zszedł z platformy, a profesor uaktywnił pole. Jak zwykle (z punktu widzenia obserwatora) podróż zdawała się trwać nie dłużej niż ułamek sekundy. Platforma zniknęła i pojawiła się na powrót o kilka stóp dalej. Zmieniła się też nieco przez ten czas. Profesor tkwił

niemal przyrośnięty do swojej tablicy rozdzielczej; reszta kuliła się w szczelnie zamkniętym jeepie. Wszystko pokrywała gruba niemal na stopę pokrywa śnieżna. Ostry szkwał islandzkiej zadymki wionął mroźnym tchem z platformy Vremiatronu i cienka warstwa białego puchu osiadła na trawie wokół niej. Dallas wygramolił się z wozu i otrząsnął ze śniegu.

- Ta Islandia, uch! Co za pogodę mają tam w październiku.

- Możesz sobie darować komunikat o pogodzie - przerwał mu Barney. - Co z Ottarem?

Dotarł bez przeszkód?

- Wszystko w porządku. Okręt stoi, wyciągnięty na czas zimy na brzeg, a gdy odjeżdża-liśmy, Ottar razem ze swoim wujem właśnie pogrązał się w pijaństwie, wykończając gorzałę, którą przywieźliśmy. Musieliśmy tam na niego czekać, przez pewien czas wydawało nam się, że już wcale się nie pojawi. Profesor musiał kilka razy przeskakiwać w czasie. Zdaje się, że Ottar urządził sobie postój na Faeoreach. Mówiąc między nami - myślę, że w ogóle by nie dotarł do tej Islandii, gdyby nie przygnało go tam pragnienie. Złapał go pan nieźle na te produkty destylacji; domowe napitki są już dla niego za słabe.

Barney odprężył się. Po raz pierwszy od długiego, długiego czasu napięcie zelżało.

Udało mu się nawet ułożyć usta w coś w rodzaju słabiutkiego uśmiechu.

- Dobra. A teraz, dopóki zostało nam jeszcze trochę dnia, niech całe towarzystwo się pakuje.

Wdrapał się na platforma i stąpając ostrożnie po śladach opon jeepa by nie nabrać do butów topniejącego śniegu, otworzył drzwi kabiny kontrolnej.

- Ma pan dość pary na następną wycieczkę? - zapytał profesora.

- Tak, kiedy generator spalinowy jest w ruchu, akumulatory ładują się bez przerwy. To duży postęp.

- Skoro tak, to niech pan nas zabierze do przyszłej wiosny, wiosny roku 1005. Proszę lądować na Nowej Fundlandii, w jednym z tych miejsc, które przebadał pan z Lynnem kiedy szukaliście śladów osadnictwa Wikingów.

- Znam takie miejsce. Idealny punkt - oznajmił profesor Hewett kartkując notes, po czym wyskalował aparaturę i uruchomił Vremiatron. Raz jeszcze pojawiły się znajome doznania, towarzyszące przemieszczaniu się w czasie. Po chwili platforma osiadła na jakimś kamienistym wybrzeżu. Fale morskie załamywały się niemal tuż nad ich głowami; chmury piany z sykiem opadały na śnieg. Wysoki, stromy brzeg majaczył nad nimi we mgle - poszar-pany i wrogli.

- Jak pan to nazywa? - Barneyowi udało się przekrzyczeć łoskot załamujących się fal.

- Błędne koordynaty - odrzyknął profesor. - Drobną pomyłką. To zupełnie inne miejsce.

- Nigdy bym się nie domyślił. Wiejmy stąd, zanim nas spłucze do morza.

Drugi skok w czasie przeniósł ich na trawiastą łąkę, okalającą niewielką zatokę. Zwarte szeregi drzew pokrywały okoliczne zbocza wzgórz. Kręty, krystalicznie czysty strumień wił się rześko, spływając w kierunku morza.

- To już lepiej. Jens, gdzie jesteśmy? - spytał Barney, gdy wyszli z jeepa.

Jens Lynn rozejrzał się, wciągnął głęboko powietrze. Twarz rozjaśnił mu uśmiech.

- Pamiętam dobrze. To pierwsze z miejsc, które przebadaliśmy. Epaves Bay, dokładnie na łuku Sacred Bay - najbardziej na północ wysunięta część Nowej Fundlandii. Tuż obok biegnie cieśnina Belle Isle - Zaczęliśmy od tego miejsca dlatego, że...

- Świetnie - przerwał mu Barney. - Wygląda tak, jak sobie tego życzyliśmy. Nie jest to przypadkiem cieśnina, na którą nastawiliśmy aparaturę Ottara?

- Dokładnie ta sama.

- A zatem jest to dla nas wymarzone miejsce. - Barney schylił się, zaczerpnął pełną garść rozmiękłego śniegu z platformy i zaczął lepić z niego kulę. - Teren poniżej, przy ujściu strumienia zostawimy Ottarowi, my rozbijemy się nad nimi, na prawo stąd, w najwyższym punkcie łąki. Wygląda ona na wystarczająco wielką, by pomieścić cały dwudziesty wiek poza zasięgiem kamery. Wracamy. Musimy przenieść obóz. I uprzątnijcie tą breję z platformy - nie chcę, by ktoś złamał sobie nogę.

Dallas pochylił się, by zawiązać sznurowadło. Cel, który w ten sposób stworzył z samego siebie był pokusą nie do odparcia - Barney cisnąc śnieżną kulą prosto w środek wypiętego drelichu spodni.

- Przybyliśmy, Wikingowie! - krzyknął radośnie. - Nuże zasiedlać Winland!

XIII

Cały świat stał się szary i milczący; zewsząd waliło się na nich niemal fizycznie odczuwalne przygnębienie. Mgła opatulila wszystko, roztopiły się w niej dźwięki, a wzrok tonął do tego stopnia, że dopóki niska fala na rozbiła się bezszelestnie o brzeg tuż przed ich stopami, nie zdawali sobie praktycznie sprawy z istnienia oceanu. Ciężarówka, stojąca od nich nie dalej niż dziesięć stóp, była jedynie niewyraźnym konturem we mgle.

- Spróbuj jeszcze raz - polecił Barney, kątem oka wpatrując się w niemą ścianę skłębionej pustki. Dallas, okutany w smoliście czarne poncho, z twarzą osłoniętą szerokim rondem kowbojskiego kapelusza, wydobyl skądś butlę z płynnym dwutlenkiem węgla, do której przy-mocowana była syrena przeciwmgłowa i odkręcił zawór. Jękliwe wycie przetoczyło się nad wodą, dźwięcząc w uszach jeszcze przez jakiś czas po zamknięciu dopływu gazu.

- Słyszałeś? - spytał Barney.

- Dallas pochylił głowę i nasłuchiwał chwilę.

- Nie. Tylko fale - odparł.

- Mógłbym przysiąc, że słyszałem plusk; zupełnie jakby ktoś wiosłował. Zatrąb jeszcze raz, powtarzaj sygnał co minutę, a w przerwach nasłuchuj.

Syrena ryknęła ponownie. Barney odchylił zasłonę pokrytej brezentem ciężarówki i zajrzał do środka.

- Coś nowego? - spytał.

Amory Blestead, nie odrywając się od radiostacji, pokręcił przecząco głową. Ze słuchawkami na uszach obracał powoli zamontowaną na dachu wozu anteną pelengatora. Obracała się to w jedną, to w drugą stronę. Amory spojrział i stuknął palcem w tarczę.

- Mogę tylko stwierdzić, że okręt stoi w miejscu. Położenie jest wciąż takie same. Prawdopodobnie czekają, aż skończy się mgła.

- Jak daleko stąd są teraz?

- Barney, bądź rozsądny. Powtarzałem ci setki razy, że za pomocą tej aparatury mogę określić kierunek, ale nie odległość. Siła sygnału w odbiorniku nic mi nie mówi. Może mila, może pięćdziesiąt. Sygnał jest wyraźniejszy niż trzy dni temu, kiedy złapałem go po raz pierwszy. Oznacza to, że są bliżej, ale to wszystko, co wiem. Nie wyliczę odległości na podstawie zmian położenia, za dużo zmiennych. Jeździmy ciągle tam i z powrotem, tak że nie mogę użyć szybkościomierza ciężarówki jako podstawy do obliczeń, poza tym oni także musieli jakoś się poruszać.

- Dobijasz mnie. Ciągłe gadasz o tym, czego nie możesz zrobić. A co w takim razie potrafisz?

- To samo, co wcześniej. Statek wypłynął z Grenlandii osiemnaście dni temu. Ustawi-

łem żyrokompas na cieśninę Belle Isle, wymieniłem baterie, włączyłem i sprawdziłem nadajnik obserwowaliśmy ich wypłynięcie.

- Ty i Lynn mówiliście, że taka przeprawa trwa zaledwie cztery dni - Barney nerwowo obgryzał paznokcie.

- Mówiliśmy, że m o ż e trwać tylko cztery dni, ale jeśli zepsuje się pogoda, zmieni wiatr albo stanie się coś innego w tym rodzaju - podróż może zająć znacznie więcej czasu. I zajęła. Ale odebraliśmy przecież ich sygnały, co oznacza, że dopłynęli szczęśliwie.

- To samo mówiłeś dwa dni temu - i co zrobiłeś przez ten czas?

- Powiem ci jak staremu przyjacielowi, Barney. Ta podróż w czasie nic ci nie pomogła.

Jesteśmy tu po to, aby kręcić film, pamiętaj o tym. Cała reszta roboty pozostaje zupełnie poza zakresem naszych obowiązków - nie myśl zresztą, że ktoś się skarży. Ale, na litość boską, uspokój się wreszcie, ułatwisz wtedy życie nam wszystkim. Sobie również.

- Masz rację, masz rację - odparł Barney i było to najbliższe przeprosin ze wszystkiego, co dotychczas w życiu powiedział. - Ale dwa dni! Oczekiwanie jest nie do zniesienia.

- Nie ma żadnych powodów do obaw. W czasie takiej mgły, bez wiatru, zakotwiczeni przy nieznanym brzegu nie mogą się przecież ruszyć. Nie ma żadnego sensu pętać się tu i tam bez bladego pojęcia dokąd się płynie. W tym momencie, zgodnie z pelengatorem, jesteśmy tak blisko nich, jak tylko jest to możliwe bez opuszczania stałego lądu. Gdy tylko mgła się zwieje wprowadzimy ich do zatoki...

- Hej ! Słyszę coś. Niedaleko stąd, na wodzie - z plaży dobiegi głos Dallasa.

Barney rzucił się jak opętany w stronę plaży. Dallas stał z ręką przytkniętą do ucha i nasłuchiwał uważnie.

- Cisza - powiedział. - Słyszycie coś? O tam, we mgle. Założę się, że słyszałem plusk wody, jakby wiosłowanie i odgłosy rozmowy.

Fala załamała się na brzegu i odpłynęła. Przez chwilę panowała martwa cisza - po czym dał się słyszeć wyraźny plusk wiosła.

- Masz rację - krzyknął Barney, po czym podniósł głos jeszcze wyżej. - Tutaj... W tę stronę!

Dallas wrzeszczał również, zapominając o syrenie. We mgle unoszącej się nad wodą zamajaczył ciemny cień.

- To łódź. Jedna z tych, jakie mają na pokładzie - stwierdził Dallas.

Wciąż jeszcze krzyczeli i wymachiwali rękami, kiedy nagły podmuch wiatru rozwiał

mgłę i zarówno łódź, jak i jej pasażerowie ukazyli się im w całej okazałości. Czółno zbudowane było z jakichś ciemnych skór, a siedzący w nim mężczyźni ubrani byli w futrzane kurtki. Odrzucone do tyłu kaptury odsłaniały ich długie, czarne włosy.

- To nie Wikingowie - Dallas machał ręką tak intensywnie, że jego ponczo powiewało jak sztandar. - A jeżeli nie, to kim oni są?

Gdy rozważał tę kwestię, dwaj mężczyźni w tyle czółna zanurzyli głęboko w wodę krótkie wiosła o obłych piórach, a trzeci, klęczący na dziobie, wyrzucił ramię do przodu i coś przecięło powietrze lecąc w kierunku Dallasa.

- Trafili mnie - wrzasnął Dallas i padł na wznak. Z jego piersi sterczała włócznia. Syrena przeciwmgłowa upadła na piasek tuż obok, zawór otworzył się i donośny ryk rozległ się nad zamglonym morzem. Mężczyźni w łodzi zaczęli energicznie wiosłować i po kilku silnych ruchach zniknęli z powrotem we mgle. Upłynęło zaledwie kilka sekund. Barney stał w bezruchu, skamieniały z wrażenia. Fala dźwięków, wydawanych przez syrenę odebrała mu zdolność rozumowania; musiał ją wyłączyć zanim odwrócił się do Dallasa, który ciągle leżał nie-ruchomo na plecach. Wyglądało, że jest martwy jak kamień.

- Może wyciągnie pan ze mnie to świństwo - odezwał się wreszcie słabym głosem

- Zranię cię... mogę cię zabić... nie dam rady.

- Nie jest tak źle, jak na to wygląda. Ale, dla pewności, ma to pan w y c i ą g n ą ć, a nie w e p c h n ą ć.

Barney szarpnął ostrożnie drewniane stylisko włóczni. Wychodziła stosunkowo łatwo, ale wplątała się w ubranie Dallasa tak, że w końcu był zmuszony przydepnąć go nogą i pocią-

gnąć ze wszystkich się oburącz. Poddała się wreszcie ciągnąc za sobą pas wystrzępionych łachmanów, które kiedyś stanowiły poncho. Dallas usiadł, rozchylił je, rozerwał znajdującą się pod spodem marynarkę i koszulę.

- Spójrz - wskazał na czerwoną szramę biegnącą wzdłuż żeber. - Jeszcze dwa cale w prawo i przedziurawiliby mnie na wylot. Właśnie ten haczyk wbijał się we mnie, gdy się poruszałem.

Dotknął ostrej krawędzi haka sterczącego z ostrza włóczni.

- Co się stało? Co to znaczy? - krzyczał Amory zbiegając po zboczu od strony cięża-rówki. - Przecież to była łódź.

Dallas wstał i włożył z powrotem koszulę w spodnie.

- Skontaktowaliśmy się z tubylcami. Wyglądają jak Indianie albo Eskimosi, albo jeszcze jacyś inni, którzy przybyli tu przed Wikingami.

- Jesteś ciężko ranny?

- Niezupełnie. Najwyraźniej moje imię nie było wypisane na tej dzidzie - zachichotał

Dallas i przyjrzał się uważnie włóczni. - Kawał niezłej roboty - i dobrze wyważona.

- Nie lubię takich przedmiotów - stwierdził Barney, wygrzebując z paczki rozmiękłego papierosa. - Czy nie miałem dość zmartwień do tej pory? Nie chciałbym, żeby natknęli się na Wikingów.

- A ja bym chciał - odrzekł mściwie Dallas. - Nie sądzę, by sprawili wiele kłopotów Ottarowi.

- Chciałem wam powiedzieć, że mgła się przeciera i wychodzi słońce - dorzucił Amory.

- Widać to wyraźnie z góry, z ciężarówki.

- Najwyższy czas - odparł Barney, zaciągając się papierosem tak głęboko, że ten za-skwierczał nagle i sypnął iskrami.

W tej chwili zaświeciło słońce. Mgła rozwiewała się szybko, pędzona silnym, zachodnim wiatrem, wiejącym im prosto w twarz. W ciągu pół godziny rozproszyła się zupełnie i ich oczom ukazał się zakotwiczony o milę od brzegu knorr Ottara.

Barney niemal się uśmiechnął.

- Zatrąb no który w ich kierunku, może zauważą ciężarówkę.

Dallas odkręcił zawór butli z dwutlenkiem węgla i nie zakręcał go tak długo, aż syrena wydała ostatni jęk i zamilkła. Najwyraźniej odniosło to pożądany skutek. Wielki żagiel załopotał na maszcie, a przed dziobem okrętu pojawiły się białe rozbryzgi piany. Nigdzie jednak nie widać było skórzanego czółna, które znikło równie nagle, jak się pojawiło. O kilka jardów od brzegu knorr zwolnił i wykonał zwrot, żagiel załopotał i zwiśł bezwładnie, poruszany nieznacznie delikatnymi podmuchami wiatru. Dziesiątki rąk machały do nich z pokładu, wiatr przynosił niezrozumiałe z tej odległości okrzyki.

- Płyńcie tu - wrzeszczał Barney. - Do brzegu! Czemu nie lądujecie?

- Muszą mieć swoje powody - powiedział Amory. - Nie podoba im się brzeg w tym miejscu albo coś w tym rodzaju.

- No dobrze, ale w jaki sposób, ich zdaniem, mam się dostać na statek? - spytał Barney.

- Niech pan spróbuje wpływ - zasugerował Dallas.

- Mądrała. Może to ty powinieneś potaplać się do nich i przekazać im kilka informacji.

- Spójrzcie - pokazał ręką Amory - mają na pokładzie drugą łódź.

Stara łódź knorra - dwudziestostopowa miniatura okrętu macierzystego była wciąż widoczna na pokładzie, lecz obok niej spoczywała druga, mniejsza, przewrócona na burtę.

- Ta krypa wściekle mi coś przypomina - mruknął Dallas.

Barney rzucił na nią okiem.

- Masz cholerną rację. Wygląda dokładnie jak ta, którą mieli nasi czerwonoskórzy.

Dwóch Wikingów weszło do rozhuśtanej łodzi i zaczęło wiosłować w stronę brzegu.

Pochylony Ottar wymachiwał w ich kierunku wiosłem, a w kilka chwil później on i jego towarzysze wyskoczyli ze skórzanego czółna i rozbryzgując wodę ruszyli w stronę plaży.

- Witamy w Winlandzie. Jak podróż? - spytał Barney.

- Brzeg tutaj niedobry. Nie ma trawy dla zwierząt. Drzewa niedobre - odpowiedział

Ottar. - Znalazłeś jakieś lepsze miejsce?

- Wyśmienite. Parę mil dalej wzdłuż wybrzeża; dokładnie takie, o jakie prosiłeś. Mieliście jakieś kłopoty w drodze z Grenlandii?

- Wiatr ze złej strony, bardzo słaby. Pełno kry. Foki. I zobaczyliśmy dwóch skraellingów *. Zabijali foki. Próbowali odpłynąć, ale ruszyliśmy za nimi. Cisnęli w nas włócznie.

Wtedy ich zabiliśmy. Foki zjedliśmy. Łódź zabraliśmy.

- Wiem, kogo masz na myśli. Przed chwilą spotkaliśmy kilku ich krewnych.

- Gdzie jest to dobre miejsce, które znalazłeś?

- Prosto wzdłuż brzegu, za przylądkiem - trafisz na pewno. A zresztą zabierz na pokład Amory'ego. On pokaże ci dokładnie.

- Tylko nie ja - Amory podniósł ręce i zaczął się cofać. - Robię się zielony na sam widok łodzi. Wszystko przekręci się we mnie i umrę w trzy minuty po opuszczeniu lądu.

Zanim spoczął na nim wzrok Barneya, Dallas z wrodzoną żołnierzom umiejętnością unikania nieprzyjemnych obowiązków zdążył wycofać się już do połowy wzgórza.

- Jestem kierowcą - wyjaśnił. - Zaczekam w samochodzie.

- Oto moi współpracownicy! Szczerzy, lojalni i wierni - głos Barneya zabrzmiał chłodno. - W porządku. Amory, powiedz temu kierowcy, by pojechał do obozu. My przyplyniemy okrętem; najszybciej jak tylko będziemy mogli. Wysadzimy ludzi Ottara na brzeg i może wreszcie znów zaczniemy pracować nad filmem. Obudź Gino, niech się usadowi na szczycie pagórka, w miejscu które wybraliśmy i niech kręci przybycie statku. I jeszcze jedno - niech ktoś zatrze ślady opon samochodowych na plaży.

- Dobrze, Barney, będzie jak mówisz. Słuchaj, naprawdę chciałbym cię zastąpić, ale ja i okręty...

- Dobrze już. Odejdź...

Barney, idąc do łodzi, przemókł do suchej nitki. Woda była tak zimna, że wydawało mu się, jakby ktoś amputował mu obydwie nogi mniej więcej do kolan. Czólno - w istocie kilka skór foczych naciągniętych na drewniany szkielet - było chwiejne i podskakiwało na falach jak ogromna pchła. By utrzymać równowagę Barney musiał kucnąć na dnie łodzi i mocno chwycić się burt obiema rękami. Gdy dopłynęli do knorra, nie był w stanie wyjść o własnych siłach z umykającej mu spod stóp łódki i wspiać się na wysoką burtę okrętu. Wreszcie wycią-

gnęły się poń jakieś silne dłonie i wtaszczyły go na pokład jak wór z mąką.

- Hananu. Soustu handartokin ** - zawołał Ottar.

Załoga odpowiedziała mu radosnym wyciem i rzuciła się, by przygotować okręt do ostatniego etapu podróży. Barney, chcąc uniknąć stratowania w czasie tej gorączkowej krzątaniny, wycofał się na rufę. Żeglarze zakładali beity rozpędzając przy tym na wszystkie strony kobiety, które pierzchały z piskiem. Zwierzęta, kopane co chwilę, donośnym rykiem wyrażały swój protest. Cały ten zatłoczony pokład, z porozwłóczonymi wszędzie, na wpół otwartymi

* Barbarzyńcy. Termin używany zwłaszcza w odniesieniu do mieszkańców Grenlandii i Ameryki Północnej.

** No dalej! Jeszcze ostatni wysięk!

pakami żywności i wylęknionym bydłem przypominał zgiełkiwe podwórze. W samym środku tego rozgardiaszu jedna z kobiet przykucnęła i zaczęła doić krowę do drewnianego sko-pka. Gdy statek obrócił się, wiatr przygnał w kierunku Barneya odór pomyj, przez co skoja-rzenie z gumnem stało się jeszcze bardziej natrętne. Jednak skoro tylko ruszyli, wszystko powoli wróciło do normy i nawet zwierzęta zajęły się spokojnie swą paszą. Rześki wiatr nie tylko wypełnił żagiel, ale rozwiał także dobywający się z pokładu fetor. Powietrze na rufie stało się świeże i czyste. Dziób statku pruł długie fale. Spieniona woda z sykiem przemykała wzdłuż burt. Knorr, pędzony po morzu lekko jak piórko, był rzeczywiście wspaniałym, pra-ktycznym i w każdym calu dobrze pomyślanym statkiem.

- Łąd wygląda dobrze - stwierdził Ottar, lekko popychając rudel i wskazał wolną ręką zbliżający się brzeg, na którym widać było wylaniające się wysokie drzewa i skrawki łąki.

- Poczekaj, aż opłyniemy przylądek - odparł Barney. - Tam jest jeszcze ładniej.

Mijali właśnie leżącą u wylotu zatoki wyspę, gdy zwierzęta poczuły aromat świeżej trawy i wszczęły hałas. Spętany i przytroczony do burty byk szarpnął trzymającym go łańcu-chem i zaryczał donośnie. Kobiety krzyczały z radości. Mężczyźni zaintonowali jakąś pieśń.

Podróż zbliżała się do końca, lądowanie zapowiadało się pomyślnie. Nawet Barney odczuł

coś w rodzaju radosnego podniecenia, gdy otworzył się przed nim widok na Epaves Bay, na wysokie

drzewa, sięgające ze wzgórz aż po błękit nieba i na wiosenną zielen trawy, pokrywa-jącej łąkę po obydwu brzegach strumienia. Ciemna sylwetka kamerzysty i stojący na wzgórzu jeep przypomniały mu jednak o filmie. Skulił się za burtą i starał się pozostać poza zasięgiem kamery dopóki nie włożył na głowę rogatego, normańskiego hełmu, który wisiał przywiązany rzemieniem do jednej z wystających belek. Dopiero wtedy uniósł się na tyle, by móc być dostrzeżonym z brzegu.

Ottar wprowadził sunący całą szybkością okręt do ujścia strumienia, a wszyscy na pokładzie pokrzykiwali głośno z emocji. Knorr zazgrzytał o piaszczyste łóżce rzeczki, wzniósł

się na fali, posunął jeszcze trochę do przodu, ponownie dosięgnął dna i z drzeniem kadłuba stanął. Nie troszcząc się nawet o to, by opuścić żagiel, cała załoga i pasażerowie wyskoczyli na brzeg, śmiejąc się z radości i brnąc przez strumień ku okalającej go łące. Ottar zerwał pe-

łną garść wysokiej po kolana trawy, powąchał ją, po czym rozgryzł kilka pędów. Inni tarzali się po ziemi doznając niewysłowionej wręcz rozkoszy przebywania na stałym lądzie po wielu dniach spędzonych na pokładzie statku.

- Wspaniałe! - wrzeszczał Barney. - Absolutnie wspaniałe! Lądowanie w Winlandzie po wielu miesiącach na morzu - pierwsi osadnicy w Nowym Świecie! Cudowne zdjęcia! Wielkie, historyczne zdjęcia!

Przepchnął się pomiędzy podnieconymi zwierzętami i wdrapał na rufę, skąd zaczął machać w kierunku kamery w zapraszającym geście.

- Wystarczy! - krzyknął. - Chodźcie tutaj.

Stał za daleko, by mogli go usłyszeć, lecz wymowa gestów była jednoznaczna. Gino uniósł się zza kamery i machnął ręką w jego stronę, po czym zaczął pakować sprzęt do jeepa.

W parę minut później samochód pędził już po piaszczystym brzegu. Barney zeskoczył z pokładu i wybiegł mu na spotkanie.

- Zatrzymaj się - krzyknął do siedzącego za kierownicą Dallasa. - Wykręć i ustaw się na brzegu tutaj, dokładnie naprzeciw strumienia. Ty, Gino, ustaw kamerę na dachu, tak, byś mógł sfilmować wszystko od czoła. Ładujący statek, ludzi biegnących wprost na kamerę i rozbiegających się potem na boki.

- Absolutnie rewelacyjne zdjęcia - powiedział Gino. - Sposób w jaki opuszczali statek!

Daj mi dziesięć minut.

- Masz je! Zresztą ustawienie ich z powrotem do zdjęć potrwa znacznie dłużej. Stój! -

zatrzymał Dallasa, który zamierzał właśnie zawrócić jeepa. - Potrzebna mi twoja butelka.

- Jaka butelka? - szeroko otwarte oczy Dallasa wyrażały dziewiczą niewinność.

- Ta, którą masz zawsze przy sobie, dawaj ją. To tylko pożyczka, zwrócę ci ją później.

Kaskader z wyraźną niechęcią wydobył spod siedzenia opróżnioną w jednej czwartej butelkę whisky z czarną nalepką.

- No tak - stwierdził Barney lodowato. - Dobrałeś się do moich prywatnych zapasów.

- Tylko przez przypadek. Skończyła mi się... odkupię...

- A ja myślałem, że mam jedyny klucz do tego towaru. Oto czego uczy ludzi wojsko.

Zjeżdżaj!

Wsunął butelkę do kieszeni marynarki i ruszył w stronę Ottara, który klęczał nad strumieniem i siorbał wodę ze złożonych w kubek dłoni.

- Każ im wracać z powrotem na pokład - zaproponował mu Barney. - Chcemy nakręcić lądowanie jeszcze raz. Z bliska.

Ottar spojrział na niego, w osłupieniu zamrugał oczami i wierzchem dłoni otarł wodę spływającą po długiej brodzie.

- O czym mówisz, Barney? Każdy szczęśliwy, że jest w powrotem na lądzie. Nie zechcą wracać na statek.

- Zechcą, jeżeli im tak każesz.

- Dlaczego mam im tak kazać? Głupi pomysł.

- Rozkażesz im, ponieważ znowu jesteś w pracy. Tu jest trochę wynagrodzenia - podał

butelkę Ottarowi, który uśmiechnął się szeroko i uniósł ją do ust.

W trakcie picia Barneyowi udało się przekonać go ostatecznie. Zapędzenie wszystkich z powrotem na statek nie było zadaniem prostym, nawet dla Ottara. W końcu stracił on panowanie nad sobą - co zresztą przychodziło mu bez większego trudu - ciosem w pierś powalił na piasek jednego z oponentów, po czym kopniakami skierował we właściwym kierunku dwie stojące najbliżej kobiety. Po tych zabiegach, aczkolwiek nie bez mamrotania pod nosem i głośnych skarg, reszta wdrapała się na pokład i poczęła wyciągać wiosła z dulek. Wysiłki, włożone w spuszczenie knorra na otwartą wodę, uśmierzyły resztki tłącego się buntu.

Gdy tylko wyładowano kamerę, Barney pchnął galopem samochód z powrotem do obozu. Jeep wrócił, zanim statek zdążył wykonać zwrot i postawić główny żagiel. Tylnie siedzenie wozu wypełnione było po brzegi kartonami piwa, skrzynkami sera i puszkowaną szynką.

- Wywał to jakieś dziesięć jardów za kamerą - nakazał Barney - i ułóż na kupę, dość wysoką, by była widoczna ze statku. Otwórz szynkę, żeby wiedzieli co to jest i daj mi jedną puszkę szynki i piwo.

- Nadpływają - dobiegi go głos Gina. - Niebywałe! Absolutnie fantastyczne!

Wielki, prostokątny żagiel unosił się niemal nad knorrem, który z pełną szybkością pruł

wody zatoki i wśród rozbryzgów spienionych fal sterował prosto ku ujściu strumienia. Barney nie był zupełnie pewien czy entuzjazm żeglarzy utrzyma się również podczas drugiego lądowania, zdecydowany był jednak nie zaprzepaścić żadnej szans.

- Ol! - wrzasnął, wkładając w ten okrzyk całą siłę płuc. - Svinakjot, ol ok ostr! *

Zrozumieli. Po prawie trzech tygodniach życia o suchym prowiancie - sucharach i solonej rybie ryknęli z entuzjazmu. Ich reakcja była równie dobra, a może nawet lepsza niż za pierwszym razem. Walczyli, by wydostać się na brzeg, tratowali się wzajem na mieliźnie i gnali na wyścigi w kierunku kamery, by dorwać się do jedzenia i picia.

- Stop! - polecił Barney. - Ale nie odchodź, Gino. Chciałbym nakręcić wyładunek by-dła, kiedy już się napchają do syta.

Pojawił się Ottar z nadgryzioną do połowy szynką w jednej dłoni i butelką w drugiej.

- Jak sądzisz, nadaje się to na wasze obozowisko? - zagadnął go Barney.

Ottar rozejrzał się naokoło i przytaknął uszczęśliwiony.

- Dobra trawa. Dobra woda. Pełno drewna na opał przy brzegu, pełno drzew o twardym

* Piwo!... Szynka, piwo i ser!

drewnie na wzgórzach. Do ścinania. Ryby, polowanie. To dobre miejsce! Gdzie jest Gudrid?

Gdzie reszta?

- Mają wolny dzień. Na Starej Katalinie. Płatny wolny dzień, z wielkim party, piknikiem i wszystkimi innymi przyjemnościami.

- Dlaczego party?

- Dlatego, że jestem wspaniałomyślny i lubię, gdy ludzie się cieszą; dlatego że nie mieliśmy tu nic do roboty przed waszym przybyciem i dlatego, że tak jest taniej. Czekałem tu z podstawową ekipą przez trzy tygodnie - cała reszta, ci co są na party, wyjechali tam tylko na jeden dzień.

- Chcę widzieć Gudrid!

- Masz na myśli Slithey. Myślę, że ona również pragnie cię ujrzeć.

- Minęło wiele czasu...

- Jesteś zwolennikiem niewyszukanych przyjemności, Ottarze. Dokończ najpierw szynkę, a potem staraj się zapamiętać ten historyczny moment. Przybyłeś właśnie do Nowego Świata.

- Zgrywasz się, Barney. Ten świat jest tak samo stary, po prostu to jest Winland.

Wygląda, że są tu nieźle drzewa.

- Zapamiętam te wiekopomne słowa - rzekł Barney.

XIV

- Nie czuję się dziś najlepiej - stwierdziła Slithey, rozluźniając złocistą klamrę paska. -

To musi mieć jakiś związek z tutejszym powietrzem. Może klimat, albo co?

Coś w tym guście - w głosie Barneya nie było ani cienia sympatii. - Chyba powietrze, bo oczywiście nie może to mieć nic wspólnego z tym szaleńczym wikińskim piknikiem wczoraj na plaży, ze smażonymi ostrygami, paleniem ogniska i sześcioma beczkami piwa, które przy okazji wypito.

Jedyną odpowiedzią było pogłębienie się zielonkawego odcienia zazwyczaj mleczno-białej cery i brzoskwińowych policzków Slithey. Barney wytrząsnął na drżącą dłoń dwie kolejne pigułki i podał je aktorce.

- Połknij je, zaraz przyniosę ci szklankę wody.

- Za dużo tego. Nie dam rady ich przełknąć - odparła słabym głosem.

- Dobrze ci radzę, mamy cały dzień zdjęć przed sobą. To gwarantowana kuracja doktora Hendricksona dla wszystkich skacowanych. Aspiryna na ból głowy. Dramamina na mdłości.

Soda oczyszczona na zgagę. Benzedryna na stany lękowe i dwie szklanki wody na złagodzenie stanu odwodnienia organizmu. Nigdy nie zawodzi.

Slithey faszerowała się właśnie kapsułkami, gdy do drzwi przyczepy zapukała sekretarka Barneya. Poprosił ją do środka.

- Wyglądasz dziś kwitnąco, Betty - zauważył.

- Mam uczulenie na ostrygi i dlatego wcześniej poszłam spać.

W rękę trzymała dzienny rozkład zajęć.

- Mam pytanie do pana - szybko przesunęła palcem po poszczególnych pozycjach spisu.

- Aktorzy w porządku... dublerzy OK... obsługa kamer także... technicy. O właśnie. Technicy pytają, czy potrzebna będzie panu krew i sztylety z wchodzącym do rękojeści ostrzem?

- Oczywiście, że tak: Przecież nie kręcimy poranku dla przedszkolaków. - Wstał i założył marynarkę. - Idziemy, Slithey.

- Przyjdę na plan za dziesięć minut - odrzekła ledwo dosłyszalnym głosem.

- Dobrze, ale nie później. Grasz w pierwszej scenie.

Był pogodny, słoneczny poranek. Słońce wyszło właśnie zza pasma wzgórz i sklecone z długich bali

szopy z pokrytymi brzożową korą przybudówkami rzucały długie cienie na łąkę.

Osadnicy normańscy najwidoczniej byli zajęci - z dziury w kalenicy największego budynku prosto w niebo ulatywała smuga niebieskawego dymu.

- Mam nadzieję, że Ottar jest w lepszej formie niż jego partnerka - rzekł Barney patrząc na przeciwległy brzeg zatoki. - Betty, spójrz tam, po lewej stronie wyspy... to skały, czy motorówka?

- Nie wzięłam okularów...

- To chyba motorówka, patrz, nadpływa. No, najwyższy już czas, żeby zdecydowali się wrócić.

Barney zbiegał długimi susami w dół zbocza i Betty chcąc dotrzymać mu kroku musiała puścić się za nim galopem, omijając stado przeżuwających krów. Łódź była teraz zupełnie dobrze widoczna. Nad wodą niósł się słaby terkot silnika. Większość ekipy stała przy brzegu opodal knorra. Gino montował kamera.

- Wygląda na to, że wracają nasi badacze - zawołał do Barneya i wskazał ręką na morze.

- Zauważyłem i zatroszczę się o to osobiście. Reszta niech zajmie miejsca na planie.

Kręcimy tę scenę jak tylko skończę z nimi rozmawiać.

Barney oczekiwał na zbliżającą się łódź niemal na samej granicy fal. Na rufie Tex sterował za pomocą przyczepnego silnika, a Jens Lynn usadowił się naprzeciw niego. Obaj męż-

czyźni byli solidnie zarośnięci i wyglądali na mocno ze sobą skłóconych.

- No i co? Jakie wieści? - zapytał Barney, zanim jeszcze łódź dobiła do brzegu.

Lynn pokręcił głową z niczym nieporównywalnym, skandynawskim smutkiem.

- Nic - odparł. - Nic wzdłuż całego wybrzeża. Dopłynęliśmy tak daleko, jak nam na to pozwalał zapas paliwa i nie znaleźliśmy niczego!

- Niemożliwe! Widziałem tych Indian na własne oczy, a Ottar nawet zabił dwóch innych. Muszą być gdzieś w okolicy!

Lynn wyszedł na brzeg i przeciągnął się.

- Byłem zainteresowany ich odnalezieniem w równym stopniu co pan. To byłaby niepowtarzalna okazja do badań. Konstrukcja ich łodzi i ornamenty na ostrzu włóczni nasunęły mi przypuszczenie, że są to przedstawiciele prawie nieznannej nauce kultury Cape Dorset. Wiemy o nich stosunkowo niewiele, zaledwie kilka mało znaczących informacji, wynikających z badań archeologicznych. O ile można stwierdzić, ostatni jej przedstawiciele wymarli gdzieś z końcem tego, to znaczy, jedenastego stulecia...

- Nie interesuje mnie pańska niepowtarzalna szansa przeprowadzenia obserwacji naukowych interesuje mnie moja niepowtarzalna szansa ukończenia tego filmu. Potrzebujemy Indian! Gdzie oni są? Musieliście chyba natknąć się na jakieś ślady?

- Odkryliśmy kilka obozowisk na wybrzeżu, ale były opuszczone. Ludzie kultury Cape Dorset to koczownicy, zmieniają swoje siedziby, posuwając się w ślad za stadami fok i ławicami dorszy. Przypuszczam, że o tej porze roku przenieśli się nieco dalej na północ.

Tex przewrócił łódź dnem do góry i usiadł na niej.

- Nie chcę uczyć doktora jego fachu ale... - zaczął.

- To zabobony, przesady - warknął Lynn.

Tex chrząknął i splunął do wody. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że doszło między

nimi do ostrej wymiany zdań. Tex potarł zarośnięty czarną szczecina policzek i nie bez wahania zaczął:

- Tak na oko, Barney, doktor ma rację. Rzeczywiście nie odnaleźliśmy nikogo ani niczego, jeśli nie liczyć kilku starych obozowisk i paru kup foczych kości. Ale mimo to, wydaje mi się, że oni są gdzieś w okolicy i że obserwowali nas przez cały czas wyprawy. To nie jest wcale takie trudne. Ten cholerny silnik od kosiarki - wskazał motor łodzi - słychać na odległość pięciu mil. Jeżeli oni, jak utrzymuje doktor, są łowcami fok, mogli przyczołgać się gdzieś w ukryciu, kiedy zauważyli, że się zbliżamy. Dlatego ich nie zobaczyliśmy. Ale jestem pewien, że gdzieś tu są.

- Masz jakieś dowody na poparcie tego, co mówisz? - spytał Barney.

Tex zrobił nieszczęśliwą minę i zasępił się.

- Nie mam ochoty na to, by ktokolwiek wyśmiewał się ze mnie - odburknął agresywnie.

Barney przypomniał sobie, że Tex zarabiał niegdyś na życie jako instruktor walki wręcz.

- Tex, wyśmiewać się z ciebie, to jedyna rzecz jakiej na pewno nigdy w życiu nie spróbuję - odparł szczerze.

- No dobrze... to jest coś takiego... Czuliśmy to w dżungli - wrażenie, że ktoś cię obserwuje. W połowie przypadków rzeczywiście tak było. Hałas? Trzask? Znam to uczucie. I miałem je przez cały czas naszego pobytu poza obozem. Oni gdzieś tu są. Gdzieś całkiem niedaleko stąd, jak Boga kocham!

Barney pomyślał nad tym chwilę i z trzaskiem wyłamał stawy w palcach.

- Sądzę, że masz rację, ale naprawdę nie widzę w jaki sposób mogłoby to nam pomóc.

Porozmawiamy jeszcze przy obiedzie, może da się coś wymyślić. Cholernie potrzebujemy tych Indian.

Na planie nic nie szło tak jak należy, co po części było zapewne winą Barneya, który myślami błądził zupełnie gdzie indziej. Cała scena powinna pójść gładko, w większej części akcja była dziecinnie prosta: Orlyg, którego grał Val de Carlo, najlepszy druh i prawa ręka Ottara, kocha się potajemnie w Gudrid, ta zaś nie chce powiedzieć o tym Thorowi, bojąc się możliwych konsekwencji. Uczucie Orlyga staje się jednak na tyle silne, że gdy Gudrid oświadcza mu, iż nie potrafi kochać nikogo poza Thorem, w chwili miłosnego zaślepienia postanawia zabić swego najlepszego towarzysza. Zaczajają się w ukryciu i atakuje nadchodzącego Thora. Ten z początku nie jest w stanie w to uwierzyć, przekonuje się jednak w chwili, gdy Orlyg zadaje mu cios sztyletem w ramię. Wtedy bezbronny Thor walczy z Orlygiem i w końcu zabija go jedyną zdrową ręką.

- W porządku - powiedział Barney czując, że opuszcza go cierpliwość. - Spróbujmy jeszcze raz i byłbym wam niezmiernie wdzięczny, gdybyście tyle razem zagrali to jak należy i pamiętali choć trochę o swoich rolach. Pomijając już wszystko inne, kończy się krew i czyste koszule. Na plan! Orlyg - za okręt! Thor - idziesz od plaży w jego kierunku. Grać! Kamera!

Ottar stąpał ciężko po plaży i przybrał lekko zdziwioną minę, gdy Orlyg rzucił się na niego.

- Ha, Orlygu - rzekł drewnianym głosem. - Cóż tu porabiasz, co to wszystko ma... mikli Odin! * Spójrz!

- Stop! - ryczał Barney. - To nie twoja rola, wiesz lepiej niż...

W momencie, gdy spojrzał na zatokę, w miejsce, na które wskazywał Ottar, słowa zamarły mu na ustach. Zza wyspy wyłaniały się, jedna za drugą, ciemne łodzie, płynące bezgłośnie w stronę obozu.

- Axir, svero! ** - zażądał Ottar, rozglądając się za jakąś bronią.

- Uspokój się - rozkazał mu Barney. - Żadnej broni, żadnych bójek! Musimy przyjąć ich przyjaźnie: O ile tylko będzie to możliwe, znaleźć coś, czym moglibyśmy z nimi pohandlować. To potencjalni statyści. Tex, miej broń w pogotowiu, ale nie wyjmuj jej. W razie kłopotów zajmiesz się tym.

- Z rozkoszą - odparł Tex.

- Ale sam nie zaczynaj. To rozkaz. Gino, masz ich w obiektywie?

* Wielki Odynie!

** Topory, miecze!

- Jak u siebie w domu. A jeżeli ci dwudziestowieczni faceci usuną mi się z pola widzenia, to będę mógł nakręcić całe ich przybycie; lądowanie i resztę.

- Słyszeliście? Usunąć się z planu - krzyczał Barney. - Lynn, niech pan pędzi co sił w nogach do statku. Będzie pan tłumaczył.

- Co? Ani jedno słowo ich języka nie jest znane nauce!

- To się pan naucz! Jest pan tłumaczem - będzie pan tłumaczył. Potrzebna nam biała flaga albo coś w tym rodzaju, żeby przekonać ich o naszym pokojowym nastawieniu.

- Mamy białą tarczę - odezwał się jeden z techników.

- Powinna być dobra. Dajcie ją Ottarowi.

Przy samym brzegu łodzie zwolniły. Było ich dziewięć, w każdej siedziało dwóch lub trzech mężczyzn. Wszyscy uzbrojeni byli we włócznie lub krótkie łuki, nie sprawiali jednak wrażenia szykujących się do ataku. Kilka kobiet normańskich zeszło w kierunku brzegu, chcąc zobaczyć co się dzieje. Ich widok najwyraźniej uspokoił ludzi w łódkach, podплыnęli bowiem bliżej. Jens Lynn pobiegł w ich kierunku, dopinając skórzany kaftan.

- Niech pan z nimi porozmawia - krzyknął za nim Barney. - Ale niech pan stanie za Ottarem, tak żeby wyglądało, jakby to on mówił.

Ludzie kultury Cape Dorset podплыnęli jeszcze bliżej, pokrzykując coś głośno do siebie.

Ich łodzie kołysały się teraz na fali tuż przy brzegu.

- Wychodzi mi na to kupa taśmy - zakomunikował Gino.

- Kręć dalej, później wytniemy to, co nam będzie potrzebne. Cofnij się trochę, będziesz miał ich pod lepszym kątem. O ile w ogóle wylądują. Musimy znaleźć coś, co by ich znęciło.

Może coś na handel?

- Broń i woda ognista - poradził de Carlo. - Tym się handluje z Indianami we wszystkich westernach.

- Żadnej broni. Ci dowcipnisie, gdyby tylko dostali ją do rąk, na pewno domyśliliby się jak jej używać.

Barney rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego i w pewnym momencie dostrzegł róg przyczepy-bufetu, wystający zza największego drewnianego baraku -

siedziby Ottara.

- Mam pomysł - zawołał i pobiegł w tym kierunku. Clyde Rawlston stał oparty o przyczepę i bazgrał coś na kartce papieru,

- Dopisujecie z Charleyem dodatkowe dialogi do scenariusza? - spytał Barney.

- Nie. Doszedłem do wniosku, że pisanie scenariuszy wyraźnie źle wpływa na moją twórczość poetycką. Znowu pracuję w kuchni.

- Zatwardziały artysta! Słuchaj, co masz w bufecie?

- Kawę, herbatę, ciastka, kanapki z serem, to co zwykle.

- Nie sądzę, by czerwonoskórzy byli tym zachwyceni. Nic więcej?

- Lody.

- To może być niezłe. Zapakuj je w kilka tych osmolonych wikińskich garów, a ja zaraz kogoś po nie przyślę. Założę się, że tym facetom pocieknie na ich widok ślinka.

Rzeczywiście lody podziałały. Slithey przyniosła galon waniliowych i postawiła je na brzegu. Obserwowało ją kilku brodzących w wodzie tubylców, wciąż zbyt onieśmiałych, by wyjść na brzeg. Slithey nałożyła im po porcji, po czym zaczęła jeść sama. Trudno stwierdzić, czy sprawiły to lody czy Slithey i jej hormony, dość że po kilku minutach skórzane łodzie zostały wyciągnięte na brzeg, a czarnowłosi autochtoni mieszała się z grupą Normanów. Barney przyglądał się im uważnie zza kamery.

- Wyglądają bardziej na Eskimosów niż na Indian - mruknął do siebie - ale kilka pióro-puszy i barwy wojenne zrobią swoje.

Rzeczywiście, przybysze mieli płaskie twarze i typowy, azjatycki wygląd Eskimosów.

Byli od nich jednak znacznie wyżsi, nieomal równi wzrostem Wikingom i wyglądali na silnych. Spod rozpiętych z powodu upału okryć, składających się ze zszytych skór foczych, wzywały ciała o brunatnej skórze. Rozmawiali między sobą wysokimi głosami, najwidoczniej bardzo ożywieni. Z ogromną ciekawością przypatrywali się nowemu dla siebie otoczeniu - bezpieczne lądowanie rozwiało widać resztki obaw. Z największym zainteresowaniem z ich strony spotkał się Knorr - zdawali sobie sprawę, że jest to coś do pływania, lecz jego rozmiary znacznie przewyższały nie tylko wszystko, co do tej pory widzieli, lecz także wszystko, co byli sobie w stanie wyobrazić.

- Jak panu idzie? Zgodzili się dla nas pracować? - zagadnął Barney Jensa Lynna.

- Czy pan oszalał? Wydaje mi się - nie wiem, czy to do pana dociera - wydaje mi się, że nauczyłem się dwóch wyrazów z ich języka: „Unnah” znaczy prawdopodobnie „tak”, a

„henne” – „nie”.

- Niech pan pracuje dalej. Potrzebujemy ich wszystkich, a nawet jeszcze więcej, do sceny z atakiem Indian.

Fraternizacja na wybrzeżu zdawała się postępować w najlepsze. Kilku Wikingów dostrzegło w łodziach jakieś pakunki, ludzie kultury Dorset otwierali je, pokazując zainteresowanym wyprawione skóry focze. Najbardziej ciekawi z przybyszów wałęsali się między domami, przyglądając się uważnie wszystkiemu i zajadle dyskutując między sobą piskliwymi głosami. Jeden z nich, zbrojny we włócznię z kamiennym ostrzem zauważył Gina stojącego za kamerą i spojrzał nań z drugiej strony obiektywu, dając mu tym samym okazję do nakręcenia wspaniałego zbliżenia. Krajowiec odwrócił

się gwałtownie, gdy usłyszał głośny ryk i towarzyszące mu przenikliwe wrzaski. To byk pognął za krową, która pętała się po błotnistej polanie tuż obok pasma drzew. Mimo niewielkiego wzrostu byk był bydlęciem wrednym i złym, a bielmo na jednym oku czyniło jego aparycję jeszcze bardziej złośliwą. Pozwalano mu włóczyć się swobodnie i nieraz już trzeba go było przeganiać z obozu filmowców. Teraz potrzęsął łbem i ryknął ponownie.

- Ottar - krzyknął Barney. - Usuń stąd tę bestię zanim zdemoluje nam Indian.

Byk nie zdenerwował ludzi kultury Cape Dorset, ale przeraził ich bezgranicznie. Nigdy przedtem nie widzieli takiego ryczącego i parskającego stworzenia; stanęli teraz oniemieli ze strachu. Ottar chwycił jakiś leżący na brzegu drąg i z krzykiem pędził w stronę zwierzęcia.

Byk jednakże zrył racicami ziemię, po czym pochylił łeb i zaatakował Ottara. Wiking odskoczył w porę, obrzucił go krótkimi, acz plugawymi staronorweskimi słowami i zdzielił drągiem w bok. Nie odniosło to wszakże oczekiwanego skutku. Zamiast skrócić i ruszyć na swego prześladowcę, zwierze zaryczało i ruszyło do ataku na ludzi z Cape Dorset, najwyraźniej ko-jarząc ich odmienny wygląd z kłopotami, w jakie aktualnie popadło. Przybysze z wrzaskiem rzucili się do ucieczki.

Panika udzieliła się i innym. Ktoś krzyknął, że skraellingowie atakują i Normanowie rozbiegli się w poszukiwaniu broni. Dwóch przerażonych przedstawicieli kultury Cape Dorset, którzy szamotali się między chałupami, dopadło do domu Ottara i usiłowało wedrzeć się do środka, lecz drzwi były zaryglowane. Ottar rzucił się do obrony swego domowego ogniska i kiedy jeden z mężczyzn odwrócił się, trzymając włócznię w uniesionej do ciosu ręce, Wiking opuścił drąg na jego głowę. Drąg rozpadł się na dwie części. To samo stało się z czaszką przybysza.

Po minucie bójka dobiegła końca. Byk, sprawca całego zamieszania, przebrnął przez strumień i teraz spokojnie skubał trawę na drugim jego brzegu. Skórzane łodzie pchane wściekłymi uderzeniami wiosła puły wodę w kierunku otwartego morza. Na brzegu walały się pozostawione w popłochu paki foczych skór. Dwóch ludzi z Cape Dorset, wliczając tego, któremu zadał cios Ottar, leżało martwych. W ramieniu jednego z Wikingów tkwiła strzała.

- Madonna mia! - odezwał się Gino, wstając zza kamery i wycierając czoło rękawem. -

Ale charakterki. Gorzej niż Sycylijczycy.

- Wszystko zostało w idiotyczny sposób zaprzepaszczone - Jens siedział na ziemi, obiema rękami trzymając się za żołądek. - Oni wszyscy byli przerażeni jak dzieci - dziecięce umysły w ciałach dorosłych mężczyzn. Dlatego się mordowali. Zmarnowali wszystko.

- Ale dzięki temu mamy świetne zdjęcia - odparł Barney. - I nie jesteśmy tu po to, by ingerować w miejscowe obyczaje. Co się panu stało? Ktoś w tym rozgardiaszu kopnął pana w brzuch?

- Nie ingerować w miejscowe obyczaje! Bardzo dowcipne! Niszczy pan życie tych ludzi dla swojej filmowej szmiry, a potem stara się pan uniknąć wszelkich konsekwencji swych poczynań! - Jens skrzywił się raptownie i zacisnął zęby.

Barney spojrział na niego i zauważył czerwony strumyk wypływający pomiędzy palców Lynna.

- Pan jest ranny - rzekł z niedowierzaniem i rozejrział się wokół. - Tex! Opatrunek, migiem.

- Skąd ta troska o mnie? Widziałem, jak pan patrzył na tego parobka ze zranioną ręką.

Nie zauważyłem, żeby pan się nim przejął. Normanowie po bitwie zszywali sobie rany drewnianymi szpilkami. Czemu nie przyniósł mi pan trochę wiórów?

- Niech się pan uspokoi Jens, jest pan ranny. Zaopiekujemy się panem.

Tex przygnał z apteczką pierwszej pomocy, postawił ją obok Jensa, a sam przyklęknął z boku.

- Co się stało? - zapytał spokojnym, zaskakująco łagodnym głosem.

- Włócznia. Działo się to tak szybko, że nie zdawałem sobie z niczego sprawy. Stałem między łodzią a jednym z nich. Był przerażony. Podniosłem ręce do góry i próbowałem coś powiedzieć - potem był już tylko spazm bólu i on uciekł.

- Obejrzę to. Widziałem kilka podobnych ran. Na Nowej Gwinei. - Głos Texa brzmiał

fachowo i spokojnie.

Delikatnie rozsunął rękę Lynna i szybkim ruchem noża przeciął zakrwawione ubranie.

- Nie najgorzej - stwierdził, przypatrując się krwawej ranie. - Śliczna mała dziurka we flakach. Poniżej żołądka i nie wygląda na tyle głęboką, by uszkodzić cokolwiek innego. Przypadek szpitalny. Pozszywają dziury, założą kilka sączków do brzucha i nafaszerują antybiotykami aż po same uszy. Gdyby próbować leczyć to w warunkach polowych, przekreśliłbyś się w ciągu dwóch dni na zapalenie otrzewnej.

- Jesteś cholernie szczery - odparł Lynn i uśmiechnął się.

- Zawsze - Tex wyjął ampułkę z morfiną i odłamał jej koniec. - Gdy gość wie co z nim jest, nie uskarża się na opiekę. Lepiej dla niego i lepiej dla innych.

Zrobił zastrzyk z szybkością wskazującą na długoletnią praktykę.

- Jesteś pewien, że nie może się mną zająć pielęgniarka? Nie chciałbym jeszcze wracać...

- Pełne wynagrodzenie plus premia - rzekł Barney z uśmiechem. - I osobny pokój w szpitalu, niech się pan nie martwi tym wszystkim.

- Nie chodzi mi o pieniądze, panie Hendrickson. Wbrew temu, co pan sądzi, są jeszcze inne, poza szmałem rzeczy na tym świecie. Zaliczam do nich również to, czym się zajmuję.

Jedna strona moich notatek warta jest więcej niż każda z rolek pańskiego celuloidowego szka-

radzieństwa.

Barney uśmiechnął się i spróbował zmienić temat.

- Doktorze, nikt już nie robi filmów z celuloиду. Mamy bezpieczniejsze materiały.

Niepalne.

Tex przyłożył do rany opatrunek sulfonamidowy i obwiązał ją ciasno bandażem elastycznym.

- Musi pan ściągnąć tu doktora - niespokojnie odezwał się Jens. - Muszę wysłuchać jego opinii na temat mojego odjazdu. Skończycie ten film, gdy tylko odjadę i nigdy nie będę miał

okazji tu wrócić.

Łapczywie, jakby chcąc zapamiętać wszystko, Lynn wpatrywał się w zatokę, stojące wokół domy, ludzi. Tex pochwycił znaczące spojrzenie Barneya i pokręcił przecząco głową.

Machnął ręką w kierunku obozu.

- Idę po samochód i poproszę profesora, by uruchomił Vremiatron. Ktoś powinien obandażować rękę temu Wikingowi i dać mu penicylinę.

- Przywieź ze sobą pielęgniarkę. Ja zostanę tu z Jensem - odparł Barney.

- Muszę panu powiedzieć, że zupełnie przypadkowo dokonałem pewnego odkrycia -

Lynn położył rękę na ramieniu Barneya. - Usłyszałem jak Ottar opowiadał jednemu ze swoich ludzi o tarczy żyrokompasu na okręcie. Wymawiają tę nazwę po swojemu, brzmi to mniej więcej „usas-notra”. Zaszokowało mnie to. W sagach islandzkich jest wyraz, wspomniany tylko jeden raz. Odnosi się do jakiegoś instrumentu nawigacyjnego, którego nigdy nie udało się zidentyfikować. Wymawia się go „husanotra”. Jeśli tak, to wpływ naszego pojawienia się w jedenastym stuleciu jest większy, niż ktokolwiek z nas mógł to sobie wyobrazić. Wszystkie możliwości muszą zostać sprawdzone. Nie mogę wracać!

- To bardzo interesujące, co pan mówi - Barney spojrzał w stronę obozu, lecz samochodu ciągle jeszcze nie było widać. - Powinien pan to opisać w jakimś czasopiśmie naukowym.

Po to one są.

- Idiota! Pan nie ma najmniejszego pojęcia o czym mówię. Z pańskiego punktu widzenia Vremiatron istnieje tylko po to, by go skurwić, używając do produkcji jakichś wszawych filmów...

- Niech pan nie będzie taki pochopny w wyzwiskach - odrzekł Barney, starając się zachować spokój ze względu na rannego. - Nikt jakoś nie śpieszył się, by pomóc Hewettowi.

Dopiero my daliśmy mu pieniądze. Gdyby Vremiatron nie został użyty do filmu śleczalby pan teraz z

nosem utkwionym w książkach na pańskim uniwersytecie w Los Angeles, nie mając pojęcia ani o jednym z tych odkryć i faktów, które uważa pan za takie ważne. Nie neguję wartości pańskiego zawodu - niech pan uszanuje mój. Przed chwilą usłyszałem tu coś o skurwia-niu się. To niczego nie dowodzi. Wojny prostytuują naukowców, ale coś mi się widzi, że wszystkich wielkich wynalazków dokonano wtedy, kiedy toczyła się jakaś wojna, dzięki któ-

rej mogły zostać sfinansowane.

- Wojny nie finansują badań podstawowych, a tylko te decydują o postępie.

- Najmocniej przepraszam, ale to właśnie zbrojenia chronią nas przed bombami wroga, co daje tym, którzy zajmują się badaniami podstawowymi czas i możliwość ich prowadzenia.

- Gładka odpowiedź, ale nie wyczerpuje zagadnienia. Cokolwiek by pan twierdził - po-dróże w czasie wykorzystano do produkcji tanich filmów i każda, cenna na wagę złota prawda historyczna może być odkryta wyłącznie przez przypadek.

- Niezupelnie - odparł Barney i westchnął z ulgą, usłyszał bowiem odgłos nadjeżdżają-

cej ciężarówki. - Nie przeszkadzamy panu w badaniach - przeciwnie, nawet w nich pomogli-

śmy. Miał pan absolutnie wolną rękę. Jeżeli chodzi o przemysł filmowy, zgoda - zainwesto-waliśmy we Vremiatron jako w nowy, eksperymentalny środek produkcji. Z materiałem, któ-

ry pan zgromadził, może pan rozmawiać z dowolną fundacją na temat sfinansowania budowy następnej platformy czasu, tym razem dla celów poznawczych i dla własnej satysfakcji.

- Tak właśnie mam zamiar postąpić!

- Ale jeszcze nie teraz. - Ciężarówka zatrzymała się obok. - Profesor związany jest z nami umową, która zapewnia nam wyłączność używania tego wynalazku przez parę następnych lat. Dopóki nie zwrócą się nam zainwestowane weń pieniądze, rzecz jasna.

- Tak, aż za jasne - odpad Jens, patrząc z goryczą na wyciągane z ciężarówki nosze. -

Najpierw zysk, a kulturę i naukę niech szlag trafi.

- Tak się nazywa ta gra. - Barney obserwował, jak ostrożnie wnoszono filologa do kabiny samochodu. - Świata nie zmienisz - musisz nauczyć się, jak w nim żyć.

XV

- Lepiej umrzeć jak mężczyzna, niż żyć jak tchórz - ryczał Ottar. - Na Odyna i Freyę -
za mną!

Gdy silnym pchnięciem otworzył na oścież drzwi, w tarczy którą się osłaniał, utkwily dwie strzały. Wydając z siebie gromkie okrzyki i wymachując toporem ruszył do ataku z wnętrza płonącego domu. Za nim, wywijając mieczem ruszyła Gudrid, potem Val de Carlo dmący głośno w luhorn i cała reszta.

- Stop! Do kopiowania - Barney opadł na składany fotel. - Zwijamy się, chłopaki. Idźcie szybko na lunch, żeby można było zdemontować kuchnię.

Technicy polewali płonąca ropę naftową pianą z gaśnic. Cuchnęło to wstrętnie. Wygaszono już prawie wszystkie lampy i Gino otworzył kamerę, by wydobyć z niej taśmę.

Wszystko przebiegało ściśle według planu. Barney odczekał aż ucichnie krzątania i wyszedł również. Ottar siedział na ustawionej pionowo baryłce i zabawiał się naginaniem bełtów strzał do powierzchni tarczy.

- Spójrz strzały nadlatują - zawołał do Barneya i uniósł tarczę. Uwolnione od nacisku strzały wróciły do poprzedniej pozycji dygocąc z charakterystycznym jękiem

- Wspaniały wynalazek - zgodził się Barney - Na razie skończyliśmy zdjęcia, Ottarze.

Zamierzam aż do przyszłej wiosny zabrać stąd ekipę. Zdołacie do tej pory zbudować częstokół?

- Z łatwością. Ty dotrzymujesz słowa i Ottar dotrzymuje słowa. Bale zetniemy łatwo żelaznymi piłami i siekierami, które nam zostawiłeś. Ale zostaw także żywność, żebyśmy mieli co jeść zimą.

- Całe zaopatrzenie będę miał przed odjazdem ekipy. Wszystko jasne? Masz jakieś pytania?

- Jasne, jasne - mruknął Ottar i skupił się znów na wyciąganiu strzał.

Barney spojrział nań podejrzliwie.

- Jestem pewien, że pamiętasz wszystko, ale dla przypomnienia powtórzmy szybko jeszcze raz. Zostawiamy ci żywność, zboże i cały suszony i puszkowany prowiant, jaki uda nam się zdobyć w magazynach wytwórni. W ten sposób jesienią nie będziecie zmuszeni do gromadzenia zapasów zimowych. Da to wam czas na zbudowanie kilku nowych domów i otoczenie osady palisadą. Jeżeli to co mówił doktor jest zgodne z prawdą, nie musisz obawiać się ludzi z Cape Dorset aż do wiosny; dopóki lody polarne nie zbliżą się do wybrzeża, a foki nie zgromadzą się, by wychowywać na nich swoje małe. Wtedy przybywają łowcy, którzy teraz są znacznie dalej na północ. A nawet gdyby niepokoił cię wcześniej - będziesz bezpieczny za palisadą.

- Zabijemy ich, rozsieczemy ich.

- Spróbuj tego nie robić, jeżeli możesz. Dziewięćdziesiąt procent tego filmu mamy już poza sobą i czułbym się znacznie lepiej, gdybyś nie dał się zabić przed jego ukończeniem.

Zobaczymy jak wyglądają wasze sprawy w lutym lub w marcu i sprowadzimy z powrotem całą ekipę jak tylko czerwonoskórzy pojawią się w okolicy. Daj im trochę towarów jako zapłatę za to, że zaatakują częstokół i trochę go spalą. To wszystko. Zgoda?

- I whisky „Jack Daniels”.

- To jest przewidziane w kontrakcie...

Dalsze słowa utonęły we wznoszącym się, to opadającym śpiewnym jęku.

- Musisz? - spytał Barney Vala del Carlo, który dał w opasujący go luhorn.

- To niesamowity instrument - odparł Val. - Posłuchaj.

Oblizął wargi, przytknął je do ustnika i wydymając zaczerwienione policzki, wydał z niego dźwięk, w którym z trudem można było dopatrzeć się podobieństwa do popularnej melodii „Melodio, kręć się wkoło”.

- Trzymaj się filmu - doradził mu Barney. - Jako muzyk nie masz przed sobą wielkiej przyszłości. Słuchaj - dodał - wydaje mi się, że widziałem już gdzieś taki róg, poza muzeum oczywiście.

- Na każdym opakowaniu duńskiego masła. To ich znak firmowy.

- Może i tak. Brzmi jak tuba

- Spiderman Spinnake by to lubił.

- Niewykluczone - Barney aż zmrużył oczy, gdy wpadł mu do głowy nowy pomysł. - O

tym właśnie myślałem. Spiderman. On grywa na różnych dziwnych instrumentach w zespole jazzowym w Fungus Grotto. Słyszałem go kiedyś, jak znęcał się nad trąbką i perkusją.

Val skinął głową.

- Byłem tam - Uważa się go za najlepszego solistę na tubie. To najstraszniejszy jazgot, jaki kiedykolwiek w życiu słyszałem.

- Nie jest to takie złe - być może czegoś takiego właśnie nam potrzeba. Poddałeś mi myśl.

Ottar w dalszym ciągu zabawiał się swoimi strzałami; Barney wsparty o ścianę przysłuchiwał się dźwiękom luhorna dopóki Val nie wszedł do jeepa.

- Gotowi - zameldował - Wszyscy ludzie z intendyury i dwóch rekwizytorów na ochotnika. Chcą się przekonać na własne oczy, że Hollywood jeszcze istnieje.

- Wystarczą do załadunku? - spytał Barney.

- Aż nadto.

- No to ruszamy.

Jedna z wielkich ciężarówek czekała już na platformie. Obok niej przechadzało się około tuzina ludzi. Drzwi do kabiny kontrolnej były otwarte i Barney zajrzał do środka.

- Sobota po południu. Niech pan ląduje najwcześniej jak tylko można, profesorze - powiedział.

- Co do mikrosekundy. Przybędziemy dokładnie w chwilę potem, jak wyjechałem stamtąd po raz ostatni.

*

Uświadomienie sobie, że pomimo wszystkiego, co zdarzyło się na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy, tam w Hollywood jest ciągle sobotnie popołudnie tego samego dnia, w któ-

rym rozpoczęła się akcja, wymagało od Barneya niemałego wysiłku woli. Autostrady były zatłoczone, parkingi przy supermarketach pełne, zaś na szczycie Benedict Canyon Drive, obok prywatnego pola golfowego, L.M. Greenspan na ostatnim piętrze swej rezydencji leczył

symulowany atak serca. Przez chwilę Barney był zdecydowany zatelefonować do niego, by zdać mu sprawę z postępu prac, lecz wkrótce zrezygnował z tego pomysłu. Minęło zaledwie kilka godzin i L.M. nie miał żadnych podstaw do niepokoju. Może powinien zadzwonić do szpitala, by dowiedzieć się co z Jensem Lynnem? - od dnia wypadku minął już tydzień... Nie, nieprawda, tutaj upłynęło zaledwie kilka minut. Prawdopodobnie nie zdążył jeszcze dotrzeć do szpitala. Podróże w czasie zmieniły wiele nawyków...

- Ależ upał! Powinienem zabrać ze sobą okulary słoneczne - odezwał się jeden z techników. Odsunięto na bok wielkie, ruchome drzwi studia dźwiękowego i platformę zalały jaskrawe, oślepiające promienie subtropikalnego słońca. Północne, nowofundlandzkie niebo miało zawsze odcień bladoniebieski; słońce nigdy nie piekło tak jak tu. Barney kazał ludziom usunąć się na bok. Z głośnym rykiem potężnego diesla ciężarówka zjechała z platformy czasu i ruszyła pustymi uliczkami wytwórni. Wśród jej pasażerów panowała iście świąteczna, bez-troska atmosfera. Weekendowy nastrój przysł, gdy znaleźli się u drzwi magazynu.

- Przykro mi, sir - powiedział strażnik, kręcąc młynka zawieszoną na rzemieniu pałką. -

Nigdy pana nie widziałem, a nawet gdyby, to i tak nie mógłbym pana wpuścić do środka. Nie, sir.

- To przepustka...
- Widziałem pańską przepustkę, ale muszę wykonywać polecenia.
- Dajcie mi topór, a otworzę bramę - krzyknął jeden z techników.
- Bij, zabij! - poparła go reszta.

Zbyt długo przebywali w jedenastym stuleciu, by nie przejąć tej prostej metody, dzięki której Wikingowie rozwiązywali większość swoich problemów.

- Ani kroku dalej, rozkazał strażnik, cofając się i kładąc dłoń na rękojeści kolta.
- W porządku chłopaki, przestańcie się wygłupiać. Siedźcie spokojnie, zaraz to załatwię. Gdzie jest telefon? - spytał Barney strażnika.

Barney, zakładając, że ktoś przypadkiem może być w biurze, wykręcił najpierw numer centrali budynku administracyjnego. Trafiał. Odezwał się osobisty doradca finansowy L.M.

Sam, który najwidoczniej księgi finansowe fałszował na osobności.

- Sam - odezwał się Barney - miło cię znów słyszeć. Jak się masz... Co?... O, przepraszam, zapomniałem... Tak, to było parę godzin dla ciebie, ale dla mnie całe miesiące...

nie, oczywiście, że nie piłem. Kręciłem film... tak, prawie skończony... Sam, nie... nie denerwuj się... kręciłem go jeden dzień dokładnie w tym samym sensie w jakim Charley napisał

scenariusz w ciągu godziny. Tyraliśmy jak woły. Słuchaj, wyjaśnię ci to później, teraz chciał-

bym, żebyś mi pomógł. Musisz porozmawiać z jednym ze strażników w studio... Tak, jakiś kretyn, chyba nowy. Każ mu stworzyć magazyn. Chcę zabrać całą żywność... puszki i produkty sypkie... Nie, nie jestem głodny, to dla tubylców; jako zapłata statystom... Sam, co to ma znaczyć, że musisz o tym pomyśleć?... jeżeli możemy im zapłacić płatkami owsianymi zamiast w zielonych, to jaką to u diabła robi ci różnicę?

Nie poszło to łatwo, zresztą jak zwykle z Samem, ale w końcu dał się przekonać. Sam chronicznie nienawidził wydatków, nawet jeśli były to tylko płatki owsiane, toteż zemścił się za swoją porażkę na strażniku, który wrócił od telefonu purpurowy z wściekłości. Do wpół do szóstej załadowano ciężarówkę, która w kwadrans później stała już na platformie czasu.

Barney raz jeszcze sprawdził zawartość, po czym zajrzał do kabiny Hewetta.

- Niech pan to zabierze ze sobą, profesorze, ale pozwoli pan, że najpierw coś panu wyjaśnię.
- Czy mam przez to rozumieć, że nie wraca pan razem z nami?
- Właśnie. Mam kilka spraw do załatwienia tu, na miejscu. Gdyby pan zechciał rozładować wszystko

i wrócić po mnie za kilka godzin... no, powiedzmy o dziesiątej. Gdyby mnie tu nie było, poinformuję pana telefonicznie jak wygląda sytuacja.

Hewett był zły jak osa.

- Wydaje mi się, że jestem czymś w rodzaju kierowcy taksówki czasowej i nie sądzę bym był z tego powodu zadowolony. Byłem przekonany, że przeniesiemy się do jedenastego wieku, by nakręcić ten pański film, a potem wrócimy. Tymczasem mam wrażenie, że pracuję w ruchu ciągłym...

- Proszę się uspokoić, profesorze, zbliżamy się już do końca naszego przymusowego aresztu domowego. Czy wydaje się panu, że zdecydowałbym się na stratę tych kilku godzin, gdybym nie był zupełnie spokojny o losy produkcji? Zrobimy jeszcze tylko jeden skok w czasie, skończymy ten film i będzie po wszystkim.

Potem Barney stanął przy drzwiach i przyglądał się, jak platforma znika w przeszłości.

Z powrotem w dzikie ostępy pierwotnej Kanady, z powrotem w krainę zimnych deszczów i pierzchnącej na mrozie twarzy. Niech jada! On zaś miał zamiar dać sobie kilka godzin wy-tchnienia - załatwić przy okazji parę interesów, no i zabawić się trochę. Do tej pory nie był w stanie odpoczywać normalnie, męczyła go konieczność ukończenia tego przekłętego filmu.

Ale teraz... teraz wszystko było już nieomal dopięte na ostatni guzik, on sam zaś miał już dość pasma wyrzeczeń, które ciągnęło się od dobrych paru miesięcy. Pierwszą rzeczą, której wymagały od niego interesy, był wykwinny obiad u Chaseya - Barney czuł, że był sobie winien chociaż tyle. Nie było sensu iść do Fungus Grotto wcześniej niż o dziewiątej.

Być w Kalifornii i to w dwudziestym wieku, wydawało mu się czymś nierealnym.

Wszystko poruszało się zbyt nerwowo, było zbyt jaskrawe, a smród spalin przyprawiał go o ból głowy. Czuł się jak wiejski prostak, który pierwszy raz widzi miasto. Pomogła mu kolacja

- kolacja poprzedzona drinkiem, popita szampanem i zakończona koniakiem. Gdy taksówka zatrzymała się przed bramą klubu, ból głowy ustąpił zupełnie. Udało mu się nawet nie poczuć nieswojo na widok ohydnie zielonego wejścia, przyozdobionego czerwonymi trupimi cza-szkami i skrzyżowanymi pieszczelami.

- Strzeż się - jęknął grobowy głos, gdy Barney otworzył drzwi. - Ostrzegam, że każdy, kto wchodzi do Fungus Grotto czyni to na własną odpowiedzialność. Ostrzegam...

Nagrany na taśmie głos zamarł, gdy tylko drzwi się zamknęły. Barney ruszył w dół po tonących w mroku, obitych czarnym aksamitem schodach. Zasłona z jarzących się plastyko-wych kości stanowiła ostatnią przeszkodę, broniącą dostępu do wewnętrznego sanktuarium klubu. Barney już tu bywał, stąd pewna scenograficzna ekstrawagancja nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Co prawda za pierwszym razem też było ono żadne, całość bowiem niewiele różniła się od budy jarmarcznej. W kątach zwisały gumowe pajęczyny, fotele miały kształt muchomorów, a wszystko oświetlał migotliwy blask zielonkawych lamp.

- Krwawa Mary - powiedział w kierunku przebranego za wampira kelnera. - Spiderman już przyszedł?

- Dżdże, dże jezd f karteropie - przez plastikowe kły wymamrotała pokraka.

- Powiedz mi, że chcę z nim pogadać. Jestem Barney Hendrickson z Climactic Studios.

Spiderman pojawił się przy stoliku zanim jeszcze zdążył to zrobić zamówiony drink.

Była to zgarbiona, ale ruchliwa postać, odziana w czerń. Wielkie ciemne okulary dopełniały całości obrazu.

- Dawno cię nie widziałem, chłopie. Jak leci? - wilgotne palce musnęły wyciągniętą dłoń Barneya, po czym Spiderman opadł na fotel.

- Jakoś trzymam się kupy. Słuchaj, Spider, czy to prawda, że grałeś w kilku filmach?

- Tak, zrobiłem muzykę do jakiegoś wszawego, półpornograficznego gówna pod nazwą

„Walka małolatów gitów z małolatami ćpunami”, ale mam nadzieję, że ludzie zdążyli już o tym zapomnieć. A czemu pytasz? Czyżby interesował cię biedny, stary Spiderman?

- Kto wie, Spinnake, kto wie. Jak myślisz, napisałbyś muzykę do filmu i nagrał ją razem ze swoim zespołem?

- Wszystko jest możliwe, ojciec, ale wymaga czasu. Mamy zobowiązania.

- Nie martw się o czas, załatwię to tak, że nie straciecie ani jednego występu. Myślę, że twój styl będzie w sam raz do filmu, który kręcę - wstrząsającej opowieści o Wikingach.

Słyszałeś o nich?

- Tak... Włochate facety z siekierami; szlachtują wszystko, co im wpadnie w ręce.

- Z grubsza tak. Są prymitywni i silni. Używają pewnej odmiany mosiężnego rogu. To nasunęło mi pomysł. Instrumenty dęte uzupełnione perkusją walącą z prymitywną pasją.

- W porządku.

- Dasz radę to zrobić?

- Oczywiście.

- Świetnie. Oto stowa zaliczki - Barney wyciągnął z portfela pięć dwudziestek - i położył je na stoliku. Lepkie palce Spidermana popęzły po czarnym obiciu i wchłonęły je.

- Bierz swoich chłopaków i jedziemy do studio. Tam ci wszystko wytłumaczę. Będziecie z powrotem

za godzinę. - Barney nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić co może stać się w ciągu tej jednej, dwudziestowiecznej godziny.

- Nie da rady. Na razie produkuję się tylko ja i Dooty, reszta będzie koło jedenastej.

Potem gramy do trzeciej. Wcześniej nie możemy się urwać.

Barney jednym łykiem przełknął swój cocktail i spojrział na zegarek. Przekonał się, że nie ma najmniejszego sensu wychodzić stąd i wracać z powrotem. Trzecia rano, w niedzielę, był to termin absolutnie wystarczający, zważywszy, że miał czas aż do poniedziałku. Wszystko się uda. Gdy Spiderman znikł na zapleczu, Barney podszedł do telefonu i umówił się z Hewettem na nowo na godzinę trzecią rano, po czym wrócił do stolika z mocnym postano-wieniem, że postara się odprężyć, o ile było to możliwe przy odgłosach tuby i całego zespołu instrumentów dętych, wzmocnionych elektryczną perkusją. Pomogła mu Krwawa Mary.

O drugiej rano wstał i wyszedł zaczerpnąć nieco takiego powietrza, które nie byłoby gęste od dymu tytoniowego i nie dygotało w rytm perkusji. Udało mu się nawet zamówić dwie taksówki na parę minut po trzeciej. Wszystko szło jak najlepiej.

Niedługo potem wysiedli przed drzwiami magazynu - profesor Hewett spoglądał to na nich, to na tarczę zegarka.

- Niezwykle punktualnie - sapnął.

- Nie najgorzej profesorze, stary byku - odparł Barney, klepnąwszy go po ramieniu i od-wrócił się, by pomóc wyciągnąć z taksówki perkusję. Do magazynu wmaszerowali wszyscy gęsiego - orkiestra rznąła marsza „Pułkownik Bogey”.

- Co to za tratwa? - zapytał Spiderman na widok platformy. Był zmęczony, oczy miał mocno podkrążone.

- Środek transportu. Właż! Obiecuję ci, że nie będzie nas tylko kilka minut - Barney, mówiąc to uśmiechnął się przebiegle.

- Na razie wystarczy! - Spiderman oderwał ustnik trąbki od rozgrzanych warg Doody'ego. Doody trąbił jeszcze kilka sekund w próżnię nim uświadomił sobie, że nie daje to żadnych słyszalnych efektów.

- Włazimy do łajby - zakomenderował Spiderman.

Hewett parsknął z dezaprobatą na widok żalobnie odzianych muzyków wchodzących na pokład platformy, po czym zamknął się w kabinie kontrolnej i zaczął uruchamiać Vremiatron.

- Czy to poczekalnia? - zapytał Doody, podążając za nim do zatłoczonego pomieszczenia.

- Wyłaż stąd, ty kretynie - wysapał profesor.

Doody mamrocząc coś po nosem usiłował wykonać jego polecenie, lecz w momencie, gdy wykonywał zwrot, wyciągnięty na całą długość suwak jego puzonu uderzył w rząd wystających lamp elektronowych. Dwie z nich trzasnęły i wyrzuciły z siebie snop iskier.

- Uaaa! - jęknął Doody i upuścił instrument, który całą swoją długością upadł na płataninę przewodów elektrycznych i lamp. Z potrzaskanej instalacji posypały się iskry. Wszystkie światła na ekranie kontrolnym zgasły.

Barney wytrzeźwiał przed upływem sekundy. Wypchnął Doody'ego z kabiny kontrolnej w kierunku pozostałych muzyków stojących zbitą gromadką na przeciwległym końcu platformy.

- Co się stało, profesorze - zapytał miękko, gdy wrócił na miejsce.

Odpowiedzi nie było. Nie pytał po raz drugi; obserwował tylko, jak Hewett odrywa z pasją ekrany kontrolne i wyrzuca przez okno zniszczone lampy.

Odesłał muzyków, gdy tylko usłyszał burkliwe „tak” na pytanie, czy musi upłynąć co najmniej kilka godzin zanim Vremiatron ponownie będzie gotów.

*

O dziewiątej rano profesor Hewett oznajmił, że naprawa zajmie prawdopodobnie większą część dnia, nie licząc czasu potrzebnego na znalezienie brakujących lamp w Los Angeles w niedzielę. Barney wmawiał sobie nieszczercze, że mimo wszystko ma jeszcze kupę czasu.

Film miał być oddany dopiero w poniedziałek rano.

*

O piątej rano w poniedziałek profesor zakomunikował, że skończył już naprawę uzwojenia i teraz zamierza przespać się godzinkę. Potem pójdzie szukać potrzebnych lamp.

*

O dziewiątej rano Barney zatelefonował i dowiedział się, że przedstawiciele banków właśnie przybyli i czekają na niego. Zaśmiał się ochryple i odwiesił słuchawkę.

*

O pół do dziesiątej zadzwonił telefon. Odebrał go i od dziewczyny z centrali dowiedział się, że L.M. rozmawiał z nią osobiście, pytając czy nie wie, gdzie jest Mr Hendrickson.

Barney ponownie odwiesił słuchawkę.

*

O pół do jedenastej wiedział już, że nie ma żadnej nadziei. Profesor Hewett jeszcze nie wrócił i nawet nie zadzwonił. A zresztą, gdyby nawet się teraz pojawił, było już i tak za późno. Filmu nie da się w żaden sposób skończyć na czas.

Wszystko miał już poza sobą. Próbował - i przegrał. Szedł w stronę biura L. M. jak skazaniec na szafot. Zatrzymał się przed drzwiami rozważając możliwość samobójstwa. Nie, brakło mu na to odwagi. Otworzył drzwi.

XVI

- Nie włącz tam rozległ się jakiś głos. Czyjaś ręka chwyciła Barneya za ramię i odciągnęła go od drzwi, które zatrzasnęły się automatycznie tuż przed nim.

- Co ty sobie, u diabła, wyobrażasz - kipiąc z wściekłości wrzasnął Barney i odwrócił się w stronę sprawcy tego zamieszania.

- Po prostu nie pozwalam ci popełnić głupstwa, ty idioto! - odparł ten drugi i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu na widok Barneya, który cofnął się nagle i z opadniętą nisko szczęką wybałuszał na niego oczy.

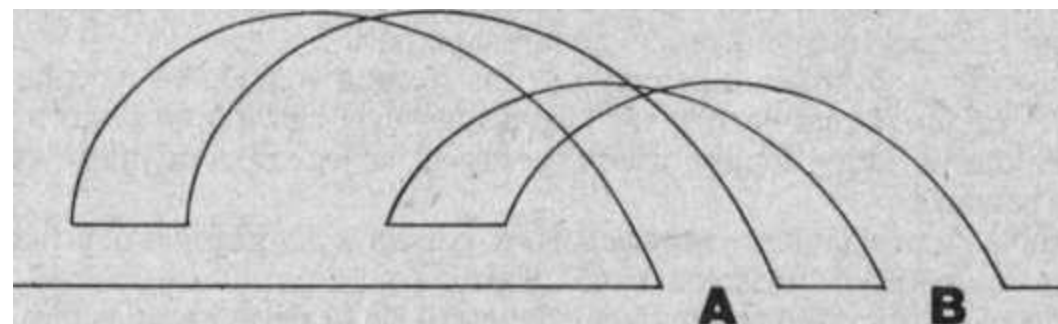
- Ty jesteś... mną... - odezwał się słabym głosem Barney spoglądając na siebie samego, odzianego w najlepszą parę jego własnych tweedowych spodni, skórzaną kurtkę lotniczą i dźwigającego pod pachą pudełka z filmem.

- Bardzo trafna uwaga - odparł drugi Barney z niedobrym uśmiechem. - Potrzyмай to chwilę - wręczył film Barneyowi i sięgnął ręką do kieszeni na piersi po portfel.

- Co?!... Co?! - Barney w osłupieniu patrzył na umieszczoną w pudełku nalepkę z napisem „*Kolumb Wikingiem*” - część I. Drugi Barney wyciągnął z portfela złożoną na czwo-ro kartkę papieru i wręczył ją pierwowzorowi, który dopiero wtedy spostrzegł, że jego ręka owinięta jest grubą warstwą zaczerwienionego bandaża.

- Co się stało z moją... z twoją ręką? - zapytał Barney, patrząc z przerażeniem na bandaż. W tej samej chwili wyjęto mu z rąk pudełko i wciśnięto w dłoń kartkę.

- Daj to profesorowi - rozkazał jego duplikat. - Przestań się tu pętać i skończ film, dobrze? - Drugi Barney otworzył drzwi do gabinetu L. M. Wszedł przez nie jeden z techników,



pchając przed sobą wózek wyładowany tuzinem rolek filmu. Technik spojrzał na jednego, potem na drugiego, wzruszył ramionami i znikł we wnętrzu. Drugi Barney wszedł za nim i drzwi się zamknęły.

- Ręka! Co się stało z ręką? - jęknął Barney w stronę zamkniętych drzwi. Próbował je otworzyć, ale w końcu wzruszył ramionami i zrezygnował. Jego uwagę przyciągnęła dziwna kartka papieru. Rozłożył ją. Był to kawałek najzwyklejszego w świecie papieru maszynowego, urwany wzdłuż

marginesu i pusty z jednej strony. Po drugiej również nic nie było napisane, widniał tam tylko prosty, pośpiesznie nakreślony długopisem schemat. Nie mówił on Barneyowi zupełnie nic, toteż złożył kartkę z powrotem i schował ją do portfela. Nagle przypomniał sobie o rolkach gotowego filmu.

- Skończyłem ten film - krzyknął głośno. Film został wykonany i dostarczony na miejsce w terminie!

Dwie przechodzące obok sekretarki odwróciły się w jego stronę i zachichotały. Barney skrzywił się i odszedł.

Co powiedział mu drugi Barney? Aha.. „Przestań się pętać i skończ film”. A czy on w ogóle był w stanie skończyć ten film? Wygląda na to, że tak - o ile rzeczywiście cokolwiek było na tych rolkach. Ale jak ma zrobić film teraz, kiedy jest już dawno po terminie i w dodatku dostarczyć go na czas? - Nic nie rozumiem - mamrotał do siebie idąc w stronę studio dźwiękowego B.

Potoku myśli, który kłębił się w jego głowie nie przerwał nawet widok profesora maj-strującego coś przy Vremiatronie. Barney stał na platformie i intensywnie starał się pojąć, co się wydarzyło oraz co może się jeszcze wydarzyć, ale zmęczenie i szok, spowodowany rozmową z samym sobą pozbawiły go przejściowo pełni władz umysłowych.

- Naprawa skończona. Możemy wracać do roku 1005 - zakomunikował Hewett wycierając ręce szmatą.

- Niech pan to weźmie - odparł Barney sięgając po portfel.

*

Pomimo iż na Nowej Fundlandii słońce świeciło pełnym blaskiem, przypominało to kalifornijski zmierzch, a już z całą pewnością było bez porównania chłodniej.

- O której opuściliśmy studio? - spytał Barney.

- O 12.03, w poniedziałek i proszę bez żadnych narzekań. Uporałem się z naprawą błyskawicznie, jeśli wziąć pod uwagę rozmiar wyrządzonych przez tego półgłówka muzykanta szkód.

- Nie narzekam, profesorze. Po prostu zaczynam wierzyć, że ciągle mamy jeszcze szansę ukończyć ten film w terminie. W biurze byłem świadkiem, jak ja sam niosę kasety z filmem zatytułowanym „Kolumb Wikingiem”.

- Niemożliwe!

- Łatwo powiedzieć, ale niewykluczone, że czeka pana równie wielki wstrząs, jaki spotkał mnie. Powiedziałem sobie, albo jak pan woli on mi powiedział, bym wręczył to panu.

Mówi to coś panu?

Profesor rzucił okiem na kartkę i uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Oczywiście! Ależ głupiec ze mnie. To jasne! Przez cały czas leżało to przede mną, że tak powiem, jak na dłoni, a ja tego nie zauważyłem. Rozwiązanie jest dziecinnie proste.

- Czy zechciałby pan mi to wytłumaczyć? - spytał niecierpliwie Barney.

- Ten schemat przedstawia dwie podróże w czasie. Mniejszy łuk, z prawej strony, bę-

dzie dla nas najbardziej interesujący, ponieważ wyjaśnia, skąd przybyło pańskie „drugie ja” z filmem pod pachą. Tak, skończenie tego filmu i dostarczenie go na miejsce przed umówionym terminem jest absolutnie możliwe.

- Jak? - spytał Barney, zerkając na zupełnie niezrozumiały dlań schemat.

- Może pan kręcić dalej i nie ma najmniejszego znaczenia ile czasu panu to zajmie. Gdy pan skończy znajdzie się pan w punkcie oznaczonym na tym szkicu literą B. Punkt A - to pański termin. Wróci pan po prostu do jakiegoś momentu w czasie przed punktem A, dostarczy pan taśmę i przesunie się do punktu B. Genialnie proste.

Barney zaciskał kurczowo kartkę w dłoni.

- Pozwoli pan, że powtórzę? Twierdzi pan, że mogę nakręcić film p o terminie, po czym przenieść się w czasie p r z e d ten moment i dostarczyć na miejsce?

- Tak właśnie twierdzą.

- To brzmi idiotycznie!

- Geniusz wydaje się szaleńcem tylko kretynom.

- Postaram się nie pamiętać o tej uwadze - jeśli wyjaśni mi pan jedną sprawę. Ten kawa-

łek papieru ze schematem - potrząsnął nim przed nosem profesora. - Kto go narysował?

- Nie mam pojęcia. Widzę to po raz pierwszy.

- Tak myślałem. Wręczono mi te kartki w poniedziałek rano przed drzwiami gabinetu L.M. Przed chwilą pokazałem ją panu. Teraz włożę ją do portfela i będę trzymał przy sobie aż do końca zdjęć. Potem wrócę z powrotem w czasie, aby oddać film L.M. Spotkam samego siebie przed biurem, wyjmę schemat z portfela i wręcę go samemu sobie, po to tylko, by znów włożono go do portfela. Rozumie to pan?

- Tak. Nie widzę w tym nic niepokojącego.

- Pan może i nie widzi. Ale jeśli wszystko odbędzie się w ten sposób, to nikt go nigdy nie narysował. Wędruje po prostu w portfelu i ja wręczam go samemu sobie. Niech pan to wytłumaczy! - dodał Barney triumfująco.

- Nie ma potrzeby. To wyjaśnia się samo przez się. Ten kawałek papieru jest autonomiczną pętlą w czasie. Nikt go nigdy nie rysował. On istnieje dlatego, że jest, oto właściwe wyjaśnienie. Jeśli pan chce to pojąć, spróbuję dać panu przykład. Wie pan zapewne, że każdy pasek papieru ma dwie strony - ale jeśli jeden z jego końców przekręci pan o 180° i połączy z drugim końcem, to otrzyma pan wtedy wstęgę Moebiusa, która ma tylko jedną stronę. I ona istnieje. Zaprzeczanie temu w niczym nie zmienia samego faktu. To samo jest z pańskim schematem - on istnieje.

- Ale skąd się wziął?

- Jeśli już musi mieć pan jakieś źródło, to niech pan przyjmie, że z tego samego miejsca, w którym znikła druga strona na wstędze Moebiusa.

Skłębione myśli Barneya splątały się nagle w gruby supeł po czym rozpląnęły w pustce.

Gapił się na rysunek, póki nie rozboleły go oczy. Ktoś m u s i a ł t o narysować. I każdy kawałek papieru ma d w i e strony... Zdrętwiałymi palcami włożył kartkę z powrotem do portfela i schował go do kieszeni w nadziei, że zdoła o tym wszystkim zapomnieć.

*

- Gotowi do skoku w czasie na każdy pański rozkaz - zameldował Dallas.

- Jakiego skoku w czasie? - Barney spojrzał niewidzącym wzrokiem na stojącego przed nim kaskadera.

- W następną wiosnę, do 1006 roku - rozmawialiśmy o tym przed godziną. Żywność dla Ottara została dostarczona; a cała ekipa czeka gotowa i spakowana na pańskie polecenia -

Dallas wskazał dłonią na długi szereg ciężarówek i przyczep.

- Tak... następna wiosna. Tak, masz rację - ocknął się Barney. - Dallas, czy wiesz co to jest paradoks?

- Hiszpański fryzjer goli każdego gościa w mieście, który nie goli się sam. Kto goli fryzjera?

- Tak, coś w tym rodzaju, tylko jeszcze gorzej. - Barney przypomniał sobie nagle o zabandażowanej ręce i uważnie obejrzał z obu stron swoją prawą dłoń. - Co się stało z moją ręką?

- Na oko wygląda doskonale - odparł Dallas, - Może napije się pan drinka?

- To nic nie pomoże. Przed chwilą widziałem siebie samego z ręką owiniętą w zakrwawiony bandaż i nawet nie powiedziałem sobie, co się stało i czy to coś groźnego. Rozumiesz co mam na myśli?

- Taak. Chyba potrzebne są panu dwa drinki.

- Bez względu na to, co ty i twoi kumple z epoki żelaza myślicie, alkohol nie rozwiązuje wszystkich problemów. Znaczy to, że jestem czymś niepowtarzalnym w całym wszechświecie - jestem

arcysadomasochistą. Wszyscy inni, biedni durnie, są w tym względzie znacznie ograniczeni. Mogą być masochistami wobec siebie, a sadystami tylko dla innych. A ja mogę zadać sobie masochistyczny ból kopiąc siebie samego jako sadysta. Żaden inny zboczeniec nie może tego o sobie powiedzieć. - Przebiegł po nim dreszcz. - Myślę, że jednak chyba się napije - dodał w końcu.

- Mam tu coś ze sobą.

Drink okazał się być podłym gatunkiem jakiejś taniej żywności, o smaku zbliżonym do kwasu mrówkowego. Spłynął po przełyku Barneya strumieniem tak piekącym, że rzeczywi-

ście odwróciło to jego uwagę od paradoksów czasu i jego własnych sadomasochistycznych inklinacji.

- Rozejrzyj się trochę, Dallas - zaproponował. - Skocz do marca i sprawdź, czy pojawili się Indianie. Jeżeli Ottar stwierdzi, że nie, posuwaj się naprzód w odstępach tygodniowych dopóki ich nie spotkasz, a potem wracaj.

Platforma rozpląnęła się w powietrzu, po czym pojawiła się z powrotem o kilka stóp dalej. Dallas zszedł na dół i zmierzał ku niemu pocierając dłonią długą, czarną brodę.

- Profesor ustalił, że nie było nas łącznie dziesięć godzin. Wszystko ponad osiem godzin liczy się nam jako nadliczbowe i...

- Daj sobie spokój! Co znalazłeś?

- Wybudowali częstokół - wygląda to dokładnie jak fort z filmów o Indianach. Na początku marca wszystko było spokojnie, ale na ostatnim postoju, dwudziestego pierwszego, dostrzeżono kilka tych skórzanych łodzi.

- W porządku, jedziemy. Powiedz profesorowi, by zaczął przerzucać całą ekipę do dwudziestego drugiego marca. Wszystko i wszyscy na miejscu?

- Betty sprawdziła faktury i twierdzi, że z tym jest OK. Ja i Tex odczytaliśmy listę.

Wszyscy obecni, gotowi i już czekają w przyczepach, oczywiście z wyjątkiem kierowców.

- Jaka pogoda tam, w marcu?

- Słonecznie, ale powietrze wciąż ostre.

- Każ ludziom ubrać się ciepło. Nie mam ochoty widzieć całe towarzystwo rozłożone przez gripę.

Barney wrócił do przyczepy po płaszcz i rękawiczki. Zanim zdążył wrócić do czoła konwoju, operacja była już w pełnym toku. Po chwili znalazł się w końcu wiosny 1006 roku, a była to zupełnie niezła subpolarna wiosna. Błade słońce nie było w stanie ogrzać lodowate-go powietrza; płyty śniegu białły jeszcze na zboczach wzgórz i wzdłuż północnej strony palisady. Wyglądało to rzeczywiście jak przyzwoity fort z Dzikiego Zachodu. Barney poma-chał w stronę kierowcy pickupa,

który właśnie pojawił się na platformie czasu.

- Podwieź mnie na dół, dobrze?

- Następny przystanek - Fort Apaczów - odparł wesoło szofer.

Kilku Normanów poczęło wspinać się po zboczu wzgórza, biegnąc na powitanie filmowców. Pickup wyminął ich i zatrzymał się przed wąskim otworem w palisadzie. Spuszczone zeń prymitywnie obrobione kłoc drewna tworzyły jedyną możliwą drogę do środka często-kołu. Przez tę dziurę przeciskał się na ich spotkanie Ottar.

- Trzeba wyciąć w tym bramę - powiedział mu Barney. - Ogromną dwuskrzydłową bramę, zamykaną na skobel.

- Niedobrze. Za duża, łatwo ją wyłamać. To się robi właśnie tak!

- Nie chodziłeś nigdy na odpowiednie filmy...

Głos Barneya zamarł, gdy obok Ottara pojawiła się Slithey, ubrana w spiętą na ramieniu, niezbyt czystą szatę sporządzoną ze skóry karibu. Była nie umalowana, a na biodrze trzymała niemowlę.

- Co ty tu robisz? - jęknął płaczliwie Barney. Więcej niż jeden szok dziennie to było stanowczo zbyt wiele jak na jego siły.

- Zostałam tu na chwilę - odparła i wsadziła jeden z palców do buzi dziecka, które natychmiast zaczęło go ssać hałaśliwie.

- Słuchaj! Przecież dopiero co się pojawiliśmy. Skąd to dziecko?

- To rzeczywiście zabawne - tu Slithey zachichotała na potwierdzenie, że istotnie jest to bardzo zabawne. - Zeszłego roku, latem, kiedy przygotowaliśmy się do powrotu, znudziło mi się czekać w przyczepie i wyszłam, żeby odetchnąć trochę świeżym powietrzem, rozumiesz?

- Nie rozumiem i nie sędzę, bym chciał zrozumieć. Chcesz mi powiedzieć, że nie wróci-

łaś z nim i cały ten czas spędziłaś tutaj?

- Tak właśnie się stało. Byłam zbyt zaskoczona. Wyszłam trochę się przejść, spotkałam Ottara, no i sam wiesz...

- Tym razem wydaje mi się, że rzeczywiście wiem.

- I zanim się spostrzegłam, nikogo już nie było. Byłam przerażona, mówię ci. Musiałam chyba płakać całymi tygodniami, a wychodząc zupełnie przypadkowo nie wzięłam ze sobą pigułki...

- A więc to twoje dziecko? - spytał Barney wskazując na niemowlę.

- Tak! Zobacz jaki słodziutki. Nie ma jeszcze miesiąca, ale chce go nazwać Snorey, tak jak tego krasnoludka z Królowy Śnieżki, bo kiedy śpi, to ciągle chrapie.

- Nie było żadnego krasnoludka o takim imieniu - Barney myślał intensywnie. - Słuchaj, Slithey, przecież nie możemy cofnąć się z powrotem w czasie i odkręcić całej afery z tym dzieckiem. To twoja wina, że wyszłaś z przyczepy.

- Ale ja przecież nikogo nie winię. Od momentu kiedy się przyzwyczaiłam, nie jest mi tu źle. Ottar powtarzał, że wiosną wrócicie i miał, jak widać rację. Tylko jedno - musiałam przywyknąć do strasznie prostackiego jedzenia. Jezu, jak oni tu jedzą! Przez większą część zimy żyłam whisky i krakersami.

- Urządzimy dziś wielkie przyjęcie, na część twoją, Ottara i dziecka. Wino, befsztyki i wszystko, co trzeba.

Snorey zaczął kwikać. Slithey podrzuciła go i zabrała się do rozpinania górnej części ubrania.

- Muszę zapędzić do roboty Charleya Changa - stwierdził Barney. - Trzeba jakoś wpakować dziecko do scenariusza. Wydaje mi się, że ten film roi się od niespodzianek.

Coś przypomniało mu się boleśnie i znów spojrzał na swoją prawą rękę, zastanawiając się j a k i g d z i e po czym wsadził ją w bezpieczną otchłań kieszeni płaszcza.

XVII

Zakończona kamiennym ostrzem włócznia przebiła prawą burtę motorówki i utkwiała w dnie.

- Nie ruszałem jej stąd, by nie otwierać dziury - wyjaśnił Tex. - Kilka innych przeleciało tuż obok, ale zdążyliśmy odpłynąć.

- Musieli być zaskoczeni, albo coś w tym guście - zastanawiał się Barney. - Może przelękli się warkotu silnika?

- Wiosłowaliśmy.

- Musi być jakiś powód. Ludzie kultury Cape Dorset są nastawieni pokojowo, widziałeś jak się zachowywali kiedy tu przybyli.

- Być może nie są zbyt zachwyceni faktem, że posiekano na kawałki kilku ich krewnych

- przerwał mu Dallas. - Nie szukaliśmy kłopotów, dostarczyli je nam gratis, nie musieliśmy ich prosić. Gdyby motor nie zaskoczył za pierwszym razem mielibyśmy piękny pogrzeb w morzu, albo trafilibyśmy prosto do ich kotłów, o ile takowe posiadają. Omówiliśmy całą tę historię z Texem i wydaje się nam, że za tę wyprawę należy się premia wojenna...

- Zaznaczcie to w swych kartach pracy. Zobaczę, co się da zrobić. - Barney szarpnął

włócznię, ale nie chciała wyjść. - Dochodzi mi kilka nowych zmartwień. Film jest w zasadzie na ukończeniu, potrzebna nam tylko kluczowa, absolutnie konieczna i niezwykle ważna scena bitwy z Indianami. Musimy ją mieć, a dość trudno zorganizować potyczkę z Indianami bez Indian. Jest ich tu parę tysięcy w okolicy, na krach. Wysłałem was z wampumami i paciorkami, żebyście ich wynajęli - i co? Wybaczcie!

Argumentacja Barneya zdawała się nie robić żadnego wrażenia na kaskaderach: Dallas lodowato wskazał na włócznię.

W tym momencie mosiężny łoskot trąb poruszył powietrze.

- Czy oni muszą ćwiczyć właśnie tutaj? - warknął Barney.

- O ile pamiętam, była to pańska decyzja - odparł Tex. - Jedynym miejscem, w którym ich muzyka nie doprowadza ludzi do szału, wydawała się plaża.

Przy wtórze wybijającego takt werbla, czarno odziana procesja schodziła ze wzgórza w kierunku brzegu. Prowadził ją Spiderman. Muzycy, których strój składał się z niecodziennej kolekcji przepasek i kaftanów ze skór jeleni i karibu, nieśli ze sobą składane fotele i instrumenty.

- Wyciągajcie łódź na brzeg i zmiatamy stąd - powiedział Barney.

Spiderman zbliżył się do nich chwiejnym krokiem, przyciskając do piersi puzon: Zaczerwieniony nos

jarzył się wyraźnie na tle jego bladawej cery.

- Mieliśmy dostać jakąś salę na próby, Barney - poskarżył się. - To świeże powietrze dobije nas jak amen w pacierzu. Ci faceci całymi latami nie wysuwali nosa z chałupy.

- Przewietrzą sobie płuca.

- Oni lubią je mieć zanieczyszczone.

- Zobaczą co się da zrobić...

- Wróg w polu widzenia! - krzyknął Tex. - Popatrzcie na ten oddział specjalny.

Był to zaiste zdumiewający widok. Zza wyspy, osłaniającej ujście zatoki wypływały, jedna za drugą, łodzie ludzi z Cape Dorset. Wkrótce morze się od nich zaroilo. Gdy zbliżyły się nieco, można było dostrzec panujące w nich gorączkowe ożywienie, a w powietrzu dał się słyszeć głęboki pomruk.

- Nie wygląda to na okrzyki przyjaźni - zauważył Tex.

- Mogą być nastawieni pokojowo - w głosie Barneya nie było jednak zbyt wiele entuzjazmu.

- O co zakład? - zaproponował szyderczo Dallas.

- Dobra, musimy zatem zająć pozycje obronne, czy jak to nazywacie. Co proponujesz?

Tex wskazał kciukiem na Dallasa.

- On jest starszy stopniem. On tu rozkazuje.

- W porządku - warknął Dallas. - Musimy zabrać z plaży wszystkich cywilów, kazać Ottarowi zamknąć fort i ciągniemy z powrotem do obozu. Wszystkie pojazdy ustawiamy w koło - przyczepy mieszkalne do środka. Rozdamy broń każdemu facetowi zdolnemu do jej noszenia. Potem siedzimy w kupie. Tex, zabieraj cywilów do obozu.

- Brzmi nieźle, ale czy nie zapominasz, że wciąż jeszcze kręcimy? Na tym wzgórzu muszę mieć Gina i kamerę - stąd widać wszystko. Potrzebna mi jeszcze jedna kamera, może być ręczna, za palisadą, żeby sfilmować atak.

Barney rzucił się na poszukiwanie ewentualnego drugiego kamerzysty, prędko jednak doszedł do nieuchronnego w tej sytuacji, ale przykrego dlań wniosku, że jedyną osobą, która ma jako takie doświadczenie w tej materii jest on sam.

- Wydaje mi się, że muszę wejść tam razem z Ottarem i jego bandą - zauważył.

- Jeżeli pan tego sobie życzy - odparł Dallas, wyczekując starannie na moment, w któ-

rym muzycy zniknęli tam, skąd się pojawili. - Gino razem z kamerą - na platformę ciężarów-ki.

Cieżarówka z kierowcą pojedzie na szczyt wzgórza - będzie wtedy dokładnie w połowie drogi między obozem a plażą. Tex z dubeltówką ma ich ubezpieczać. Kiedy da rozkaz do odwrotu - wycofają się. Ja pójdę z panem za palisadę! - wydawał rozkazy Dallas.

- Dobrze, to brzmi bardzo rozsądnie - przytaknął Barney. - Ruszamy!

Łodzie zwalniały, w miarę jak pojawiało się ich coraz więcej. Wszystko wskazywało na to, że formują się do ataku. Zresztą bez względu na przyczyny, opóźnienie pozwoliło ludziom na brzegu zająć pozycje obronne. Gdy tylko ustawiono filmowców zgodnie ze wskazówkami Dallasa, on sam i Barney ruszyli co sił w nogach w stronę obozowiska Wikingów. Dallas uzbrojony był w rewolwer i pistolet maszynowy z ramion zwisały mu taśmy z amunicją.

Dźwigał też kilka ciężkich, złowieszczo wyglądających, metalowych pudeł. Byli ostatnimi, którzy dostali się w obręb palisady. Ogromna dwuskrzydłowa brama, zamykana na długi, drewniany skobel, zatrzasnęła się tuż za ich plecami. Przez jeden z wąskich otworów strzelni-czych Barney dostrzegł, że ciężarówka z kamerą zdążyła już zająć pozycję na szczycie wzgó-

rza.

- Skąd się bierze ten hałas? - spytał Ottar.

- Nie mam bladego pojęcia - odparł Barney. - Zbliżają się!

Łodzie ruszyły, mącąc spokojne wody zatoki. Barney wsparł trzydziestopięciomilimetrową kamerę o jeden z bali tworzących palisadę i wycelował jej obiektyw wprost na nadciąg-

gające łodzie. Promienie słońca, które wychynęło właśnie zza chmur, załamywały się w rozbryzgach wzbijanej uderzeniami niezliczonych wioseł wody.

Widok zbliżających się nieubłagane czarnych skórzanych łodzi miał w sobie coś przerażającego. Ciemne stroje płynących w nich ludzi sprawiały wrażenie, że nadciąga umundurowana armia królestwa mroku. W miary jak łodzie podpłynęły do brzegu, narastał niezwykły mrozący krew w żyłach łoskot. Barney zacisnął kurczowo ręce na kamerze i filmował zajadle, szczęśliwy że ma jakieś zajęcie, które pozwala mu nie myśleć o niczym innym. Czuł, że gdyby nie to, podkuliłby ogon i zwiął dokąd pieprz rośnie.

- Słyszałem już kiedyś takie odgłosy - zastanawiał się na głos Dallas. - Taki sam denerwujący jazgot, tylko cichszy.

- Pamiętasz gdzie? - spytał Barney ustawiając obiektyw na zbliżenie lądujących łodzi.

Były b a r d z o blisko.

- Tak. W Australii. Mają tam tubylców. Ich szamani wirują nad głową jakimiś kijami, których końce zderzają się ze sobą i daje to właśnie taki dźwięk.

- Kołatki! Oczywiście. Używa ich wiele prymitywnych plemion. Przypisują im własno-

ści magiczne. Na pewno każdy Indianin w łodzi kręci czymś takim.

- Mam tu swoją magię, by załatwić się z ich magią - zawołał Ottar wymachując nad głową toporem.

- Nie szukaj kłopotów. Musimy za wszelką cenę uniknąć starcia.

- Co? - ryknął Ottar, wstrząśnięty do głębi swego wikińskiego ducha. - Chcą walczyć, będziemy walczyć! Nie ma tu tchórzy. - Łypnął na Barneya, judząc go do odpowiedzi.

- Łądują - powiedział Dallas i stanął między nimi.

Jakiegolwiek złudzenia co do pokojowego charakteru wizyty rozwiały się całkowicie.

Każdą z przyplływających łodzi wciągano na brzeg, a ich pasażerowie wyladowywali włó-

cznie, łuki i kołczany pełne krótkich, lecz masywnych strzał o kamiennych grotach. Barney skoncentrował się na zbliżeniach. Był w stanie dostrzec najdrobniejsze szczegóły ich wyposa-

żenia bojowego. Prawdę mówiąc, widział tych szczegółów znacznie więcej niż by sobie życzył. Gino powinien złapać całość wydarzeń.

- Ottar - powiedział Dallas - każ swym ludziom, by kryli się za palisadą i nie wystawiali głów.

Ottar mruknął coś pod nosem, ale wykonał polecenie. Koncepcja obrony z trudem mieściła się w mentalności Wikingów, nie byli oni jednak kompletnymi samobójcami. Napastnicy mieli co najmniej dwudziestokrotną przewagę liczebną i nawet wojowniczy Normanowie zmuszeni byli przyjąć to do wiadomości.

Gdy tuż obok zagwizdała pierwsza strzała a włócznia wbiła się z łoskotem w częstokół

niedużej kamery, Barney padł i usiłował wepchnąć obiektyw w ciasny prześwit pomię-

ędzy belkami. Zawężyło to co prawda pole widzenia, było jednak znacznie mniej szkodliwe dla zdrowia.

- Broń tchórzów - mamrotał Ottar. - Tchórze. Tak się nie walczy.

Z wściekłością rąbnął toporem o tarczę. Wikingowie mieli w głębokiej pogardzie łuk i strzały, uznawali jedynie atak i walkę wręcz.

Gdy rozładowano już wszystkie łodzie, ludzie kultury Cape Dorset zgromadzili się wokół palisady usiłując znaleźć sposób na dostanie się do środka. Szturm utknął w martwym punkcie. Kilku próbowało się wspinać, lecz szybkość, z jaką rozwścieczeni Wikingowie po-zbawiali ich głów i innych części ciała ostudziła zapał reszty. Napastnicy wymachiwali bronią i skrzeczeli coś piskliwymi głosami. Nad wszystkim górował jazgot kołatek. Dallas wskazał

ręką na grupkę mężczyzn, stojących za plecami reszty.

- Wyglądają na wodzów, albo kogoś w tym rodzaju. Mają też inne ubrania - jakiś skórzany ekwipunek ze sterczącymi na wszystkie strony lisimi ogonami.

- To raczej przedstawiciele ich nauk magicznych - oznajmił Barney. - Ciekaw jestem, po co tu przyszli.

Przed nimi zaczęło się coś w rodzaju zorganizowanej akcji kierowanej najwyraźniej przez ludzi w futrach. Pod ich nadzorem część atakujących pobiegła w stronę pobliskiego lasu, skąd wróciła obładowana chrustem.

- Próbuja rozwalić palisadę? - spytał Barney.

- Gorzej, jak mi się wydaje - odparł Dallas. - Czy ludzie kultury Cape Dorset mają jakieś pojęcie o ogniu?

- Muszą mieć. Jens mówił mi, że na terenie ich obozowiska znajdowano paleniska i śla-dy popiołu.

- Tego właśnie się obawiałem - Dallas ze smutkiem wskazał na podnóże palisady, gdzie układano właśnie stos chrustu. Na próżno Wikingowie dźgali włóczniami i wymachiwali mieczami i toporami stos rósł coraz wyżej. Chwilę potem ze stojącej z tyłu grupy wodzów wyskoczył jakiś mężczyzna i ruszył biegiem przez wrzeszczący tłum trzymając w ręku płonąca pochodnię. Włócznie Wikingów padały wokół niego jak grad, udało mu się jednak podejść wystarczająco blisko. Wymachiwał przez chwilę płonąca głownią, by podsycić płomień, wreszcie cisnął ją wysokim łukiem na górę chrustu. Suche drewno z trzaskiem stanęło w ogniu.

W górę buchnął snop dymu.

- Mogę skończyć całą tę zabawę w jednej chwili - stwierdził Dallas zabierając się do otwierania leżących przed nim pudeł.

- Nie - Ottar powstrzymał go ruchu ręki. - Chcą walki. Będziemy walczyć. Zajmiemy się tym ogniem.

- Być może, ale w tym czasie was porąbią.

- My też ich trochę porąbiemy. - Szczercząc zęby w złym uśmiechu Ottar począł schodzić z pomostu. - Poza tym Barney chce mieć dobre zdjęcia walki z Indianami - dodał.

Barney zawahał się, ale nie sposób było przejść do porządku dziennego nad wymową spokojnego, zdawałoby się pozbawionego wszelkiego wyrazu spojrzenia Dallasa.

- Oczywiście, że chcę mieć film - wybuchnął. - Ale nie za cenę czyjzegoś życia! Niech Dallas się tym zajmie.

- Nie - powtórzył Ottar. - Zrobimy ci dobrą walkę do twojego filmu.

Ryknął śmiechem.

- Nie wyglądasz tak ponuro, gamli vinr *, walczymy także dla siebie. Wy niedługo odje-dziecie, a kiedy was już nie będzie, chcemy, żeby ci skraellingowie dobrze pamiętali, jak Normanowie walczą - i zniknął.

- Ma rację - stwierdził Dallas. - Ale jeżeli wpadnie w jakieś kłopoty, musimy być gotowi, by go z nich wyciągnąć. - Otworzył największe z pudeł i wydobyl z niego megafon oraz zwój izolowanego drutu. - Zamierzam zainstalować to tak daleko od nas na ile pozwoli mi długość przewodów.

- Co to?

- Wzmacniacz do specjalnych efektów dźwiękowych. Zobaczmy jak zareagują tubylcy, gdy tylko usłyszą ten huk.

Ottar zgromadził wszystkich swoich wojowników przy bramie. Na wałach pozostały jedynie kobiety i starsze dzieci. Barney z ogromnym zdziwieniem dostrzegł, że jedną z dwóch kobiet szykujących się do otwarcia wrót była Slithey. Był najzupełniej przekonany, że jest bezpieczna w obozie filmowym. Krzyknął coś do niej, lecz w tym momencie Ottar wzniósł

topór i głos Barneya utonął w zgiełku wybiegających na otwarte pole Wikingów.

To był rodzaj walki, jaki Wikingowie najlepiej znali i najbardziej lubili. Zwartą, wyjąca masą rzucili się na ludzi z Cape Dorset. Przewaga liczebna tych ostatnich nie miała żadnego znaczenia, bowiem jedynie z trudem, o ile w ogóle, byli oni w stanie podjąć walkę z normań-

skimi rzeźnikami, niemal zupełnie niewidocznymi za osłoną tarcz i metalowych hełmów.

Tak, rzeźnikami, to było właściwe określenie. Ich krótkie miecze i topory dosłownie szatkowały na kawałki ludzi z Cape Dorset i ich prymitywną broń.

Szyk napastników został przełamany i Indianie rzucili się do ucieczki. Było to zresztą najrozsądniejsze, co mogli zrobić. Uciec, zanim dopadną ich niepowstrzymani, zbryzgani krwią mordercy. Jednakże w momencie, gdy obie grupy walczących dzielił już pewien dystans, charakter walki uległ zmianie. Miotane szybkimi ruchami włócznie pomknęły w kierunku biegnącego tłumu Wikingów; o ich tarcze zagrzechotały strzały. Jeden z wojowników padł, ugodzony włócznią w podbrzusze - za nim następny. Ludzie z Cape Dorset zaczęli -

pojmować co się stało i uporządkowali szyk. Wikingowie nie byli w stanie zewrzeć się z przeciwnikiem - a starcie wręcz było jedyną, znaną im metodą walki.. Szala zwycięstwa zdawała się przechylać na drugą stronę, w ciągu kilku minut mogli zostać otoczeni i wybici, jeden po drugim, do nogi.

- Dallas, jeśli możesz coś dla nich zrobić, to już najwyższa pora - powiedział Barney.

- OK. Wziąłem tylko jedną parę zatyczek, więc na pańskim miejscu zatkałbym uszy

* Stary przyjacielu.

palcami.

Barney chciał coś odpowiedzieć, ale Dallas przekręcił właśnie wyłącznik i zarówno je-go głos, jak i wszelkie inne dźwięki stały się natychmiast niesłyszalne. Paralizujący wszystkie zmysły, jęklivy grzmot rozdarł powietrze. Barney wpakował palce do uszu i oburącz ścisnął

głowę. Była to jedyna rzecz; jaką mógł uczynić. Dallas z satysfakcją pokiwał głową i z drugiej skrzynki zaczął wyciągać świece dymne i granaty łzawiące. Wytrenowanym, pewnym ruchem ręki zaczął ciskać je za palisadę, trzymając ręce mocno przyciśnięte do głowy, Barney z trudem odwrócił się i spojrzał w dół. W ciągu niewielu sekund obraz pola bitwy zmienił się zupełnie. Wzmacniacz i granaty były w równym stopniu zaskakujące dla napastników, jak i dla Wikingów, jednakże ci ostatni, postępując zgodnie ze swymi nawykami zbili się w ciasną, gotową do odparcia każdego ataku grupkę. Zupełnie odmiennie zareagowali ogarnięci kompletną paniką ludzie kultury Cape Dorset. Przerażliwy hałas rozdzierał im uszy, wokół nich ze wszystkich stron buchały słupy gryzącego dymu dławiąc oddech i uniemożliwiając dostrzeżenie czegokolwiek. Bez namysłu i w największym bezładzie rzucili się w stronę łodzi. Tam, gdzie przed minutą była atakująca armia, miotał się teraz tłum uciekających, skłębionych postaci. Na piasku walało się kilka nieruchomych ciał. Wszystko było skończone. Tłum na plaży walczył zajadle o dostęp do czółen, potykając się w kłębach gazu łzawiącego. Za nim podąża-li ostatni maruderzy.

Ludzie Ottara stali skupieni, patrząc prosto przed siebie - gotowi stawić czoła każdemu wrogowi, czy miała to być istota ludzka, czy siła nadprzyrodzona. Ci, których oślepił gaz łzawiący, byli równie zdecydowani walczyć jak reszta. Ich odwaga była godna podziwu. Dallas wyłączył wzmacniacz. Fala ciszy niemal fizycznie uderzyła w zdrętviałe uszy Barneya, wciąż jeszcze wypełnione przeraźliwym, odbierającym zmysły hałasem. Odjął ręce od głowy i wyprostował się i wolna. Nie była najmniejszej wątpliwości - pokonani ludzie Cape Dorset pierzchali w nieładzie, a wojownicy wikińscy opuścili tarcze i wymachiwali zwycięsko bronią. Głos Dallasa, który wskazywał w stronę stojącej na wzgórzu ciężarówka dobiegał doń jakby z ogromnej odległości, przez niezliczone warstwy puchowej kołdry.

- W ogóle nie zwrócili uwagi ani na ciężarówkę, ani na obóz. Gino musiał zasuwać przez cały czas. - Spojrzał w dół na roześmianych radośnie Normanów, którzy odrzucali od palisady płonące gałęzie.

- Ma pan swoją bitwę z Indianami i wygląda na to, że ma pan wreszcie cały ten swój film.

Barney odwrócił się od zabitych i rannych i na miękkich nogach zaczął powoli schodzić w dół.

XVIII

- Oto zachód słońca, na jaki czekaliśmy, Barney. Spójrz na te kolory - powiedział

Charley Chang.

- Kręcimy! Gino, jesteś gotów? - Barney obrzucił wzrokiem stojącą na zboczu wzgórza ekipę.

- Jeszcze dwie minutki - operator wyrzwał zza kamery. - Poczekajmy aż linia chmur nasunie się dokładnie na samo słońce. Tak będzie lepiej.

Barney zwrócił się do Ottara i Slithey, odzianych w najwspanialsze wikińskie kostiumy.

Ottara zdobiła dodatkowo gumowa blizna i syntetyczne sińce ledwie widoczne pod bujnymi włosami na skroniach.

- Słuchajcie, to jest ostatnia scena, tym razem już naprawdę ostatnia. Czekaliśmy z nią na właściwy plener. Wszystko inne mamy nakręcone. Scena składa się z trzech ujęć. Ich kolejność w filmie to 1, 2, 3, ale będziemy kręcić to 1, 3, a dopiero na końcu 2 - obraz waszych sylwetek na tle zachodzącego słońca.

- Ujęcie pierwsze - wspinacie się na wzgórze, obok siebie, róbcie to powoli. Zatrzymujecie się dokładnie tu, na szczycie - tu gdzie jest narysowana linia. Stoicie w tym miejscu patrząc na morze, dopóki nie powiem „teraz”, wtedy Slithey przechyla się i ujmuje dłoń Ottara.

Koniec ujęcia pierwszego. Potem Ottar otacza jej kibić ręką. Stoicie w tej pozycji przez cały czas cofania się kamery - to będzie zdjęcie końcowe wasze postacie maleją na tle zachodzą-

cego słońca. Jasne? Zrozumieliście?

Oboje przytaknęli.

- Gotów - zawołał Gino.

- Sekundę. Kiedy krzyknął „stop”, stoicie dalej na wzgórzu. Dajemy kamerę z powrotem i kręcimy ujęcie numer dwa - dialog. Jasne?

Poszło bez zarzutu. Ottar był już prawie zawodowcem, a przynajmniej z reguły spełniał

większość poleceń bez oporu. Wspięli się na szczyt wzgórza i patrzyli w kierunku zachodzą-

cego słońca. Technicy, popędzani krzykliwymi komendami Barneya przesuwali kamerę do tyłu, uzyskując w ten sposób efekt stopniowego oddalania się pary kochanków. Dla ułatwienia tej operacji ułożono na trawie gładko heblowane deski, mające zastępować szyny.

- Stop! - krzyknął Barney, gdy rolki kamery dobrnęły do końca tej drewnianej trakcji. -

Główni aktorzy zostają na wzgórzu. Do roboty! Zanim ucieknie nam światło!

Podczas gdy kamerę wtaczano z powrotem na szczyt, technicy dźwięku zdołali zainstalować sprzęt nagrywający i ustawić mikrofony. W tym samym czasie Slithey jeszcze raz przeglądała swój tekst, a jedna z asystentek reżysera głośno odczytywała Ottarowi odpowiednią partię scenariusza. Słońce powoli zanurzało się w morzu i rzucało na niebo płomiennoczerwone blaski.

- Gotów - zameldował Gino.

- Kamera! I absolutna cisza na planie - przykazał Barney. - Start!

- Daleko stąd - zaczął Ottar wyciągając rękę - daleko stąd, gdzieś za morzem jest nasz dom. Wciąż jeszcze tęsknisz za nim, Gudrid?

- Przez długi czas moja tęsknota nie znała granic. Ale to już minęło. Walczyliśmy i umieraliśmy za ten kraj i teraz jest on nasz... Winland... ten nowy świat. Teraz on stał się naszym domem.

- Stop! Doskonale! Do montażu. Wydaje mi się; że wszystko mamy już z głowy.

Odpowiedziały mu oklaski. Slithey rzuciła się całować Barneya, a Ottar ze swej strony niemal zgruchotał mu kości w uścisku. Był to niezwykle podniecający moment. Większość detali filmu dawno już opracowano, a z chwilą, gdy te ostatnie sceny zostaną pocięte, zmontowane i skopiowane, będzie gotowa całość. Przyjęcie, które miało się odbyć tego wieczoru zapowiadało się na wielką imprezę.

I było nią. Nawet pogoda zdawała się podzielać ogólny nastrój i ostatnie promienie zachodzącego słońca wpadały łagodnie przez odsłonięte wejście namiotu, pełniącego funkcję sali balowej. Podano indyka, szampana, cztery rodzaje deserów oraz trunki w nieograniczonych ilościach. W party brała udział cała ekipa filmowców, większość Normanów i kilka towarzyszących im kobiet. Zabawa rozkręcała się.

- Nie chcę wracać - zawodziła płacząco Slithey, roniąc rzęsiste łzy do kieliszka z szampanem.

- Tak naprawdę, to wcale nie wyjedziesz, ani nie będziesz musiała opuścić dziecka -

tłumaczył jej Barney chyba już po raz dwudziesty. Sam dziwił się swojej cierpliwości, ale ten wieczór był czymś wyjątkowym. - Wiesz przecież, że Kirsten może być jego mamką gdyby twoja nieobecność przedłużyła się trochę, ale nie ma przecież żadnego powodu, by tak się stało. A zresztą, weź pod uwagę, że tam, w Kalifornii, trudno byłoby ci wytłumaczyć, skąd się wziął twój syn, skoro w ubiegłym tygodniu nawet nie byłaś jeszcze w ciąży. Pamiętaj, że nie jesteś nawet zamężna - od razu zrobiłoby się gęsto od plotek. Potem, jak tylko się zdecydujesz, wrócisz tutaj. Profesor obiecał dostarczyć cię z powrotem nie później niż w minutę po waszym rozstaniu. Cóż może być prostszego?

- To będą przecież całe miesiące - szlochała Slithey i Barney zaczynał właśnie tłumaczyć jej to od początku po raz dwudziesty pierwszy, gdy pojawił się Charley Chang. Klepnął

go po plecach i wręczył mu kolejnego drinka.

- Dyskutowałem z profesorem o naturze czasu - zaczął.

- Nie mam zamiaru rozmawiać na ten temat - uciał Barney. - Po przeżyciach ostatnich paru tygodni, mam szczerą nadzieję zapomnieć o tym wszystkim.

Rzeczywiście, dla wielu z nich był to prawdziwy czas próby. W Kalifornii minęły ponad cztery dni - teraz, zgodnie ze wskazaniem niezależnych chronometrów Vremiatronu, było tam czwartkowe popołudnie - cztery bardzo pracowite dni. Ludzi i sprzęt przerzucano w czasie i przestrzeni niemal bez przerwy, by przyspieszyć montaż i dubbing. Spiderman i jego ludzie nagrywali dźwięk w jednym ze studiów. Paradoks dublowania się w czasie stał się tak częsty, że sprzęt wykorzystywano dwadzieścia cztery godziny na dobę i w wielu przypadkach ludzie potykali się niemal o swoje sobowtóry. Barneyowi na przykład mocno utkwiła w pa-mięci scena ożywionej dyskusji między trzema profesorami Hewettami, którą zresztą pragnął-

by jak najszybciej zapomnieć. Pociągnął wolno ze szklanki.

- Nie, naprawdę - upierał się Charley. - Wiem, że wszystkich z nas wytrąciło nieco z równowagi to ściskanie rąk sobie samym, ale nie o to mi chodzi. Problem w tym, dlaczego kręcimy film akurat w tym miejscu.

- Ponieważ jest to miejsce, do którego przywiózł nas profesor - odpowiedział logicznie Barney.

- Doskonale! Ale dlaczego profesor przywiózł nas właśnie tutaj?

- Dlatego, że jest to jedno z miejsc, w którym on i Jens szukali osadników - odparł

Barney spokojnie. Tego wieczoru miał cierpliwość dla każdego.

- Znow racja. Ale teraz powinieneś zadać sobie pytanie, dlaczego Jens zdecydował się szukać osadników tu, a nie gdzie indziej. Może mu pan to wyjaśni, profesorze?

Hewett zdjął okulary i delikatnie otarł wargi serwetką.

- Jesteśmy tutaj - zaczął - ponieważ we wczesnych latach sześćdziesiątych Helga Ing-stad przeprowadziła na tym terenie prace wykopaliskowe. Znalaziono pozostałości dziewięciu budynków, a analiza metodą C-14 odkrytych na stanowisku szczątków, pozwoliła datować je na mniej więcej rok tysięczny.

- Masz pojęcie, co to oznacza? - spytał Charley.

- Wyjaśnijcie - odparł Barney w roztargnieniu, nucąc rytmiczną melodię „Ruszajmy, Wikingowie”, lejtmotywu całego filmu, grany cicho przez Spidermana gdzieś na dalszym planie.

- Teraz mamy rok 1006 - ciągnął Charley. - W obozie poniżej stoi dziewięć budynków, z których dwa; te spalone dla potrzeb filmu, są w ruinie i wymagają odbudowy. A zatem osada normańska w Epaves Bay powstała w XI wieku dlatego, że jej ślady odkryto w wieku XX.

Można powiedzieć, że mamy do czynienia z pętlą czasu - pętlą, która nie ma ani początku, ani końca. Przybyliśmy tu, by zostawić ślady, które zostaną odkryte po to, by doprowadzić nas do tego miejsca, abyśmy tu zostawili ślady...

- Dość - Barney uniósł rękę. - Miałem już kontakt z taką pętlą. Teraz będziesz pewnie chciał mi wmówić, że to, co przekazują sagi jest prawdą, za którą my ponosimy odpowiedzialność. Albo że Ottar to w rzeczywistości Thorfinn Karlsefni, facet, który założył pierwszą osadę w Winlandzie.

- Oczywiście - powiedział Ottar. - To ja!

- Co rozumiesz przez to „To ja”? - spytał Barney wybałuszając oczy.

- Thorfinn Karlsefni, syn Thorda Końskiej Głowy, syn Thorhildy Rjupa, córki Thorda Gellira...

- Nazywasz się Ottar.

- Oczywiście. Ottar jest imieniem, którym nazywają mnie na co dzień, skrótem. Moim prawdziwym imieniem jest Thorfinn Karlsefni, syn Thorda...

- Pamiętam fragmenty sagi o Karlsefnim - przerwał mu Charley. - Studiowałem ją pisząc scenariusz. W sadze mówi się, że przybył on do Winlandu przez Islandię i ożenił się z dziewczyną o imieniu... Gudrid!

- To przecież filmowe imię Slithey - wydusił z siebie Barney.

- Poczekaj, to nie wszystko - podnieconym głosem oznajmił Charley. - Pamiętam, że Gudrid miała mu urodzić syna w Winlandzie. Dano mu imię Snorey.

- Snorey - Barney poczuł dziwne mrowienie na karku. - Jeden z krasnoludków z Królowy Śnież...

- Nie rozumiem dlaczego wszyscy tak się tym przejmują - stwierdził profesor Hewett. -

Od kilku tygodni wiemy o istnieniu takich pętli czasu. Powinniśmy raczej przedyskutować nie wyjaśnione szczegóły mechanizmu powstawania takiej pętli.

- Ale znaczenie tego faktu, profesorze! Znaczenie! Jeśli to prawda, to jedynym powodem, dla którego Wikingowie osiedlili się w Winlandzie jest nasza decyzja, by nakręcić film o osiedleniu się Wikingów w Winlandzie.

- Powód równie dobry jak każdy inny - spokojnie odparł profesor.

- Potrzeba tylko trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić - mruknął Barney.

*

Mówiono potem, że przyjęcie było godne najwyższego uznania. Przeciągnęło się aż do świtu, toteż niewiele udało się zrobić następnego dnia. Ale minęło już poprzednie napięcie, poza tym znakomita

większość członków ekipy przestała już być potrzebna. Znikali po kilku na raz, niektórzy na wakacje na Starą Katalinę, większość jednak chciała wracać prosto do domu. Odjeżdżali uszczęśliwieni, wymachując radośnie grubymi plikami kart godzinowych.

W departamencie finansowym Climactic Studios długo w noc paliły się światła. Gdy, ku satysfakcji Barneya, film został już zmontowany, skopiowany i nawinięty na szpule, w obozie pozostała jedynie garstka ludzi, głównie niezbędnych przy ostatecznej likwidacji pleneru kierowców.

- Nie wiem, czy będzie pan miał jeszcze kiedyś okazję oddychać tak czystym powietrzem - odezwał się Dallas i popatrzył ze szczytu wzgórza na rozpościerającą się poniżej osadę Wikingów.

- Będę tęsknił za czymś więcej - odpad Barney. - Zaczynam sobie zdawać sprawę, że z początku myślałem wyłącznie o filmie. Teraz, gdy film mamy już poza sobą, wiem, że wszystko to było czymś znacznie ważniejszym niż ktokolwiek z nas mógł sobie wtedy wyobrazić.

Rozumiesz?

- Skapowałem. Ale niech pan pamięta, że wielu chłopaków zobaczyło Paryż tylko dlatego, że rząd wysłał ich tam, żeby tłukli Szkopów. Różnie w życiu bywa, oj różnie!

- Wydaje mi się, że masz rację - Barney zaczął ssać prawą dłoń. - Ale nie mów tak.

Przypomina mi to aż nazbyt paradoksalną pętlę czasu.

- Co się panu stało w rękę?

- Nic takiego. Chyba drzazga.

- Niech pan pójdzie do pielęgniarki, żeby to panu wyjęła zanim zamknie cały swój kram.

- Chyba masz rację. Powiedz wszystkim, że ruszamy za dziesięć minut.

Pielęgniarka uchyliła drzwi przyczepy i wyjrzała z niej podejrzliwie.

- Przykro mi, nieczynne.

- Mnie również przykro. Proszę otworzyć, to punkt pierwszej pomocy!

Pielęgniarka mruknęła coś na temat zakresu pierwszej pomocy, ale otworzyła gabinet.

- Nie daję rady wyciągnąć tego pincetą - stwierdziła po chwili, nie bez odcienia złej woli w głosie. - Wytnę panu maleńki kawałek skóry skalpelem.

Cały zabieg nie trwał nawet minuty i dopóki maleńkiej ranki nie posmarowano jodyną, myśli Barneya skupione były na znacznie poważniejszych zagadnieniach.

- Auuu! - wrzasnął.

- To nie mogło zboleć, Mr Hendrickson, nie takiego dużego chłopca jak pan. - Pielęgniarka wyszła i zaczęła szukać czegoś w sąsiednim pomieszczeniu. - Przykro mi, ale skończyły się plastry. Na razie owinę to panu gazą.

Zaczęła bandażować mu dłoń. W tym momencie Barney zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Drzazga - powtórzył i spostrzegł, że ubrał się dziś w najlepsze, tweedowe spodnie i lotniczą, skórzaną kurtkę. - Założę się, że ma pani tutaj merkurochrom, jestem tego pewien.

- Dziwne pytanie. Pewnie że mam.

- A zatem niech pani zabandażuje tę rękę dokładnie, ślicznie i aż po sam łokieć. Już ja mu pokażę, temu skurwysynowi sadyście!

- Co? Komu?

- Mnie! A komu? Potraktowałem siebie w taki sposób i teraz zamierzam zrobić to samo ze sobą. Przypuszczam, że będę musiał tak się ze sobą obejść...

Pielęgniarka nie odważyła się wypowiedzieć już ani jednego słowa. Założyła Barneyowi szeroki i wielki opatrunek jak sobie tego życzył i nawet nie zaprotestowała, gdy oblał go taką ilością merkurochromu, że co najmniej połowa spłynęła na nieskazitelnie czystą podłogę gabinetu. Zamknęła tylko drzwi na klucz natychmiast po tym, jak wyszedł, gaworząc coś radośnie do siebie.

- Jesteś ranny? - zagadnął go Ottar.

- Niezupełnie. Nie zwracaj na to uwagi. Miej oko na tych Indian.

- Nie obawiam się ich. Zetniemy mnóstwo drzew. Zbijemy majątek na Islandii. Zabierasz Gudrid?

- Na parę minut, w twojej epoce. Co się stanie potem, zależy już tylko od niej. Żegnaj, Ottarze.

- Far heill * Barney. Nakręć jeszcze jeden film i płać mi „Jackiem Danielsem”.

- Niewykluczone.

*

To była już ostatnia podróż. Wszyscy inni odjechali i platforma czasu stała na środku zrytej kołami samochodów i pokrytej stratowaną trawą, półhektarowej płaszczyzny. Rolki z filmem spoczywały w pickupie, jedynym pojeździe znajdującym się na platformie. Za kierownicą siedział Dallas, obok niego ulokowała się Slithey z zaczerwienionymi od płaczu oczami.

- Zabieramy to wszystko - krzyknął Barney do profesora Hewetta i po raz ostatni wcią-

gnął w płuca głęboki haust czystego, świeżego powietrza.

Profesor zostawił pickupa i jego pasażerów w piątkowym popołudniu. Podróż po pętli czasu wstecz, do poniedziałkowego poranku odbył tylko Barney i pudełka z filmem.

- Proszę zostawić mi trochę czasu, profesorze - powiedział. - Muszę być w biurze L.M.

o pół do jedenastej.

Natychmiast po przybyciu na miejsce Barney zatelefonował. Przyszło mu poczekać do-

* Do widzenia.

brą chwilę zanim w studio dźwiękowym pojawił się jeden z techników z ręcznym wózkiem.

Gdy skończyli załadunek pudełek, była punktualnie godzina 10.20.

- Dostarczysz to do biura L.M. - polecił Barney. - Ja pójdę przed tobą z rolką numer jeden.

Barney szedł szybko. W momencie, gdy wyszedł z za ostatniego zakrętu korytarza dostrzegł znajomą, sflaczałą sylwetkę z trudem gramolącą się po schodach. Uśmiechnął się wstętnie i podążył za samym sobą wzdłuż korytarza, aż pod drzwi gabinetu L.M. Postać przed nim ani razu nie obejrzała się za siebie. Barney odczekał, aż tamten jednym pchnięciem otworzył drzwi. Dopiero wtedy chwycił go za ramię i odciągnął jego rękę.

- Nie włącz tam - powiedział.

- Co ty sobie, u diabła, wyobrażasz? - wrzasnął wcześniejszy Barney, po czym spojrzał

na niego i sflaczał nagle jak drugorzędny aktor w trzeciorzędnym filmie grozy. Oczy wyszły mu z orbit, jego ciałem wstrząsnęły dreszcze.

- Piękny widok - mruknął Barney. - Powinieneś raczej grać w filmach niż je reżyserować.

- Ty jesteś... mną! - wymamrotała kretyńska postać.

- Bardzo trafna uwaga - odparł Barney i w tym momencie przypomniał sobie o schemacie. Był wielce rad, mogąc się go pozbyć. - Potrzyj to chwilę - powiedział i wcisnął pudło z filmem w ręce tego drugiego.

Włożenie do kieszeni prawej ręki owiniętej w mokry bandaż było dla Barneya zadaniem ponad siły. Szukając po omacku wolną lewą ręką, wydobył w końcu portfel z kurtki. Drugi Barney trzymał pudło z filmem i mamrotał coś do siebie dopóki Barney nie wyjął mu jej z rąk i nie wetknął mu w dłoń kartki ze schematem:

- Co się stało z moją... z twoją ręką - zapytał przerażony drugi Barney.

Powinienem ci powiedzieć, pomyślał Barney. Jednak w tym momencie dostrzegł zbli-

żającego się technika z wózkiem i otworzył przed nim drzwiczki.

- Daj to profesorowi - powiedział Barney, gdy technik minął ich obydwo. Nie mógł

powstrzymać się przed kolejną kąśliwą uwagą. - Przestań się tu pętać i skończ film, dobrze? -

dorzucił na koniec. Wszedł do gabinetu, pozwalając drzwiom zatrzasnąć się swobodnie za je-go plecami. Nie obejrzał się.

Uczucie, że po raz pierwszy w życiu jest czegoś absolutnie pewien sprawiało mu ogromną satysfakcję. To poczucie pewności pozwoliło mu nie zwrócić najmniejszej uwagi na pannę Zucker, która próbowała mu powiedzieć coś na temat przedstawicieli banku. Odepchnął ją na bok i otworzył wewnętrzne drzwi biura przed technikiem. Bardzo blady L.M.

spojrzał na niego. Jednocześnie sześciu siwowłosych mężczyzn o pokerowych twarzach od-wróciło się, by sprawdzić kto jest sprawcą tego zamieszania.

- Proszę mi wybaczyć spóźnienie, panowie - powiedział Barney ze spokojną pewnością siebie. Jestem pewien, że Mr Greenspan wszystko panom wyjaśnił. Byliśmy za granicą -

właśnie dopiero przed chwilą wróciłem z kopią filmu, o którym panom wspominał. To nabytek wartości wielu milionów dolarów. Otwiera nową epokę w dziejach sztuki filmowej i nową erę w dziejach dochodów firmy.

Pudełka z filmem szczykały jedno o drugie, gdy technik zatrzymał wózek. Sam, siedzą-

cy w najciemniejszym kącie gabinetu wydał z siebie lekkie, ledwo słyszalne westchnienie.

XIX

- Wybacz, że nie wstaję - powiedział Jens Lynn - ale lekarze kazali mi rygorystycznie przestrzegać popołudniowego odpoczynku.

- Jasne - odparł Barney. - Nie przejmuj się. Ciągłe cię to męczy?

Jens leżał wyciągnięty na sofie, ustawionej w ogrodzie jego domu. Wyglądał na znacznie chudsze i bledsze niż w czasach, z których pamiętał go Barney.

- Niezupełnie - odparł Jens - To kwestia rekonwalescencji. Funkcjonuję już zupełnie nieźle, wczoraj wieczorem byłem na przykład na premierze. I zmuszony jestem przyznać, że generalnie rzecz biorąc, ten film mi się spodobał.

- Powinieneś pisać do gazet. Jeden z krytyków oskarżył nas o pożałowania godne wysiłki w celu osiągnięcia realizmu, o obszarpanie w brudnym, rosyjskim stylu i to w dodatku zakończone zupełną klęską. Głosi on, że te tłumy to po prostu dobrzy amerykańscy statyści, ba - rozpoznał nawet fragment kalifornijskiego wybrzeża, na którym nakręcono te sceny.

- Mogę zrozumieć jego odczucia. Mimo że byłem tam podczas zdjęć, oglądając je mia-

łem wrażenie czegoś zupełnie nierealnego. Myślę, że wszystkie cuda filmu i uroki dziwnych miejsc spowszechniały nam na tyle, iż wszystkie one wydają się nam podobne do siebie. Ale czy ta negatywna reakcja krytyki oznacza, że film zrobił klapę?

- W żadnym wypadku! Krytycy zawsze chlastają niemiłosiernie wszystkie wielkie szlagiery kasowe. Koszta tego filmu zwróciły się nam już dziesięciokrotnie, a wpływy ciągle nie maleją. Ten eksperyment okazał się wyjątkowym sukcesem. Zbieramy się dzisiaj, by podyskutować o następnym filmie. Wiesz, od dawna chciałem wpaść i zobaczyć się z tobą i rozumiesz... mam nadzieję, że nie czujesz do mnie...

- Uraży? Nie, Barney. To już mi przeszło. Chciałbym przeprosić cię za to, że tak się wtedy uniosłem. Dziś patrzę na te sprawy z zupełnie innej perspektywy.

Barney uśmiechnął się szeroko.

- No, to najlepsza wiadomość, jakiej mogłem się spodziewać. Muszę przyznać, że nieźle mnie wtedy wkurzyłeś, Jens. Przyniosłem ci nawet podarunek z okazji zawarcia między nami pokoju. Co prawda zdobył go Dallas i to on prosił mnie, bym ci go wręczył.

- O Boże! - jęknął z zachwytu Jens, otwierając pudło i wydobywając z niego kawał

płaskiego drewna pokrytego na krawędziach nacięciami. - Co to?

- Kołatka. Z Cape Dorset. Wymachiwali tym podczas ataku na obóz Ottara.

- Oczywiście. Pewnie, że tak. - Jens sięgnął po grubą książkę leżącą na stoliku tuż obok jego głowy. - To bardzo miło z waszej strony, że pamiętaliście o mnie. Podziękuj ode mnie Dallasowi, kiedy tylko go spotkasz. Wiesz, kilka osób z ekipy wpadało już tu do mnie i wiem sporo o wszystkim, co się zdarzyło po moim odjeździe. Poza tym mogłem sobie o tym poczytać - wskazał ręką na książkę.

Barney spojrział na niego z zaskoczeniem.

- To „Sagi islandzkie” w oryginalnej wersji staronorweskiej, w języku, w którym zostały napisane. Oczywiście większość z nich była przekazywana w formie tradycji ustnej przez ponad dwieście lat zanim je spisano, ale jest rzeczą niezwykle zadziwiającą, jak bardzo potrafią być dokładne. Gdybym mógł przeczytać ci parę fragmentów z „Sagi o Thorfinnie Karlsefni” i „Historii Grenlandzkiej”... O tu... *„I pod koniec tego czasu odkryto wielką liczbę*

skraellingów przybywają cych z południa jak ogromna rzeka łodzi... Mieli pręty, którymi wymachiwali w kierunku przeciwnym do kierunku ruchu słońca i które wydawały głośny dźwięk” . Te pręty musiały być takimi właśnie kołatkami, jak ta.

- Czy myślisz, że Ottar - Thorfinn - i wszystko, co mu się przytrafiło jest opisane w tych sagach?

- Wszystko. Oczywiście pewne fakty zostały opuszczone, niektóre informacje są przekręcone, dwieście lat przekazu z ust do ust to kawał czasu. Ale jego podróż, budowa osady, atak skraellingów - nawet lody i byk, który wystraszył ich w czasie pierwszej wizyty - to wszystko jest tutaj.

- Czy jest tu też powiedziane, co się w końcu z nim stało?

- Z faktu, że wiadomości te zostały przekazane, wynika jednoznacznie, że żył on aż do powrotu na Islandię, a co najmniej do momentu, w którym spotkał innych normańskich poszukiwaczy przygód, podróżujących tym samym szlakiem. Wersje jego późniejszego życiorysu są zróżnicowane, wszystkie jednak zgadzają się co do tego, że żył jeszcze długo i szczęśliwie.

- To dobrze dla Ottara, zasłużył na to. Nie wiesz, czy Slithey wróciła do niego?

- Gudrid z sagi? Oczywiście. Czytałem o tym wzmiankę w gazetach.

- Tak. Było jasne, że nie napisał tego jej rzecznik prasowy. Coś o zerwaniu z karierą filmową, by móc żyć z jedynym na świecie mężczyzną, którego kocha i najbardziej uroczym dzieckiem pod słońcem. Gdzieś na jego rancho, które co prawda ma nie najlepszą kanalizację, ale jest bardzo miłe i przytulne i pełno tam świeżego powietrza.

- O właśnie. Dokładnie tę samą.

- Biedna Slithey. Zastanawia mnie, czy zdaje sobie sprawę z tego gdzie - czy raczej kiedy - jest to rancho.

Jens uśmiechnął się.

- Przecież to nie ma znaczenia, nie uważasz?

- Chyba masz rację.

Jens wyjął kserokopię, schowaną między okładkami książki.

- Zachowałem to specjalnie dla ciebie, na wypadek gdybyś się u mnie pojawił. Jeden z moich studentów wyszukał to i uznał, że może być dla mnie zabawne. Jest to kopia artykułu z

„New York Timesa”, przypuszczam, że z 1935 roku.

„*Burda udaremniła posiedzenie*” - Barney przeczytał tytuł. - „*Kongres Towarzystwa Archeologicznego został przerwany w wyniku bójki, do której doszło w kuluarach pomiędzy dwoma jego uczestnikami... Groźba procesu o potwarz... zarzut, że dr Perkins dopuścił się*

oszustwa utrzymują c, że zaprezentowany przez niego fragment szklanej butelki został odkryty w normanńskim wysypisku śmieci w Nowej Fundlandii. Uznano to za mistyfikację, ponieważ

tego typu forma nie znajduje żadnych analogii w kulturach średniowiecznej północy. Technika jej wykonania jest zbyt doskonała i w istocie przypomina ona kształtem pojemnik, używany przez powszechnie znaną amerykańską wytwórnię burbon whisky...” Barney uśmiechnął się i oddał mu artykuł z powrotem.

- Wygląda, że Ottar miał sporo kłopotów z usuwaniem pustych butelek. - Wstał. - Nie lubię żegnać się w taki sposób, ale jestem już naprawdę spóźniony na nasze zebranie.

- Jeszcze tylko jeden drobiazg, zanim pójdziesz. W tych sagach pojawia się często jedno imię, imię człowieka, który odegrał wybitną rolę w kolonizacji Winlandu. Wspominany jest on we wszystkich sagach, wydaje się, że odbył jedną a może i więcej podróży. Miał też jako-by sprzedać Thorfinnowi okręt, którym ten popłynął do Winlandu.

- Przypominam sobie. To musi być ten... jak on się nazywał... Thorvald Ericksson, facet od którego Ottar kupił okręt.

- Nie, to nie jego imię. To Bjarni Herjolfsson.

- To bardzo interesujące, Jens, ale naprawdę muszę już uciekać.

Dopiero na ulicy Barney uzmysłowił sobie, że po dwunastu latach przekazywania z ust do ust taką właśnie formę mogło przybrać jego nazwisko - Barney Hendrickson. Zaparło mu dech ze zdziwienia.

- Pomyśleć, że oni napisali nawet kawałek o mnie.

*

- Proszę wejść, Panie Hendrickson - powiedziała panna Zucker i, co najdziwniejsze, uśmiechnęła się szeroko. Ponieważ była niezwykle czułym barometrem nastrojów, Barney nabrał pewności, że jego akcje w Climactic poszły ostro w górę.

- Czekaliśmy na ciebie - przywitał go L.M. - Cygaro?

Barney wziął jedno i kłaniając się wszystkim pozostałym, włożył je do kieszeni na piersiach marynarki.

- Jak ci się podoba? - spytał L.M., wskazując na wypchany łeb tygrysa na ścianie. -

Resztę położyłem w domu przed kominkiem.

- Wspaniały - odparł Barney. - Nigdy przedtem nie widziałem takiej odmiany tygrysa.

Głowa miała niemal pełny jard długości. Dwa ogromne, dwunastocalowe, albo i większe, kły sterczały w dół, poniżej dolnej szczęki.

- To jest tygrys mieczozębowy - powiedział dumnie L.M.

- Czy jest pan pewien, że nie nazywa się on przypadkiem Tygrysem szablozębnym?

- Tak? Szabla jest przecież odmianą miecza, nieprawdaż? Tych dwóch kaskaderów, jak też oni się nazywają, dało mi to w prezencie. Zajmują się teraz czymś w rodzaju safari, polują, wiesz, a Climactic pobiera od nich pewien procent zdobyczy. Bez żadnych dodatkowych inwestycji, pomijając ten drobiazg, że korzystają z części naszego wyposażenia.

- To cudownie - powiedział Barney.

- No, wystarczy - stwierdził L.M. i zastukał w biurko złotą zapalniczką. - Jestem równie towarzyski jak każdy inny, może nawet bardziej, ale mamy przed sobą kawał roboty. Musimy zastanowić się i to natychmiast w jaki sposób ukoronować błyskotliwy sukces „Kolumba Wikingiem” nowym, jeszcze błyskotliwszym sukcesem. Zebraliśmy się dzisiaj po to, by podjąć w tej sprawie decyzję. Tuż przed twoim przyjściem, Barney, Charley Chang zauważył, że filmy o treści religijnej znów zaczynają wchodzić w modę.

- Nie wątpię - odrzekł Barney i nagle zerwał się na równe nogi.

- L.M., nie...

Ale L.M. uśmiechał się do siebie i nie słyszał niczego.

- I to właśnie - ciągnął - nasunęło mi pomysł absolutnie najbardziej religijnego filmu wszechczasów tematu, który w żaden sposób nie może zawieść!

Table of Contents

[Rozpoczni](#)